



ŻYCIE MYŚL

7/8
1951

56.
ROK II

LIPIEC - SIERPIEŃ 1951

04118
CENA 9.— zł

NR 7/8

ŻYCIE i MYŚL

M I E S I Ę C Z N I K

I.

Z. W., O linię generalną:

Tadeusz Lehr-Spławiński, Adam Stefan Kardynał Sapieha;
Franciszek Ślawski, Piśmiennictwo starosłowiańskie na terenie Wielkich Moraw
i Panonii w dobie cyrylo-metodiańskiej.

II.

Stanisław Chrempiński, W sprawie wzmocnienia ochrony życia dziecka.

III.

Aleksander Rogalski, Istota katolickiej powieści współczesnej.

IV.

Wojciech Żukrowski, Noce Ariadny.

V.

Stanisław Pigoń, Tragiczna historia Franka Rakoczego;
Elżbieta Durczyńska, Stanisław Jachowicz, współtwórca polskiej literatury
dziecięcej.

VI.

Aleksander Rogalski, „Dzieje Chrystusa“ Daniel-Ropsa;
Maria-Danuta Dobraczyńska, Kronika literacka.

VII.

Kronika bieżąca.

INSTYTUT ZACHODNI
POZNAŃ

O LINIĘ GENERALNĄ

Nieocenioną pomoc w rozeznaniu się w bieżącej sytuacji politycznej daje studium Kongresu Wiedeńskiego 1815 r. i studium skutków, które ten Kongres wywołał. Tak jak w niedawno minionych latach, tak i w owych przed stuleciem z górą przypominali się Polacy światu wysiłkiem zbrojnym. Nie można było przechodzić nad nim do porządku dziennego. Rozstrzygnięcia polityczne nie dały jednak wówczas narodowi polskiemu podstaw do spokojnej i długotrwałej egzystencji.

Utworzone na Kongresie Wiedeńskim Królestwo tzw. Kongresowe było tworem kadłubowym. Najdotkliwszym było pozostawienie Wielkopolski poza granicami tego Królestwa. Tym dotkliwsze, że przecież Wielkopolska wchodziła w skład powstałego po rozbiorach Księstwa Warszawskiego.

Promotorem ówczesnych żądań polskich po upadku Napoleona był car Aleksander I. Niewątpliwie polityka rosyjska miała wówczas na oku i celu stworzenie państwa polskiego, opartego na zasadzie etnograficznej, zdolnego do życia. Temu rozwiązaniu stanęła zdecydowanie na przeszkodzie ówczesna polityka angielska. Jej rola na Kongresie Wiedeńskim w r. 1815 była przedmiotem szczegółowych opracowań, polskich i niepolskich, sam temat jednak wychodzi poza ramy historiografii, a zapoznanie się z jego szczegółami winno być postulatem praktycznej polityki.

W Anglii mniemano, że Polska połączona z Rosją będzie zbyt potężną siłą. Z tego względu przeciwstawiano się rozszerzeniu granic Polski nawet na Wielkopolskę. Przeciw tworzącemu się Królestwu Polskiemu postawiono jako żandarma na zachodzie — Prusy.

W ten sposób unicestwiony został dawny puławski plan Czartoryskiego, mający na oku koalicję polsko-rosyjską skierowaną przeciw Prusom, a stworzono warunki współpracy prusko-rosyjskiej od

chwili, w której Polacy dojdą do skłócenia się ze swoim sąsiadem rosyjskim. Ten fakt pojawił się jako jedna z konsekwencji rozwiązania z r. 1815, tj. odjęcia Polsce jej ziem zachodnich. W następstwie nasilił się ogromnie konflikt o tzw. ziemie zabrane i w końcu wybuchnął pożarem powstania listopadowego w r. 1830.

Rozrachunek z nim do tego czasu nie został dokonany w nauce polskiej i w polskiej myśli politycznej. Na przełomie wieków XIX i XX i w początku w. XX potężna indywidualność Szymona Askenazy narzuciła umysłowości polskiej sąd o Królestwie Kongresowym i o wypadkach listopadowych, a sąd ten zabarwił mocno elementem emocjonalnym Wyspiański, który choć w „Warszawiance“ chciał rozprawić się z owym fatalizmem emocji, przecież w efekcie uległ mu artystycznie. Askenazy zaciążył mocno na legionach z r. 1914. Zaciążył i Sienkiewicz, ale myśl polityczną dał Askenazy. Sprawa w opinii polskiej nie była osądzona, czego wyrazem sprzeczności zdań ujawnione w związku z obchodem stulecia powstania listopadowego w r. 1930. Po latach z górą stu historia zdaje się nie powtarzać, ale wracać do sytuacji sprzed owej setki lat.

Nowym „kongresem wiedeńskim“ był zjazd poczdamski w lipcu 1945 r. Poszedł on po linii puławskiej sprzed półtora wieku. Poszedł tak radykalnie, jak gdyby chciano wyciągnąć wszystkie wnioski z ujemnych rozwiązań ubiegłego wieku. Partner radziecki i pracująca z nim strona polska dążyli do dania nowej Polsce możliwie rozsądnej i uzasadnionej granicy na zachodzie. Granica ta, likwidując niebezpieczeństwo pruskie, którego groza ukazała się narodowi polskiemu w dniach naszych w postaci hitlerowskiej, dawała mu i daje pełne warunki egzystencji narodowej. Granica ta zarazem stwarza podstawy trwałego współżycia z sąsiadem radzieckim.

Ale byłoby niesłuszne redukowanie różnic do innego wykreślenia granicy w r. 1945 od tej, którą narysowano na Kongresie Wiedeńskim. W porównaniu z tym czasem zaszły inne jeszcze ogromne zmiany.

Rosja carska i Związek Radziecki to dwie odmienne formacje. Związek Radziecki jest nie tylko formacją państwową, ale i zdecydowanie światopoglądową. Jest chorążym rewolucji, która głosi nowe zasady stosunku człowieka do człowieka. Są to zasady, którym przyszłość zapewnia wszelkie szanse zwycięstwa niezależnie od oporu, z jakim się dziś jeszcze spotykać mogą. Za sto lat na prywatno-prawny stosunek pracy najemnej będziemy zapewne patrzeli tak, jak dziś na istniejące jeszcze przed stu laty sądownictwo patrymonialne, według którego prywatny pan gruntu sądzić mógł poddanego człowieka. O tym, jakim winien być stosunek świata chrześcijańskiego do tych nowych zasad, tłumaczyć chyba szerzej nie trzeba.

Polska należy do bloku państw budujących nowy porządek socjalistyczny. Należy do niego także ze względu na swój słowiański charakter. Chorążym bowiem nowego porządku rzeczy jest świat słowiański. Tak na te sprawy patrzą obserwatorzy zewnętrzni. W świeżo ogłoszonym tomie „Pamiętników“ Churchilla (IV) można się zapoznać z przebiegiem konferencji między W. Brytanią a Turcją na temat przyszłego konfliktu ze światem słowiańskim jako komunistycznym.

Trzonem tego świata słowiańskiego są bez wątpienia narody rosyjski (wielkoruski) i polski. Są nim przez swą liczebność i przez swą ogromną tradycję państwową. Ostatni współczynnik powodował w przeszłości częste krzyżowanie szpad między tymi dwoma narodami. Ale też wyrównanie tych różnic, które następuje poprzez wskazanie na momenty łączące dziś oba narody i poprzez odwołanie się do wspólnego pochodzenia, stworzy warunki wzmocnienia spoiwości między obydwoma narodami.

Rzecz jasna, że nowy porządek nie może powstać i ugruntować się z miejsca i bez oporu. Niektóre formy oporu bardzo przypominają minione czasy Kongresu Wiedeńskiego. Podówczas odbudowywano Prusy, teraz odbudowuje się Niemcy zachodnie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że przygotowanie wojskowe jest istotną częścią programu walki z nowym światem. Pod tym kątem widzenia

trzeba patrzeć na fakty zaświadczone w procesie, który niedawno toczył się przed sądem wojskowym w Warszawie. Sąd społeczeństwa o nim musi zależeć od tego, do czego to społeczeństwo dąży i czego chce. Nie można budować Polski nad Odrą i Wisłą, Polski związanej ze Związkiem Radzieckim także socjalistycznym porządkiem rzeczy, a równocześnie pielęgnować te tradycje, które stały u narodzin roku 1914. Wszelkie formy współczesnego wiązania się ze światem anglosaskim równają się łączeniu z blokiem zachodnio-niemieckim, równają się śmiertelnemu zagrożeniu stanu posiadania polskiego na Ziemiach Zachodnich.

Z. W.

ADAM STEFAN KARDYNAŁ SAPIEHA

Dnia 23 lipca 1951 r. zmarł w Krakowie arcybiskup-metropolita krakowski ks. Adam Stefan kardynał Sapieha w 85 roku życia a w 40 roku pasterzowania archidiecezji krakowskiej. Ten długi — jeden z najdłuższych w dziejach biskupstwa krakowskiego — okres jego rządów pasterskich w Krakowie objął dobę największych przewrotów politycznych i społecznych, jakie przeżył naród polski od upadku dawnej Rzeczypospolitej. Nie było Polaka, który by wszystkim te wstrząsy przetrwał jak On na wysokim i jakże odpowiedzialnym stanowisku bez zachwiania się i bez zboczenia od raz wytkniętej drogi obowiązku wobec Kościoła i Narodu. Drogę tę podyktowała mu od pierwszej chwili działalności publicznej niezłomna wiara w Boga, miłość ludzi i wynikające stąd umiłowanie prawdy i sprawiedliwości powszechnej. Wytrwać na tej drodze pozwolił mu wyjątkowy hart ducha i rzadka zdolność rozumienia moralnych i materialnych potrzeb ludzi bez względu na ich poziom kulturalny i przynależność klasową. Wyjątkowa pracowitość, niewyczerpana energia i stanowczość w działaniu, wielka skromność i prostota w obcowaniu z ludźmi dopomagały mu do przeprowadzania zamierzeń, nie dyktowanych nigdy względami na osoby, ale płynących zawsze z przekonania o słuszności obranej drogi. W życiu i w działaniu nie był skłonny do rozważań teoretycznych, chodziło mu przede wszystkim o praktyczne i rzetelne rozwiązywanie zadań, jakie uznawał w tym czy innym położeniu za potrzebne dla podniesienia poziomu moralnego i utwierdzenia moralnej postawy społeczeństwa lub niesienia mu pomocy materialnej w ciężkich momentach, których tyle przeżywał nasz naród w dobie jego działalności arcybiskupiej.

Urodzony w cztery lata po powstaniu styczniowym jako syn gorliwego działacza z doby powstania, więźnia stanu, Adama Sapiehy z Krasiczyna, zwanego w kołach konserwatywnych ówczesnej Galicji „czerwonym księciem“, przyszedł kardynał wyniósł z dzieciństwa żywe tradycje narodowe i demokratyczne, które od początku jego działalności publicznej stawiały go w pewnej opozycji wobec rządzącego Galicją stronnictwa tzw. „stańczyków“, a zbliżały do szerokich kół społeczeństwa, w szczególności do ludu i miejskich warstw pracujących, których potrzeby i nastroje rozumiał i znał jak przed nim żaden z książąt Kościoła polskiego. Momenty te znajdują coraz szerszy wyraz w ciągu długich jego rządów biskupich. Od chwili objęcia stolicy książęco-biskupiej w Krakowie dąży wciąż konsekwentnie do wzmacniania łączności między duchowieństwem a szerokimi kołami ludności diecezji, między innymi przez mnożenie ilości parafii i zmniejszanie ich rozmiarów, aby zbliżyć duszpasterzy do ludu. W stosunku do duchowieństwa kładzie nacisk przede wszystkim na duszpasterską i społeczną pracę duchowieństwa, wymagając od niego coraz większych wysiłków i ofiarności. Z tych samych motywów, opartych na miłości bliźniego, wychodziła jego niezmordowana i wielostronna akcja charytatywna. Pierwszym jej przejawem na wielką skalę było zorganizowanie w Krakowie z inicjatywy księcia-biskupa w początkach pierwszej wojny światowej tzw. Komitetu Książęco-Biskupiego (K. B. K.), który rozwinął w krótkim czasie przy poparciu przez krajowe i zagraniczne ośrodki polskie intensywną działalność ratowniczą nie tyle przez rozdzielanie wsparć potrzebującym pomocy ofiarom wojny, ile przede wszystkim przez organizowanie zakładów leczniczych dla dzieci cierpiące na choroby „wojenne“; z zakładów tych dwa, przejęte po wojnie przez Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego, istnieją po dziś dzień: szpital dla dzieci gruźliczych w Zakopanem i dla dzieci chorych na jaglicę w Witkowicach pod Krakowem. Równocześnie zajmował się też niesieniem pomocy tysiącom ludności polskiej z Galicji ewakuowanym do Chocni w Czechach i do Austrii, których

położenie materialne i sanitarne warunki życia były często rozpacliwe. Ta wielostronna akcja w czasie wojny 1914—1918 zdobyła biskupowi krakowskiemu serca i rozgłos w całym kraju, które stały się podstawą jego trwałej popularności w najszerszych kołach.

Odbudowa państwa polskiego w 1918 r. wciągnęła początkowo ks. Sapiehę — wraz z najbliższym jego przyjacielem, arcybiskupem Teodorowiczem — w wir życia politycznego, tak dalece że przez krótki czas piastował nawet mandat senatorski. Interesował się mianowicie szczególnie powróconymi Polsce ziemiami b. zaboru pruskiego, a zwłaszcza Górnym Śląskiem, przeżywającym wtedy paroksyzmy powstań i walk plebiscytowych. W obronie interesów polskości nie wahał się wówczas popaść nawet w konflikt z niektórymi czynnikami kościelnymi, nie dość bezstronnie działającymi na terenie plebiscytowym. Odsunawszy się potem od czynnego udziału w życiu politycznym, odnosił się zwłaszcza po przewrocie majowym 1926 r. bardzo krytycznie do panującego systemu, nie mając uznania, a czasem wprost potępiając metody polityki wewnętrznej i zagranicznej tzw. sanacji. W związku z reorganizacją diecezji polskich po zawarciu konkordatu z Watykanem w 1925 r. zamianowany arcybiskupem-metropolitą krakowskim, oddał się tym gorliwiej sprawom religijno-społecznym, zwołując (dwukrotnie) synody duchowieństwa swej archidiecezji w celu unowocześnienia pracy duszpasterskiej.

Wybuch drugiej wojny światowej narzucił ks. metropolicie nowe, jakże trudne zadania. Z początku nie zdając sobie sprawy, czym nowa wojna różnić się będzie od poprzedniej, dał hasło utworzenia — na wzór dawnego K. B. K. — komitetu obywatelskiego dla roztożenia opieki nad ludnością i zapewnienia porządku wobec wycofania się władz polskich z miasta. Ale komitetowi temu nie było sądzone rozwinąć faktycznej działalności. Dowódca niemiecki, wkraczający do Krakowa dn. 6. IX. na czele wojsk, narzucił najpierw jego członkom rolę zakładników w czasie głównego przemarszu armii nieprzyjacielskiej przez Kraków, a następnie zakazał jego działal-

ności, która jednak w konspiracji trwała nadal. W pierwszych tygodniach wojny, gdy na terenie Krakowa, zanim wzmógł się do ostatnich granic ucisk wroga, z dawnych instytucji polskich działały dwie tylko: Kuria Metropolitalna i Uniwersytet Jagielloński, nawiązała się z natury rzeczy ścisła współpraca między arcybiskupem a rektorem Wszechnicy Jagiellońskiej, której losami zresztą metropolita interesował się zawsze, poczuwając się w tym względzie do dziedzictwa po swoich poprzednikach w dawnej Polsce, którzy byli z urzędu „kanclerzami” i opiekunami Uniwersytetu. Współpraca ta znalazła przede wszystkim wyraz w poparciu przez ks. Sapiełę zorganizowanej przez rektorat Uniwersytetu „Tymczasowej Komisji Szkolnej”, która zastępując nie istniejące władze szkolne uruchomiła naukę w większości szkół powszechnych i średnich w Krakowie i bliższej okolicy. Na zlecenie metropolity w ramach tej Komisji zajął się zorganizowaniem nauki religii w szkołach biskup Michał Godlewski, prof. Uniw. Jagiell. Działalność jej nie była zresztą długa: napływające do Krakowa władze niemieckie cywilne zaczęły coraz bardziej utrudniać jej działanie, aż wreszcie policja niemiecka pracę jej wzięła za jeden z pretekstów uzasadniających zamknięcie Uniwersytetu, aresztowanie grona profesorów i asystentów (dn. 6. XI. 1939 r.) i wywiezienie ich do obozu koncentracyjnego. Mimo to trwała dalej współpraca metropolity z tajnymi władzami uniwersyteckimi, które zawsze mogły liczyć na pomoc i poparcie z jego strony. Był to jednak jeden tylko, i to drobny wycinek jego działalności pod okupacją hitlerowską. Przez cały czas trwania okupacji metropolita krakowski był najwyższym czynnikiem katolickim w Polsce, z którym liczył się w znacznym stopniu także okupant. On jeden miał swobodę ruchu nie tylko w obrębie swej diecezji — nawet na zachodnich skrawkach jej przyłączonych do „Reichu”, ale w całej tzw. Generalnej Guberni, on jeden mógł w ważnych wypadkach protestować i interweniować u władz okupacyjnych. Interwencje te nie zawsze wprawdzie były skuteczne, ale i tak przyniosły w wielu wypadkach ulgę gnębionej ludności. Pomagał przy tym wiele

jedynej przez Niemców uznawanej instytucji charytatywnej, Radzie Głównej Opiekuńczej (R. G. O.). Równocześnie na własną rękę wspierając sierocińce i przytulki dla ofiar wojny, którym zwłaszcza, gdy po powstaniu warszawskim moc uchodźców napłynęła do Krakowa, dawał miejsce w budynkach klasztornych. Przez cały czas trwania okupacji mimo wzmagającego się wyczerpania nerwowego i fizycznego zachowywał niezmienny hart ducha, w stosunku zaś do okupanta postawę pełną godności, a nawet — nigdy poza tym nie okazywanej — wyniosłości, która onieśmielała i nakazywała wobec niego szacunek najbardziej uzuchwalonym hitlerowskim dygnitarzom. Postawa ta i cała działalność metropolity Sapiehy w czasie wojny wzmogła ogromnie autorytet jego i przywiązanie, jakim go zewsząd otaczano.

W chwili wyzwolenia, pojmując w pełni doniosłość zachodzących przemian społecznych i politycznych, stanął od razu na gruncie współpracy z państwem ludowym. Popierał też dążenia do pełnego uregulowania stosunków między Kościołem a Państwem, czego najlepszym wyrazem jest podpis jego na akcie porozumienia między Episkopatem a Rządem Rzeczypospolitej z dnia 14 kwietnia 1950 r.

Po wojnie dwukrotnie odbywał podróż do Rzymu. Pierwsza z tych podróży po kapeluszu kardynalski wręczony mu przez Ojca św. Piusa XII dnia 18 lutego 1946 r. zakończyła się prawdziwie triumfalnym powrotem. Drugi taki pochód triumfalny — żałobny — czekał go w dniach pogrzebu, 26 i 27 lipca br., kiedy to katolicy Krakowa i Polski południowej żegnali go na wieki jako jednego z najznakomitszych księży Kościoła, jakich wydała Polska.

KONDOLENCJE RZĄDU RP

Po zgonie śp. Kardynała Sapiehy nadeszło na ręce ks. arcybiskupa Baziaka jako wikariusza kapitulnego w Krakowie oraz do kapituły metropolitalnej wiele depesz i listów z wyrazami kondolencji z kraju i zagranicy.

W związku ze śmiercią Ks. Kardynała Sapiehy kapituła krakowska wysłała na ręce Prezydenta R. P. następującą depeszę:

„Jego Ekscelencja Pan Prezydent R. P. Bolesław Bierut

Warszawa

*W głębokim smutku pogrążeni przesyłamy Panu Prezydentowi
żałobną wiadomość o dzisiejszym zgonie Kardynała Sapiehy.*

Kapituła Metropolitalna Krakowska“.

Analogiczną depeszę otrzymał Prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz.

Dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań, Minister Antoni Bida, wysłał w dniu 24 bm. do Kapituły Krakowskiej następującą depeszę:

*„Z polecenia Prezydenta Rzeczypospolitej oraz Rządu R. P.
przesyłam kondolencje z powodu zgonu Adama Stefana Kardynała
Sapiehy, arcybiskupa krakowskiego“.*

W pogrzebie Ks. Kardynała Sapiehy wziął udział jako delegat Rządu dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań, minister Antoni Bida.

Franciszek Sławski

PIŚMIENNICTWO STAROSŁOWIAŃSKIE NA TERENIE WIELKICH MORAW I PANONII W DOBIE CYRYLO-METODIAŃSKIEJ*)

Profesorowi Tadeuszowi Lehrowi-Splawińskiemu w sześćdziesiątą rocznicę urodzin a czterdziestą rocznicę pracy naukowej

Autor

Piśmiennictwo słowiańskie zaczyna się w drugiej połowie IX w. na Bałkanach, skąd przedostaje się z czasem z jednej strony na zachód do Słowian zachodnich w państwie wielkomorawskim, z drugiej zaś o wiek później do Słowian wschodnich na Ruś. W ostatnich latach był szereg prób wykazania wcześniejszych początków piśmiennictwa słowiańskiego. Jedne z nich, nieudane¹⁾ (O h i e n k o, N i k o l s k i), starały się wykazać znacznie wcześniejsze początki piśmiennictwa słowiańskiego na południowej Rusi (opierając się na VIII rozdziale Żywotu Konstantyna-Cyryla, gdzie jest wzmianka, że Konstantyn podczas swej misji do Chazarów znalazł na Krymie Ewangelię i Psalterz pisane ruskimi literami), inne, mniej lub więcej udane (G e o r g i e w, I s a c z e n k o), słusznie podkreślają, że pierwsze załączki piśmiennictwa musiały powstać znacznie wcześniej, przed wystąpieniem Konstantyna-Cyryla i Metodego. Także i dawniejsze badania (np. J a g i c i a) nie wykluczały, zgodnie z świadectwem pierwszego obrońcy piśmiennictwa słowiańskiego mnicha Chrabra, że już przedtem były próby pisania literami greckimi czy łacińskimi po słowiańsku, tak iż nowsze badania rozwijają tylko tę

*) Artykuł niniejszy przeznaczony był do tomu II/51 „Przeglądu Zachodniego“, poświęconego Profesorowi Tadeuszowi Lehrowi-Splawińskiemu w sześćdziesięciolecie Jego urodzin a czterdziestolecie pracy naukowej. W związku z częściową zmianą projektowanej tematyki wspomnianego tomu artykuł ukazuje się na łamach „Życia i Myśli“.

Redakcja

¹⁾ Odrzuca je zdecydowanie np. J. V a j s, Rukověť hláolské paleografie, Praha 1932, s. 5.

myśl, zakładając już przed dobą cyrylo-metodiańską istnienie słowiańskiego języka kulturalnego (Isaczenko)²⁾.

Nic dziwnego, że piśmiennictwo słowiańskie zaczyna się na Bałkanach u południowych Słowian, w bezpośrednim sąsiedztwie potężnego ogniska cywilizacji Bizancjum i Rzymu. Dziwny jest raczej fakt, że zaczyna się tak późno, że przez VII i VIII w. nie mamy najmniejszych nawet śladów jakichkolwiek zabytków piśmiennictwa słowiańskiego, chociaż niewątpliwie szerzenie chrześcijaństwa wśród pogańskich Słowian południowych, szczególnie bizantyjskich, alpejskich i adriatyckich, sięga VII w.³⁾. Ostatnie badania językoznawcze (Skok⁴⁾, Titz⁵⁾ i filologiczne ((Vondrák, Grafenauer, Isaczenko) wydobyły na światło ślady wpływów przede wszystkim łacińskich, w mniejszym stopniu germańskich, które jednak nie znalazły odbicia choćby w jakichś fragmentach zabytków do połowy IX w. Badania językoznawcze, przede wszystkim Skoka, wykazały, że ogromny wpływ na słowiańską terminologię chrześcijańską wywarła łacina bałkańska i patriarchat w Akwilei (tak więc okazał się znacznie przesadzonym przejmowany przedtem powszechnie za Miklosichem wpływ germański). Badania filologiczne udowodniły, że działalność misyjna duchowieństwa łacińsko-bawarskiego (na szczególną uwagę zasługuje działalność Irlandczyka Wírgilego) doprowadziła już znacznie wcześniej do tłumaczeń na język Słowian nawracanych najkonieczniejszych modlitw, niezbędnych przy działalności misyjnej, których ślady powoli się odnajdują bądź to w piśmiennictwie staro-cerkiewno-słowiańskim, bądź też w starszych fazach piśmiennictw poszczególnych języków słowiańskich (np. staro-cerkiewno-słowiański przekład starobawarskiej mo-

²⁾ Začiatky vzdelanosti vo Vel'komoravskej ríši, Jazykovedný sborník I-II, 1946—1947, 137—178, 265—317.

³⁾ P. Skok, Dolazak Slovena na Mediteran, Split 1934. (Cz. II, r. XIV). Ważnym źródłem do poznania początków chrześcijaństwa u Słowian alpejskich, na Morawach i Słowacji jest „De conversione Bagoariorum et Carantanorum libellus“.

⁴⁾ La semaine slave, Revue des études slaves V, 1925, 14—23; La terminologie chrétienne en slave ib. VII, 1927, 177—198; Slave *krst* „baptême“, ib. XI, 1931, 201—203.

⁵⁾ Nejstarší vrstva českých slov církevných a kulturních, Slavia IV, 1930—1931, 19—35.

dlitwy spowiedniej w Modlitewniku synajskim, formuły spowiednie Fragmentów fryzyńskich I, III).

I

Początki piśmiennictwa słowiańskiego łączą się ściśle z działalnością misyjną dwóch Greków ⁶⁾ Konstantyna (znanego częściej pod zakonnym imieniem Cyryla) i Metodego (imię zakonne, świeckie nie znane), którzy w latach 860—885 przetłumaczyli z swego ojczystego języka greckiego dla celów związanych ze swoją pracą misyjną najważniejsze części Pisma świętego i fragmenty ksiąg liturgicznych. W związku z tym młodszy z dwóch braci, Konstantyn, stworzył specjalny alfabet, tzw. głągolicę, opartą na stylizowanej greckiej minuskule w. IX z dodatkiem kilku liter wzorowanych na alfabecie samarytańskim dla głosek nie znanych grece ⁷⁾. Drugi alfabet starosłowiański, o wiele bardziej zbliżony do greki, tzw. cyrylica, oparta na majuskule, alfabecie uncjalnym greckim, jest późniejszy i powstał już po śmierci Metodego, zapewne jeszcze pod koniec IX w., jako dzieło jednego z uczniów Cyryla i Metodego, może św. Klimenta w Macedonii albo w północno-wschodniej Bułgarii. Nazwa „cyrylica“ była by więc wyrazem pietyzmu dla św. Cyryla ⁸⁾.

II

Jak doszło do powstania piśmiennictwa starosłowiańskiego i z jakim terytorium związany jest jego język? Oto pytania, które przez długi czas były przedmiotem zażartych dyskusji w kołach naukowych, i od czasu ukazania się cytowanej już epokowej pracy Jagicia ⁹⁾ uchodzą za rozwiązane. Podstawą odpowiedzi na te pytania są przede wszystkim

⁶⁾ Nie ma żadnych podstaw do wątpliwości, że byli to Grecy, por. ostatnio Małeck i, *Inter Arma*, 1946, 51—57; Gerow, *Slavia XVII*, 1946, 38—53.

⁷⁾ Vajs, *Rukověť hlaholské paleografie*, 37—59.

⁸⁾ Po pracach Jagicia, *Entstehungsgeschichte der kirchenslavischen Sprache*³, Berlin 1913, i Vajsa l. c. starszeństwo głągolicy jest powszechnie uznane. Niczym nie uzasadniona teoria Georgiewa, *Началото на славянската писменостъ въ България*, София 1942, jakoby cyrylica powstała drogą stopniowego formowania się z pisma greckiego grubo przed działalnością Cyryla i Metodego.

⁹⁾ Różnice w porównaniu z wydaniem pierwszym (r. 1900), przede wszystkim rozszerzenie działu słownikowego, przedstawia dokładna recenzja Pastrnka, *Archiv f. slav. Phil.* XXXV, 1914, 202—226.

1. tzw. legendy panońskie, żywoty Konstantyna-Cyryla i Metodego

(nazwa „panońskie“ jest niesłuszna, powstały bowiem na Morawach), które okazały się po największej części zupełnie wiarogodnymi źródłami, jak je nazywają niektórzy uczeni: prawdziwymi monografiami historycznymi, potwierdzonymi częstokroć przez inne źródła¹⁰⁾. Hiperkrytyczne stanowisko wobec tych legend, np. Brücknera¹¹⁾, okazało się nieuzasadnione.

2. sam język tych najdawniejszych zabytków.

Geneza powstania języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, a co za tym idzie i piśmiennictwa starosłowiańskiego łączy się w świetle legend panońskich z poselstwem¹²⁾ Roścysława, księcia wielkomorawskiego, skierowanym około r. 860 do Bizancjum. Chodziło o przysłanie nauczycieli, którzy by w rodzimym języku słowiańskim głosili słowo Boże. Nie chodziło tu o nawracanie, jak to wyraźnie za-

¹⁰⁾ Są to dzieła oryginalne, nie tłumaczenia, powstałe niewątpliwie jeszcze w IX w., choć zachowane w odpisach późniejszych, Żywot Metodego najwcześniej w odpisie redakcji ruskiej XII w., Żywot Konstantyna-Cyryla najwcześniej w redakcji południowo-słowiańskiej z w. XV. Brak dotychczas prawdziwie naukowego wydania, tych źródeł, wydania, które by uwzględniało cały dostępny dziś materiał krytyczny. Wydania Pastrnka (*Dějiny slovanských apoštolů Cyrilla a Methoda*, Praha 1902) i Bałana (*Кирилъ и Методий*, София 1920) dziś przestarzałe. Najbogatsze jest wydanie Ławrowa (*Материалы по истории возникновения древнейшей славянской письменности* Изд. Акад. Наук СССР, Ленинград 1930), uwzględniające największą ilość rękopisów (a jest ich wiele: Życie Konstantyna znamy w 35, Metodego w 8 rękopisach). Leksykalną, stylistyczną i tekstowo-krytyczną analizę źródeł przygotowywał przedwcześnie zmarły M. Weingart, por. *Byzantinoslavica* V, 1933—1934, 424. Cenne naświetlenie tła bizantynologicznego dał F. Dvorník (*Les légendes de Constantin et de Méthode vues de Byzance*, Prague 1933; *Les Slaves, Byzance et Rome au IX-e siècle*, Paris 1926). Pierwsze polskie wydanie wraz z tłumaczeniem przygotowuje T. Lehr-Spławiński.

¹¹⁾ *Die Wahrheit über die Slavenapostel*, Tübingen 1913; *Cyrillo-Methodiana*, Odb. z Kwart. Hist. XLVII, 1—26, 1933, por. też *Archiv f. slav. Phil.* XLII, 1928, 161—183.

¹²⁾ O którym co prawda nic nie wiemy ze źródeł historycznych, co pozwalało Brücknerowi traktować misję Konstantyna-Cyryla i Metodego jako czysto prywatną, z ich własnej inicjatywy wypływającą, bez żadnych aspektów politycznych.

znaczącą legendy, bo przecież duchowieństwo łacińsko-bawarskie od przeszło stu lat działało na Morawach. Najprościej przyjąć, że książę wielkomorawski Rościśław chciał w ten sposób uniezależnić się od wpływów duchowieństwa łacińsko-germańskiego, choć nie chodziło tu zapewne o jakiś formalny sojusz z Bizancjum, zwrócony przeciw przymierzowi bułgarsko-frankońskiemu¹³⁾. Cesarz bizantyjski Michał wybrał do tej misji dwóch Greków, wyróżniających się zdolnościami, wykształceniem i doświadczeniem w pracy misyjarskiej: Konstantyna-Cyryla i Metodego, pochodzących z Solunia i stąd obznajmionych doskonale z mową słowiańską, ściśle południowo-wschodnio-macedońską, która podówczas powszechna już była w najbliższych okolicach Solunia.

Przed udaniem się na wyprawę misyjną powstały na pewno niezbędne tłumaczenia najważniejszych do pracy misyjnej części Pisma św., a więc przede wszystkim tych części Ewangelii, które się odczytuje w niedziele i święta (tzw. Ewangeliarz, Aprakos), zapewne też wyboru Psalmów, najkonieczniejszych modlitw liturgicznych. Bardzo prawdopodobna jest niejednokrotnie wysuwana możliwość, że obaj bracia pracowali już przedtem czas dłuższy nad nawracaniem Słowian macedońskich i w związku z tym musieli mieć przygotowane fragmenty Pisma św. Przecież i tak kunsztowne tłumaczenie, chociażby tylko Ewangeliarza, i stworzenie tak doskonałego i oryginalnego alfabetu, jak głągolica, wymagało dłuższego okresu czasu, co najmniej kilku lat. Za istnieniem słowiańskiej terminologii chrześcijańskiej w Macedonii przed wystąpieniem Cyryla i Metodego przemawia fakt, stwierdzany już przez Jagicia, że w najdawniejszych tekstach staro-cerkiewno-słowiańskich jest wiele wyrazów greckich nie przetłumaczonych, co, jak trafnie objaśnia Isaczenko (l. c. 163—4), pozostaje w związku z tym, że te wyrazy były w potocznym użyciu u nawróconych Słowian macedońskich, zdobyły sobie prawo obywatelstwa w języku kultu-ralnym.

¹³⁾ Kontrastowe poglądy Dvornika i Brücknera stara się uzgodnić Prof. T. Lehr-Spławiński, Cyrillo—Methodiana, *Collectanea Theologica* XVII, 1936, 41—50. Ten sam autor zajął się też zagadnieniem związku misji panońskiej z działalnością Focjusza, *Życie i Myśl*, I, 1950, 23—32.

Ogromna większość tłumaczeń powstała dopiero potem w związku bezpośrednim z terenem działalności Cyryla i Metodego, a więc w czasie przeszło dwudziestoletniej pracy misyjnej w państwie wielkomorawskim lub częściowo w czasie okresowego ich pobytu w Panonii. Część wreszcie tłumaczeń starocerkiewnych powstała dopiero w okresie późniejszym, po śmierci Metodego, znowu na południu Słowiańszczyzny lub, jak z najnowszych badań wynika, na terytorium czeskim.

O język piśmiennictwa starocerkiewnego długi czas w nauce toczono zażarte spory. Chodziło o rzecz istotną, czy podstawą, na której oparli się Konstantyn i Metody, było najlepiej im znane narzecze soluńskie, czy też oparli się oni na mowie Słowian wchodzących w skład państwa wielkomorawskiego, gdyż dla nich praca była przeznaczona. Dziś po badaniach przede wszystkim Jagicia¹⁴⁾ powszechnie się uznaje, że nie ma żadnych podstaw doszukiwania się prototypu języka starocerkiewnego ani u zachodnich Słowian w państwie wielkomorawskim, ani tym bardziej, jak to głosili zwolennicy teorii panońskiej, u niezbyt pewnych historycznie Słoweńców panońskich. Zgodnie ze świadectwami źródeł i z budową tego języka, uznaje się, że podstawą jego były gwary macedońskie okolic Solunia, niewątpliwie bliskie typowi językowemu bułgarskiemu. Co prawda nie udało się dotychczas dokładnie zlokalizować tych gwar macedońskich mimo szeregu prac w tym kierunku¹⁵⁾, co zresztą przy naszej znajomości terenu macedońskiego (dotychczas brak nawet słownika!) nie dziwi.

Za najważniejsze cechy tego pierwotnego języka, spotykane do dziś w okolicach Solunia, uważa się połączenia *št*, *žd* jako odpowiedniki prasłowiańskich *tj*, *kt*, *dj*¹⁶⁾, a dalej szeroką wymowę pierwotnej samogłoski *ě*, zaświadczoną dobrze w pierwotnej głągolicy przez jeden znak na *ě* i na *ja*.

¹⁴⁾ Entstehungsgeschichte² §§ 23—43.

¹⁵⁾ Określał on, l. c., ojczyznę języka starosłowiańskiego bardzo ogólnie między Soluniem a Konstantynopolem. Ostatnio Durnowo, „Мысли и предположения о происхождении старославянского языка и славянских алфавитов, Byzantinoslavica I, 1929, 64, uważał za podstawę raczej gwary południowo-zachodnio macedońskiej, poczynsz od samego Solunia.

¹⁶⁾ Skomplikowaną hipotezę Durnowo (l. c. 54—58) o wtórności *št*, *žd* w języku starocerkiewnym, nie uzasadnioną faktami, słusznie odrzuca prof. T. Lehr-Spławiński, Roczn. Slaw. XVI, 1948, 133—137.

Słusznie zwraca uwagę D u r n o w o ¹⁷⁾, że był to przede wszystkim język literacki, którego nie można identyfikować z jakimś indywidualnym językiem czy żywą gwarą. Nie ma podstaw do sądzenia, że język ten zgadzał się wszystkimi swoimi cechami z jakąkolwiek gwarą. Przeciw uważaniu go za język starobułgarski wystąpił ostatnio bardzo zdecydowanie uczony radziecki S. B. B e r n š t e j n ¹⁸⁾, podkreślając obcość jego dla właściwej starej bułgarszczyzny. Znamienne, że także analiza słownikowa języka starocerkiewnego przeprowadzona przez S. M. K u l b a k i n a ¹⁹⁾, podkreślając ogromną większość prasłowiańskich i ogólnosłowiańskich elementów leksykalnych w tym języku, nie znalazła tu jakichś specjalnych cech bułgarskich, choć można mieć wielkie zastrzeżenia do konkluzji, jakoby najbliższa słownikowo do języka starocerkiewnego była grupa serbo-chorwacko-słoweńska.

III

Terenem przeszło dwudziestoletniej działalności misyjnej Konstantyna-Cyryla i Metodego było przede wszystkim państwo wielkomorawskie, w którego skład wchodziły plemiona zachodniosłowiańskie, jakie potem, po upadku Wielkich Moraw w pierwszych latach X wieku, znalazły się, w większości, w obrębie państwa czeskiego. Najnowsze badania uczonych słowackich, zwłaszcza S t a n i s l a v a , starają się przesunąć środek ciężkości misji słowiańskiej do Słowacji i wysuwają niczym nie popartą hipotezę, jakoby siedzibą Metodego była słowacka Nitra ²⁰⁾. Prace onomastyczne Stanislava ²¹⁾

¹⁷⁾ L. c. 48—49.

¹⁸⁾ К вопросу о периодизации истории болгарского языка, Известия Акад. Наук СССР, Отдел. лит. и яз. IX, 1950, 108—118.

¹⁹⁾ О речничкой страни старословенског језика, Глас Срп. Крал. Акад. СХХХVIII, 73, 1930, 87—143, por. recenzję Mileticza, Maked. Pregl. VI, 1930, 125 nn.

²⁰⁾ Literatura zagadnienia i dokładne krytyczne omówienie: T. L e h r - S p ł a w i ŋ s k i, Działalność Konstantyna i Metodego a Słowaczyna, Roczn. Slaw. XVI, 1948, 116—138.

²¹⁾ Ostatnio trzytomowy Slovenský juh v stredoveku, Turč. Sv. Martin 1948.

przesuwają zarazem granicę zasięgu słowaczyny znacznie dalej na wschód. Żywioł zachodnio-słowiański obejmował według niego przynajmniej północną część Panonii po Jezioro Błotne. Czy poglądy Stanisława utrzymają się w pełni, wątpliwe, dotychczasowa dyskusja nie wskazuje na to, na pewno trzeba się liczyć też z znacznie silniejszym elementem południowo-słowiańskim w Panonii (jak wykazują badania uczonych słoweńskich, zwłaszcza Grafenauera²²), za którego szczątkową pozostałość uważa się słoweńskie gwary prekmurskie.

Zrozumiałe jest samo przez się, że podczas swej długoletniej pracy na Morawach i w Panonii Konstantyn i Metody musieli dostosować częściowo przynajmniej swój macedoński język do środowiska zachodnio-słowiańskiego. Przede wszystkim musieli uwzględnić lokalną terminologię chrześcijańską będącą tu w użyciu przynajmniej od wieku. Tak samo spodziewalibyśmy się, że język przeniesiony z Macedonii wchłonie szereg innych pierwiastków lokalnych zachodnio-słowiańskich czy też północnego zachodu południowej słowiańszczyzny (dzisiejsze narzecza kajkawskie, czakawskie). I rzeczywiście da się wykazać pewną ilość tych morawizmów czy panonizmów w najdawniejszych zabytkach piśmiennictwa starsłowiańskiego, elementów, które żyją dziś bądź to w języku czeskim czy słowackim, bądź też w słoweńskim czy w gwarach czakawskich, ale jest ich nadspodziewanie mało.

Nie mamy monograficznego opracowania tego zagadnienia. Punktem wyjścia jest ciągle bogaty zbiór materiału słownikowego, uporządkowany chronologicznie w Jagicia *Entstehungsgeschichte* (281—540) i późniejsza praca Kulbakina (cytowana: *O rečničkoj strani*), dająca materiał porównawczy z innych języków słowiańskich, jak to słusznie stwierdził H o r á l e k²³), pod tym względem hiperkrytyczna. Niepełny przegląd dotychczasowych badań w tym kierunku dał Stanisław²⁴). Najcenniejszym może dotychczas jest przyczynek P a-

²²) Np. Starobavarska (svetoemmeramska) molitev v starem slovenskem in v stosl. jeziku, Slovenski jezik I, 1938, 8—54.

²³) K otázce lexikálních bohemismů v staroslověnských památkách, Slovanské studie, Sběrka statí věnovaných ... J. Vajsovi, Praha 1948, 115—119.

²⁴) Dnešní stav otázky československých prvků v staroslověnských památkách, Říša velkomoravská — sborník vědeckých prac, Praha 1933, 491—532.

strnka, który w swej wartościowej recenzji książki Jagicia pozbierał i wyodrębnił porozrzucane przykłady morawizmów czy panonizmów ²⁵).

Wyrazy pochodzenia łacińskiego lub germańskiego, które niegdyś służyły jako główny argument zwolennikom teorii panońskiej, okazują się obecnie albo już znacznie wcześniejszymi pożyczkami ogólnoczy prasłowiańskimi (jak *cēsarę*, *postę*, *cręky*; tu może i kalka łaciń. *misericors*, *milosrędę*), albo pożyczkami z łaciny bałkańskiej, które przedostały się i do greki (*oltarę*, *poganę*, *popę*), albo wreszcie takie, jak *papeżę*, *kriżę*, *męša*, wyjątkowo tylko występujące w najdawniejszych zabytkach cerkiewnych jako dublety greckich wyrazów pierwotnych (*papa*, *kręstę*, *liturgija*). Silniejsze zabarwienie tą łacińsko-germańską terminologią chrześcijańską znajdujemy dopiero w zabytkach z wyraźnymi cechami zachodnimi, jak np. w fragmentach Mszału kijowskiego.

Jeśli chodzi o wyrazy rdzennie słowiańskie, wyjątkowo tylko dadzą się stwierdzić w kanonie, w najdawniejszych zabytkach doby cyrylo-metodiańskiej, jakieś pewniejsze reminiscencje słownikowe panońsko-morawskie. Najwięcej jest jeszcze zachodnio-słowiańskich (odnajdywanych przede wszystkim w słownikach czeskich), np. *neroditi*, *skrina*, *skrinica*, *męditi*/*muditi*, *studenę cę*, *sęnemę*, *malomoštę*, *praxněnę*, *klepęcę*, *sanę/sanę*, *akę* (słowacyzm); według Isaczénki (Jazykovedný sborník I—II, 1946—1947, 281, 283) *otępustiti*, *izbaviti*.

Znacznie rzadziej znajdzie się jakiś zwrot czy wyraz typowo panoński, znajdujący się dziś w słoweńszczyźnie: *vęřę jęti* (słoweńskie *verjeti*, *verjamem*), *ręsnota* (już Ps. Sin.), *ręsnotivęnę*.

Kilka wyrazów uchodzi za morawsko-panońskie: *ašjutę*, przedrostek *vy-* (częstszy w Ps. Sin.), forma *pęsati*; według Nahtiga ²⁶) też *potępęga*, *podębęga* (Ass., Mar.).

Rzadko trafiają się też naloty głosowe zachodnio-słowiańskie. Najczęściej wymienia się tu: Mar. *rozęstvo*, *vizžę*, Sin. Ps. *nevęzestva*, *osjęce*, *vęrozumęšaago*, *plača* (part.), *vęsę zemlę* (nom. sg.), Kloc. *rozęstvo*, *rozęstvu* ²⁷).

²⁵) Archiv f. slav. Phil. XXXV, 1914, 221—223.

²⁶) Starocerkvenoslovanske študije, Ljubljana 1936, 31—53.

²⁷) Durnowo, Byzantinoslavica I, 1929, 49 uw. 3.

Jak wytłumaczyć to minimalne zachodnio-słowiańskie zabarwienie najdawniejszych zabytków piśmiennictwa starosłowiańskiego? Czy jest to dopiero właściwość odpisów powstałych znowu na Bałkanach i przeredagowanych tam, poddanych rewizji, jak sądzi np. Horálek (l. c.)²⁸⁾? Czy nie było ich wiele i w oryginałach, skoro ogromna większość słownictwa starocerkiewnego składała się, jak to wykazał Kulbakin, z wyrazów ogólnolub prasłowiańskich? Z odpowiedzią na te pytania trzeba się wstrzymać do czasu wykonania prac przygotowawczych, które wyjaśnią nam lepiej geografię leksykalną współczesną i historyczną języków słowiańskich.

IV

Piśmiennictwo cerkiewnosłowiańskie dzieli się na szereg okresów w zależności albo od chronologii powstania zabytków, albo od terytorium geograficznego, na którym te zabytki powstały. Pod względem chronologii wyróżnia się zwykle dwie grupy zabytków: 1. staro-cerkiewno-słowiańską do końca XI w., 2. późniejszą, począwszy od XII w., grupę zabytków wykazujących już mniej lub więcej znaczne odchylenia od prototypu z silniejszym zabarwieniem lokalnym. W grupie pierwszej, szczególnie nas tu obchodzącej, wyróżnić trzeba znowu dwa okresy chronologiczne: 1. właściwy okres cyrylo-metodiański, 860—885, 2. okres po śmierci Metodego do końca XI w., w którym całkiem jeszcze żywe świeże tradycje cyrylo-metodiańskie nie pozwalają na większe odchylenia od prototypu, przyczyniając się w ten sposób do zachowania (pomijając szczegóły) mowy Cyryla i Metodego. Piśmiennictwo i język pierwszego okresu znamy tylko pośrednio, na drodze rekonstrukcji²⁹⁾, ponieważ najdawniejsze zabytki starosłowiańskie znane nam są dopiero z okresu co najmniej o wiek późniejszego z odpisów, z których dopiero musimy eliminować naloty późniejsze, by dotrzeć do mowy IX w. Wiadomości o piśmiennictwie doby cyrylo-metodiańskiej do r. 885 opieramy przede wszystkim na krytycznej analizie odnośnych

²⁸⁾ Por. referat Pogoriełowa, Западно-славянские элементы в кирило-мефодиевской лексике. Sborník prací I sjezdu slov. fil., Praha 1932, 667.

²⁹⁾ Na uwagę zasługują szczególnie prace Vajsa, Evangelium sv. Marka, Evangelium S. Matthaei, Evangelium S. Lucae, Evangelium S. Ioannis, Praha 1935—1936. Por. recenzję Kulbakina, Južnoslov. Fil. XVI, 1937, 203—223.

miejsce Legend panońskich (najważniejsze: Żywot Metodego, rozdział XV), dalej na analizie samych najstarszych zabytków, wreszcie na żmudnym i mniej lub więcej hipotetycznym doszukiwaniu się dziedzictwa cyrylo-metodiańskiego³⁰⁾ w późniejszym piśmiennictwie cyrylickim ruskim, bułgarskim i serbskim i, co najważniejsze może, ze względu na bezpośredniość tradycji, w głągolicim piśmiennictwie chorwackim³¹⁾. Mimo że prace te dość już są dzisiaj zaawansowane, wiele zagadnień pozostaje jeszcze niepewnych (np. przekład ksiąg biblijnych) wskutek ciągle jeszcze nie wystarczającej ilości studiów monograficznych z poszczególnych dziedzin, a z drugiej strony wskutek dotkliwie dającego się odczuwać braku krytycznych wydań poszczególnych zabytków.

³⁰⁾ Najważniejsze prace: Čyževskýj, Anklänge an die Gumpoldslegende des hl. Václav in der altrussischen Legende des hl. Feodosij und das Problem der „Originalität“ der slavischen mittelalterlichen Werke, Wiener Slav. Jahrbuch, I, 1950, 71—86; Ivšić, Ostaci staroslovenskih prijevoda u hrvatskoj glagolskoj književnosti, Zbornik kralja Tomislava, Zagreb 1925, 451—508; V. Jagić, Die serbokroatischen Übersetzungen der Bibel im ganzen oder einzelner Teile derselben (przegląd bibliograficzny), Archiv f. slav. Phil. XXXIV, 1913, 497—532 z dodatkami F. Fanceva, ib. 532—540; M. Rešetar, Zur Übersetzungstätigkeit Methods, Archiv f. slav. Phil. XXXIV, 1913, 234—239; J. Vajs, Bis zu welchem Masse bestätigen die kroatisch-glagolitischen Breviere die Annahme einer vollständigen Übersetzung der hl. Schrift durch den hl. Methodius, Archiv f. slav. Phil. XXXV, 1914, 12—44; Id., Die kroatisch-glagolitischen Breviere und das Offizium der abendländischen Kirche vom VI—X. Jahrh., ib. XXXIV, 1913, 483—496; Id., Kánon charvátsko-hlaholského misálu vatikánského illir. 4, Časopis pro moderní filol. XXV, 1939, 113—134; Id., Najstariji hrvatskoglagolski misal, Zagreb, 1948; Id., Nejstarší breviář chrvatsko-hlaholský, Praha 1910; V. Jagić Разсужденія южнославянской и русской старины о церковно-славянскомъ языке, Изследованія по русс. яз. отд. русс. яз. и слов. Имп. Ак. Наукъ, I, 1885—1895, 289—1023; A. Michajłow, Къ вопросу о литературномъ наследіи Св. Кирилла и Методія въ глаголическихъ хорватскихъ миссалахъ и бревіаріяхъ, Русс. Фил. Вестникъ II, 1904, 1—145; N. R. Nikolski, К вопросу о сочиненияхъ приписываемыхъ Кирилу Философу, Изв. по русс. яз. и слов. I, 1928, 399—457.

³¹⁾ Niczym nie uzasadniony sceptycyzm żywi pod tym względem Horálek, nie wierząc, by chorwacko-głągolicke zabytki kontynuowały bezpośrednio piśmiennictwo doby cyrylo-metodiańskiej i podkreślając możliwość wtórnych wpływów tradycji bałkońskich. (Kořeny charvátsko-hlaholského písemnictví, Slavica XIX, 1950, 285—292).

W zależności od terytorium, na którym powstały zabytki starosłowiańskie, wyróżnić można kilka ojczyzn piśmiennictwa i języka starocerkiewnego. Najdawniejszą i najważniejszą dla ogólnego charakteru języka jest ojczyzna soluńska, gdzie niewątpliwie powstał zasadniczy zrąb języka, gdzie powstały też pierwsze zabytki piśmiennictwa słowiańskiego. Drugą z kolei ojczyzną, która nas tutaj szczególnie interesuje, jest terytorium Wielkich Moraw, obejmujące też dzisiejszą, szczególnie zachodnią, Słowację. Tutaj w ciągu przeszło dwudziestoletniej pracy misyjnej, pełnej starć i zatargów z duchowieństwem łacińsko-germańskim, powstały najważniejsze zabytki piśmiennictwa starosłowiańskiego. Język ich, jak już zaznaczyłem, wykazuje zadziwiająco małą ilość cech zachodnio-słowiańskich. Po śmierci Metodego nie od razu zapewne upada liturgia słowiańska na Morawach. Mimo prześladowań trzymała się ona zapewne jakiś czas w odosobnionych klasztorach może i po upadku państwa wielkomorawskiego. Tradycje wielkomorawskie odziedziczają przede wszystkim południowi Słowianie. Tu, nad Jeziorem Ochrydzkim, w Macedonii południowo-zachodniej, powstaje trzecia z kolei ojczyzna piśmiennictwa słowiańskiego, promieniująca na cały Bałkan. Równolegle z nią rozkwita nowe centrum kultury starosłowiańskiej, właściwie bułgarski, Presław, gdzie wkrótce dochodzi do wspaniałego rozkwitu piśmiennictwo, cieszące się tym razem całkowitym poparciem państwa. Stąd, z południa słowiańszczyzny, dostaje się piśmiennictwo starocerkiewne na Ruś, zapoczątkowując w ten sposób wymianę wzajemną południowo-wschodniosłowiańską.

W bezpośrednim związku z działalnością misyjną Konstantyna i Metodego na Morawach i w Panonii pozostaje z jednej strony piśmiennictwo chorwacko-głagolickie, którego pierwotne centrum było na północy (przymorze chorwackie, wyspy kwarnerskie), przeniesione tu jeszcze zapewne za życia Konstantyna i Metodego (może podczas ich pobytu u ks. Kocela w okolicach Jeziora Błotnego w Panonii³²⁾) i z drugiej strony piśmiennictwo czesko-cerkiewnosłowiańskie, które na równi z państwowością czeską pielegnuje tradycje wielkomorawskie.

³²⁾ Por. F. Fancev, O najstarijem bogoslužju u Posavskoj Hrvatskoj. Zbornik kralja Tomislava, Zagreb 1925, 509—553.

V

Najważniejsze miejsca z Żywotów Konstantyna-Cyryla (VC) i Metodogo (VM)³³⁾ dotyczące piśmiennictwa starosłowiańskiego podają:

VC XIV 25—28: I togda složi pismena i nače besědu pisati evageljskiju: iskon i bę slovo i slovo bę u boga, i bogъ bę slovo, i pročeja. (et illico composuit litteras et coepit orationem scribere evangelicam: In principio erat verbum, et verbum erat apud deum, et deus erat verbum et caetera).

VC XV 2—6: Vъskorę že sę vesъ crъkovnyi činъ pręloži, i nauči a utrenii, i godinamъ, obędnęi, i večernii, i pavečernici, i tainęi službě. (Mox vero toto ecclesiastico ordine translato, edocuit eos officium matutinum, horas, vespervas, breve officium vespertinum et sacramentorum officium).

VM XV: Potomъ že otvęrgъ vъsę mъlvvy i pečalbъ svoju na boga vъzložę pręže že ot učeníkъ svoixъ posazъ dъva popy skoropisęcę zęlo, pręloži vъ brъzę vъsę knigy ispylnъ razvē Makavęi, ot grъčęska jazyka vъ slovęnskъ, šestiju męsęcъ, načęnъ ot marta męsęca, do dъvojudesętu i šestiju dъnъ oktębrę męsęca... psaltyrъ bo bę tъkъmo i evangelije sъ apostolъmъ i izbъranyimi slůžbami crъkvinyimi sъ filosofovъmъ pręložilъ rygvęje. tęgda že i nomokanonъ rekъše zakonu pravilo, i otъčъ skyja knigy pręloži. (Post ista autem relicto omni tumultu et dolore suo deo commendato, prius vero ex discipulis suis duobus presbyteris constitutis, qui valde velociter scribebant, vertit brevi tempore omnes libros (scripturae) plene, exceptis Maccabaeis, ex Graeca lingua in Slovenicam, intra sex menses, inchoans a Martio mense usque ad vicesimam sextam diem Octobris mensis... Psalterium enim tantum et evangelium cum apostolo et electis officiis ecclesiasticis cum philosopho antea converterat. Tunc autem et nomocanonem id est legis regulam et patrum libros transtulit).

³³⁾ Tekst na podstawie wydań Ławrowa i Pastrnka.

Stąd wynika, że na samym początku ³⁴⁾, jeszcze przed rozpoczęciem misji morawskiej, powstał wybór Ewangelii, tzw. Ewangeliarz, Evangelium-Aprakos, który istotnie zaczynał się pierwotnie od słów wyjętych z Ew. św. Jana I 1 *Iskonъ be slovo...* (Na początku było słowo...), jak zachowane jest w archaicznym pokrywającym się niewątpliwie z grubsza z Ewangeliarzem Konstantyna Kodeksie Assemaniego.

Zapewne też, ale to już jest tylko domysłem, powstały przed wyprawą misyjną najkonieczniejsze modlitwy (uzupełniane potem kilkakrotnie w różnym czasie), tzw. praxaapostoł (wyciąg z dziejów apostoelskich przeznaczony do nabożeństwa), wybór psalmów. Ten pierwszy i zasadniczy zrab piśmiennictwa starosłowiańskiego jest szczególnie archaiczny pod względem językowym. Oparty wyłącznie na źródłach greckich, bogaty jest w wyrazy greckie nie tłumaczone (według Kulbakina, O rečničkoj strani 109, jest ich około 100 w języku cyrylo-metodiańskim), będące, jak twierdzi Isaczenko ³⁵⁾, odbiciem terminologii chrześcijańskiej używanej w IX w. przez Słowian macedońskich. Wybór Ewangelii, zachowany w archaicznym głągolicim Kodeksie Assemaniego (odpis z XI w.) i w przedstawiającej już nowszy typ języka cyrylickiej Księdze Sawy (także w odpisie XI w.), różni się językiem swoim i przekładem od części Ewangelii dodanych później na gruncie wielkomorawskim ³⁶⁾. Tłumaczenie Konstantyna-Cyryla wyróżniało się swoim artyzmem, doskonałą znajomością obu języków: słowiańskiego i greckiego, swobodą przekładu. Chodziło mu zawsze o wierne oddanie ducha tekstu, nie tłumaczył nigdy dosłownie. Później bałkańscy przepisywacze, rewidując ponownie tekst według wzorów greckich, częstokroć ten swobodny pierwotny przekład zmieniali na niewolnicze tłumaczenie, zaciemniające zupełnie znaczenie.

³⁴⁾ Ślusznie stwierdza Grivec (SS. Cyryl i Metody, przekład J. Korzonkiewicza, Kraków 1930), s. 62: „Podanie to legendy starosłowiańskiej można rozumieć w ten sposób, że Cyryl przedtem już przygotowywał przynajmniej część przekładu starosłowiańskiego“.

³⁵⁾ Začiatky vzdělanosti 163—4.

³⁶⁾ Tę myśl Jagicia Entstehungsgeschichte 479 rozwinął Vondrák, O eksl. překlada evangelia v jeho dvou různých částech a jak se nám zachoval v hgavnějších rukopisech, Daničičev zbornik, 1925, 9—27. Por. też Horálek, K dějinám textu staroslověnského evangelia, Acta Academiae Velehradensis XIX, 1948, s. 209 nn. i Časopis pro moderní filologii XXX, 1947, 102 nn.

W pierwszym okresie doby morawsko-panońskiej (do śmierci Konstantyna w r. 869) powstał na pewno cały przekład Ewangelii, Psalterza, najważniejszych ksiąg liturgicznych, Dziejów Apostolskich (Acta Apostolorum) wraz z Listami Apostolskimi i tzw. parimejnika (księga cerkiewna, zawierająca przeznaczone do nabożeństwa na cały rok kościelny wyjątki ze Starego Testamentu). Z tych ksiąg nie dochowały się w najdawniejszych odpisach, a więc w języku staro-cerkiewno-słowiańskim *Dzieje Apostolskie* i *Parimejnik*, zaświadczone dopiero począwszy od XII w. w tekstach redakcji bałkańskich i ruskich, ale, jak zobaczymy niżej, językiem swoim odbijające dobę cyrylo-metodiańską. Natomiast zachował się cały przekład Ewangelii w dwóch odpisach pochodzących z końca X w. (*Kodeksy zografski i mariański*), przy czym wszystko wskazuje na to, że to tzw. Tetra-Evangelium wchłonęło nie zmieniony zupełnie pierwotny przekład Ewangeliarza. Części uzupełniające, oprócz różnic językowych i stylistycznych, świadczących o niejednolitości przekładu, wykazują też pewien wpływ źródeł łacińskich, Wulgaty, szczególnie widoczny w zachowanym z XI w. odpisie Psalterza (*Psalterium Sinaiticum*)³⁷⁾.

Duszą tego pierwszego okresu morawsko-panońskiego był niewątpliwie Konstantyn. Niestety, nie dochowały się żadne jego utwory w oryginale, tak że przypisywanie mu czegokolwiek jest tylko hipotezą. Źródła świadczą, że jego literacka twórczość była bardzo różnorodna. Na podstawie legendy wiemy, że napisał np. po grecku trzy krótkie opowiadania o znalezieniu relikwii św. Klemensa (historia znalezienia, przemówienie, hymn), zachowane fragmentarycznie w późniejszych odpisach słowiańskich³⁸⁾. Dalej napisać miał także obronę chrześcijaństwa przeciw zarzutom niewiernych, co miał przetłumaczyć Metody.

³⁷⁾ Stara literatura u Jagicia Entstehungsgeschichte² 250 n. — Por. Vajs Slavia V, 1926—7, 158—162; Id., K charakteristice nejstarších evang. rukopisů staroslov., Byzantinoslavica V, 1933—1934, 113—118; Id., Které recense byla řecká předloha staroslov. překladu žaltáře; ib. VIII, 1939—1946, 55—86; Id., Je-li staroslov. překlad evangelií a žaltáře nějak závislý na Gotském překladu Vulfilově?, ib. 145—171; Id. Textová povaha staroslov. evangeliního překladu cyrilometodějského, Księga referatów II Zjazdu Slaw. Warszawa 1934, 149—153.

³⁸⁾ Ławrow, Materiały 148—153.

W rękopisach cerkiewnych późniejszych mamy wiele urywków i fragmentów przypisywanych Cyrylowi - Filozofowi, ale trudno stwierdzić, co z nich naprawdę należało do niego ³⁹⁾.

Z większą dozą pewności można mu przypisać wierszowany Prolog do Ewangelii, zachowany w odpisie redakcji serbskiej XIV w. ⁴⁰⁾. Zapewne jest też (jak to wykazał Vaillant, *Revue des études slaves* XXIV, 1948, 5—20) autorem Prologu do swego ewangeliarza zachowanego szczątkowo w tzw. Karcie macedońskiej Hilferdinga.

Mniej pewne jest autorstwo Konstantyna dogmatycznego utworu *Napisanie o pravěi věřě*, zachowanego w rękopisie bułgarskim XIV w. Ostatnio starał się to wykazać J. Trifonow ⁴¹⁾.

Z dobą cyrylo-metodiańską łączą się nie tylko początki prozy słowiańskiej, ale też i wiersza. Wykazały to przekonywająco badania Sobolewskiego, Trubieckiego, Jakobsona, które podsumował ostatnio Horálek ⁴²⁾. Takim pewnym oryginalnym wierszem Konstantyna-Cyryla jest pochwała ku czci św. Grzegorza z Nazjanzu zawarta w VC III. Tekst ten, jak przekonywająco wykazał Trubiecki ⁴³⁾, wyróżnia się rytmicznie i stylistycznie od swego otoczenia, jest wtrąconym wierszem o charakterystycznej budowie strofy, składającej się z 7 nierównozgłoskowych wierszy: 17—16—16—17—16—16—17.

Z tego samego okresu pochodzi też zapewne niejeden kanon, np. Kanon ku czci św. Dymitra Soluńskiego, z którego przebiega gorąca tęsknota za ziemią soluńską ⁴⁴⁾.

³⁹⁾ Krytyczną analizę źródeł pod tym względem dał Nikolski, *К вопросам сочинения, приписываемых Кириллу философу*, Изв. по русс. яз. 1928, 399—457.

⁴⁰⁾ Tekst u Ławrowa, *Materiały* 196—198. Oprócz Jakobsona oświadczył się za tym Weingart, *Dva drobné příspěvky o literární činnosti Konstantinově-Kyrilově*, *Časopis pro mod. fil.* V, 1915, 13—17 i Georgiew, *Две произведения на св. Кирила*, София 1938; Sobolewski, *Материалы и исследования въ области слав. филологии и археологии* (сбор. отд. Имп. Ак. Наукъ, 88, 3, 1910, 1—35) przypisywał ten wiersz Konstantynowi Preslawskiemu.

⁴¹⁾ Съчинението на Константина философа (Св. Кирила) „Написание о правей вере“, Спис. на Бълг. Ак. на Наук. II, 1935, 1—86, por. sceptyczną recenzję Vajsa, *Slavia* XV, 1937, 235—237.

⁴²⁾ *Studie o slovanském verši*. Zvl. otisk ze Sbor. fil. XII.—V, Praha 1946, 261—343.

⁴³⁾ Ein altkirchenslavisches Gedicht, *Zeitschrift f. slav. Phil.* XI, 1934, 53.

⁴⁴⁾ Horálek, *Studie* 265, por. też id. *Byzantinoslavica* VIII, 1939—46, 298.

VI

Piśmiennictwo starosłowiańskie po śmierci Konstantyna-Cyryla pozostaje pod znakiem działalności Metodego. Przytoczony wyżej XV rozdział VM kładzie główny nacisk na przekład Biblii. Sprawa ta nie przedstawia się jasno. Trudno uwierzyć, by w przeciągu sześciu miesięcy ⁴⁵⁾ można dokonać tak gigantycznego dzieła, ale tu mogłoby chodzić raczej o zebranie i uporządkowanie (z ewentualnym uzupełnieniem) pracy całego życia ⁴⁶⁾. Przeciw świadectwu legendy przemawia przede wszystkim fakt, że nie ma w ogóle starosłowiańskich rękopisów żadnej księgi biblijnej, pierwsza pełna Biblia powstała dopiero na Rusi pod koniec XV w., tłumaczona i kompilowana z różnych źródeł. Oczywiście istnieje możliwość, że pierwotny przekład całości zaginął w związku z tragicznymi losami liturgii słowiańskiej i państwa wielkomorawskiego. Szereg uczonych, jak Michajłow, Pastrnek, Vajs (który całe życie pracuje nad rekonstrukcją tej pierwotnej Biblii), dochodzi do wniosku, że wcale nie było kompletnego przekładu w dobie cyrylo-metodiańskiej. Był tylko na pewno wybór czytań, wspomniany już Parimejnik, który stał się podstawą lekcji biblijnych chorwacko-głagolicznych brewiarzy ⁴⁷⁾. Z drugiej strony odkryto już wiele tekstów Starego Testamentu językowo związanych niewątpliwie z dobą metodiańską, ale których całkiem nie ma w Parimejniku, co by świadczyło, że był w dobie metodiańskiej także kompletny przekład przynajmniej niektórych pełnych ksiąg (np. pięciu Ksiąg Mojżeszowych, Księgi Proroków) ⁴⁸⁾. Najlepszy znawca literatury chorwacko-głagoliczkiej Vajs stwierdza, że już w XIII w. Chorwatom nie był znany cały przekład Biblii ⁴⁹⁾: „Worüber aber man sich dabei wundern muss, ist, dass die unbekannten Bruchstücke der methodianischen

⁴⁵⁾ Czy nawet ośmiu, jak wykazuje Reszetar, *Archiv f. slav. Phil.* XXXIV, 1912, 235.

⁴⁶⁾ J. Ohienko, *Повстання азбуки й літературної мови в Слов'ян, Жовква 1938*, 251, — M. Weingart, *Československý typ cirkevné slovančiny*, Bratislava 1949, 21.

⁴⁷⁾ J. Vajs, *Nejstarší breviář chrvatsko-hlaholský*, Praha 1910.

⁴⁸⁾ Jagić, *Entstehungsgeschichte* ² 478; Id. Константин (Кирил) и Методије, Beograd 1921, 17.

⁴⁹⁾ Bis zu welchem Masse bestätigen die kroat.-glagol. Breviere die Annahme einer vollständigen Übersetzung der hl. Schrift durch den hl. Methodius, *Archiv f. slav. Phil.* XXXV (1914), 13—14.

Übersetzung bereits im XIII. Jahrhunderte selbst den kroatischen Glagoliten unbekannt waren, welche dieselben ohne Zweifel in ihre Breviere aufgenommen haben würden, so wie sie die parömeischen Perikopen aufgenommen haben, da sie derselben bedurften, und in deren Ermangelung... blosse Paraphrasen zu Hilfe nahmen“. Do takich samych negatywnych wniosków doszedł już w r. 1904 Michajłow⁵⁰⁾. Przeciwnie stanowiska wierzące VM XV podtrzymują ostatnio Weingart⁵¹⁾ i Horálek⁵²⁾.

Żywot Metodego w rozdz. XV wspomina jeszcze o dwóch innych utworach, które nie dochowały się w redakcji starocerkiewnej: 1. *nomokanonъ* (*legis regula*), 2. *otъčьskyję kъnigy* (*libri patrum*). Jeśli chodzi o nomokanon (zbiór postanowień cerkiewnych), to zgodnie się uznaje, że za dzieło Metodego uchodzić może tylko przekład Nomokanonu Jana Scholastyka, zachowany w redakcji ruskiej w Ustjużskoj kormčej knige z XIII w. Wskazywałyby na to archaizmy słownikowe i pewne związki z innymi zabytkami morawskimi⁵³⁾.

Bardziej niepewne jest, czy dochowały się Metodego *otъčьskyję kъnigy* (*libri patrum*) i w ogóle, co przez to trzeba rozumieć, czy, jak to się powszechnie przypuszcza, żywoty ojców świętych, tzw. pateryk, czy też, jak uważa Nikolski⁵⁴⁾, tłumaczenia, objaśnienia do Starego i Nowego Testamentu. Długo uważano za pateryk Metodego wskazany przez Sobolewskiego pateryk rzymski (dialogi papieża Grzegorza Wielkiego). Ostatnio po szeregu prac N. van Wijka okazało się, że podstawą pateryka Metodego był *Ἀνδρῶν ἁγίων βίβλος*, zachowany w późniejszych odpisach w dwóch redakcjach, dłuższej i krótszej. Szczególnie w rękopisie wiedeńskiej redakcji krótszej, o cechach średnio-bułgarskich, zachowało się wiele archaizmów gramatycznych i leksykalnych, zgadzających się z typem językowym panońsko-morawskim⁵⁵⁾.

⁵⁰⁾ Русс. Фил. Вест. LI, 1904, 143—4.

⁵¹⁾ Československý typ cirkev. slov., 22.

⁵²⁾ Slavia XIX, 1950, 288.

⁵³⁾ Sobolewski, Материалы 141; H. F. Schmid, Die Nomokanon-übersetzung des Methodius, Leipzig 1922; Weingart, l. c. 25—26.

⁵⁴⁾ Известия по русс. яз. и слов. 1928, I, 443.

⁵⁵⁾ N. van Wijk, O Pateryku przetłumaczonym przez św. Metodego, Księga referatów II Zjazdu Slaw. Warszawa 1934, I, 167—169.

XV Rozdział Żywota Konstantyna omawia szczegółowo tłumaczenia ksiąg liturgicznych doby cyrylo-metodiańskiej. Niestety, pierwotny zbiór tych modlitw nie dochował się. Jedyne z zachowanych modlitewników starocerkiewnych, *Euchologium Sinaiticum* (odpis z XI w.), jest zabytkiem treściowo niejednorodnym, zawierającym kilka warstw różniących się chronologicznie i geograficznie. Są tu też niewątpliwie przekłady powstałe na gruncie wielkomorawskim⁵⁶⁾. Badania Vondráka wykazały dla niektórych modlitw wzory starobawarskie, dla innych zaś oryginały łacińskie. Świadczyłoby to, że powstaniem swym sięgają one jeszcze okresu przed-cyrylo-metodiańskiego. Z starobawarskiej St. Emmeramskiej modlitwy przetłumaczona jest starocerkiewna formuła spowiednia *Činъ nadъ ispovědajaštiimъ sę* 72 a, b (bliska III formule spowiedniej Fragmentów fryzyńskich)⁵⁷⁾. Tu należą też starocerkiewne postanowienia pokutne, tzw. penitencjał: *Zapovědi svętyxъ oť sъ* 102—105 b, oparte, jak wykazał Vondrák⁵⁸⁾, na oryginale łacińskim. W związku z pochodzeniem formuły spowiedniej Modlitewnika synajskiego zrozumiałe są jej liczne germanizmy, nie spotykane w innych częściach zabytku⁵⁹⁾.

Nie wyjaśnione jest zagadnienie, czy Cyryl i Metody tłumaczyli także homilie. Kulbakin⁶⁰⁾, choć stwierdza liczne zgodności językowe przekładów homili w Zborniku Cloza z najdawniejszymi tekstami Ewangelii, choć zdaje sobie sprawę, że w zabytku tym spotyka się tzw. morawizmy czy panonizmy na każdym kroku, nie wątpi, że homilie nie wchodziły w zakres tłumaczeń Cyryla i Metodego, wspomniane zaś archaizmy przypisuje konserwatyzmowi szkoły macedońskiej. Zdania Kulbakina nie da się jednak utrzymać.

⁵⁶⁾ Weingart, Československý typ cirk. slov., 32—33.

⁵⁷⁾ Vondrák, Althochdeutsche Beichtformeln im Altkirchenslavischen und in den Freisinger Denkmälern, Archiv f. slav. Phil. XVI 118 nn, por. tegoż autora kilka prac na ten sam temat w Studie z oboru církevně-slovanského písemnictví, Praha 1903; I. Grafenauer, Starobavarska (svetoemmeramska) molitev v starem slovenskem in v stosl. jeziku, Slovenski Jezik I, 1938, 8—54.

⁵⁸⁾ Zachodnio-europejskie postanowienia pokutne w języku cerkiewnosłowiańskim, Rozprawy Ak. Um. Wydz. Fil. 40, 1905, 1—67.

⁵⁹⁾ Isaczenko, Jazyk a pôvod Friz. Pam. 11 nn.

⁶⁰⁾ Глас Спн. Кр. Ак. CLXXXII, 92, 1940, 3.

Już dawno wskazywano homilie wykazujące uderzające zgodności tak treściowe, jak i językowe z typowymi zabytkami morawsko-panońskimi⁶¹). Ostatnio po pracach Grivca⁶²), Vaillanta⁶³) jest więcej niż pewne, że autorem zagadkowej homilii Zbornika Cloza I 59—160, II 1—23 jest sam Metody. Tak samo nie jest wykluczone, że nawet w Kodeksie supraskim kryją się jakieś fragmenty z doby morawskiej⁶⁴).

Tak więc prawie wszystkie z zachowanych zabytków starocerkiewnych łączą się swym powstaniem z Wielkimi Morawami, choć język ich jest południowo-słowiański, zabarwiony tylko niekiedy, stosunkowo rzadko, lokalnymi cechami zachodnimi. Tylko jeden z zabytków starsłowiańskich wykazuje konsekwentnie pewne cechy dialektyczne, związane chyba z terytorium, na którym powstał. Jest to fragment mszału według obrządku łacińskiego, tzw. *Mszał kijowski*.

Mszał kijowski to tylko drobne fragmenty (38 krótkich modlitw) pierwotnego mszału według obrządku rzymskiego, jaki musiał powstać przy bliższym oparciu się Cyryla i Metodego na Rzymie (słusznie więc nowsze badania Mohlberga, Weingarta łączą powstanie tego zabytku z pobytem Cyryla i Metodego w Rzymie). Ostatnie prace Vaszićy⁶⁵) wyświeiliły zagadnienie obrządku *Mszału kijowskiego*, łącząc ten zabytek z liturgią św. Piotra, symbiozą obrządku rzymskiego i bizantyjskiego, jaka była w dobie cyrylo-metodiańskiej w powszechnym użyciu. Studia Vajsa⁶⁶) wykazały, że także najważniejsza część mszy św. — kanon z prefacją i z następującymi modlitwami — była już przetłumaczona przed 885 r., choć najwcześniejsze zachowane odpisy jego sięgają początku XIV w. (chorwacko-glagolicki mszał watykański z Krku).

⁶¹) Vondrák, Studie 5 nn.

⁶²) Clozov-Kopitarjev glagolit v slovenski književnosti in zgodovini, Razprave I, 1943, 343—408.

⁶³) Une homélie de Méthode, Revue des études slaves XXIII, 1947, 34—47.

⁶⁴) Horálek, Slavia XIX, 1950, 448.

⁶⁵) Slovanská liturgie sv. Petra, Byzantinoslavica VIII, 1939—46, 1—54.

⁶⁶) Časopis pro moderní filologii XXV, 1939, 113—134.

Pod względem językowym i paleograficznym Mszał kijowski to bezsprzecznie najbardziej archaiczny zabytek piśmiennictwa starosłowiańskiego (regularne rozróżnianie jerów,⁶⁷ epentetycznego, samogłosek nosowych, archaiczny system skrótów, majuskułny charakter głągolicy)⁶⁷). Obok tych archaizmów mamy tu już jednak konsekwentnie przeprowadzone cechy zachodnio-słowiańskie, morawsko-czeskie, dowodzące, że przepisywacz, a może i twórca (według Weingarta, który sądzi, że odpis powstał na terenie chorwacko-głągolicim)⁶⁸), świadomie czeszczył język starocerkiewny. Wielu badaczy (Siewers, Jakobson, Weingart) uznawało wierszowy charakter fragmentów Mszału kijowskiego⁶⁹), dopatrując się w jego tajemniczych znaczkach nad literami wskazówek pomocniczych do modulacji głosu przy recytacji⁷⁰).

VII

Jeszcze silniej zaznaczone są cechy dialektyczne morawsko-panońskie we Fragmentach fryzyńskich i Fragmentach praskich.

Fragmenty fryzyńskie to pierwszy zabytek pisany alfabetem łacińskim (z końca X w.), zawierający dwie formuły spowiednie, (cz. I i III) tłumaczone z staro-górno-niemieckiego, i tzw. Adhortatio ad poenitentiam, oryginalne, nie tłumaczone kazanie, nawołujące do pokuty (cz. II). Ostatnia praca Isaczenki⁷¹) wykazała, że każdy z trzech fragmentów ma innego autora i inną historię, ale wszystkie łączą się ściśle z piśmiennictwem starocerkiewnym na Morawach w dobie cyrylo-metodiańskiej. Szczególnie bliską temu piśmiennictwu jest część II, kazanie pokutne (z wyjątkiem wierszy 103—113), wolne od germanizmów, zachowujące zachodnio-słowiańską grupą *dl*. Zabarwienie dialektyczne słoweńskie, szczególnie silne w formułach spowiednich (np. oznaczanie *tj*, *kt*; *dj* przez *k*, *c*, *ch*; *g*, *i*, zakładające wymowę *k'* *ł*, *d'*, *j*), na którego podstawie

⁶⁷) V a j s, Rukověť hlaholské paleografie 118 n.

⁶⁸) L. c. 38.

⁶⁹) Literaturę podaje Horálek, Studie o slovanském verši, 264 uw. 2.

⁷⁰) Weingart, l. c. 35.

⁷¹) Jazyk a pôvod Frizinských Pamiatok, Bratislava 1943; por. krytyczne omówienie prof. T. Lehra-Splawińskiego, Rocznik Slawistyczny XVI, 1948, 131—138.

uczni słoweńscy uważają te zabytki za starosłoweńskie, powstało wtórnice, prawdopodobnie w czasie pobytu Konstantyna i Metodego w Panonii u księcia Kocla. Byłby to więc jedyny pewny zabytek z doby cyrylo-metodiańskiej wykazujący niewątpliwy związek z Panonią, a zarazem dowodzący, że żywioł językowy słoweński odgrywał tam dużą rolę.

VIII

Wyraźnie z terytorium morawsko-czeskim łączą się też urywki pierwotnej księgi liturgicznej według obrządku wschodniego, zachowane w głągolicznych Fragmentach praskich (odpis pochodzi z końca XI w.). Jest tu też znacznie więcej czechizmów, oprócz spotykanych już w Msza le kijowskim (c, z $\leq$ tj, kt, dj; šč $\leq$ stj; instr. sg. m. -ѣтъ) mamy tu też wiele innych (grupa dl, vьši, a $\geq$ u, e $\geq$ a, ja, przegłos a $\geq$ ě). Fragmenty praskie są czeskim odpisem oryginału bułgarsko-ruskiego⁷²⁾. Nawiązują one zapewne do ożywionych kontaktów czesko-ruskich w X—XI w., dzięki którym także szereg zabytków czeskich znalazł się na Rusi i dziś znane nam są one tylko w ruskich odpisach.

Mszał kijowski i Fragmenty praskie są jedynymi zabytkami starocerkiewnymi z wyraźnymi cechami czeskimi. Innych zabytków piśmiennictwa starocerkiewnego z cechami morawsko-czeskimi, pochodzących z X—XI wieku, nie mamy. Fakt ten przez czas dłuższy ustosunkowywał uczonych sceptycznie do dopatrywania się jakiegoś bujniejszego życia liturgii słowiańskiej w Czechach po śmierci Metodego. Radykalna zmiana poglądów na to zagadnienie przypada dopiero na ubiegłe dwudziestolecie, choć przygotowały ją podstawowe prace Sobolewskiego⁷³⁾ już z początkiem naszego wieku, wykazujące na podstawie analizy słownikowej, że wśród zabytków cerkiewnych redakcji ruskiej trafiają się zabytki pochodzące z Czech, tam pisane, co stwierdza ich słownik, ich źródła łacińskie (nie greckie), ich związek ze świętymi czczo-

⁷²⁾ Jagić, Entstehungsgeschichte 106; Mareš, Pražské zlomky a jejich předloha v světle hláskoslovného rozboru, Slavia XIX, 1949, 54—61.

⁷³⁾ Por. przede wszystkim: Церковно-славянские тексты моравскаго происхождения, Оттискъ изъ Русс. Фил. Вестника Warszawa 1909 i cytowane już Матеріалы...

nymi tylko w kościele zachodnim ⁷⁴⁾). Pionierska praca Sobolewskiego doznała początkowo raczej nieufnego przyjęcia. Tak np. Jagić ⁷⁵⁾ ustosunkował się do niej więcej niż sceptycznie, łącząc szereg wspomnianych przez Sobolewskiego zabytków z południem słowiańszczyzny. Dopiero w ostatnim dwudziestoleciu uznaje się całkowicie zasługi Sobolewskiego. Prace Weingarta, Jakobsona, Havránka, Horálka, Vajsa, Chaloupeckiego ⁷⁶⁾, opierając się na zdobyczach Sobolewskiego, odtwarzają bogate stosunkowo piśmiennictwo cerkiewne redakcji czeskiej w. X—XI i jego znaczenie dla Czech. Teraz powszechnie się przyjmuje, że pierwszy okres piśmiennictwa i języka czeskiego to piśmiennictwo i język cerkiewny w redakcji czeskiej (X—XI w.) ⁷⁷⁾.

Szereg zagadnień pozostaje dotychczas nie wyświetlonych. Nie wiemy na pewno, kiedy zaczyna się to piśmiennictwo, czy jeszcze za życia Metodego, w związku z bardzo niepewnym ochrzczeniem przez niego księcia Borzywoja, czy też raczej dopiero po wypędzeniu uczniów braci soluńskich z Moraw. Niejasne jest także, czy oprócz podstawowej dla tego piśmiennictwa gładolicy nie posługiwano się też cyrylicą ⁷⁸⁾ lub łacinką, jak o tym świadczą zachowane glosy cerkiewno-czeskie. Słusznie przypuszcza Chaloupecký, że centralnym okresem tego piśmiennictwa był wiek X, do założenia biskupstwa praskiego (973 r.). Utrzymywało się ono na pewno w szeregu klasztorów, może nie tylko w centralnych Czechach. W XI w. znany jest klasztor sazański, założony w r. 1032, który aż do końca XI w. stanowi centrum liturgii słowiańskiej w Czechach (w r. 1097 mnisi sazańscy zostają rozpędzeni, oficjalnie zakazuje się liturgii słowiańskiej).

⁷⁴⁾ O innych argumentach przemawiających za utrzymywaniem się liturgii słowiańskiej w Czechach X—XI w. por. Pastrnek, *Dějiny* 136 nn.

⁷⁵⁾ Por. recenzję w *Archiv f. slav. Phil.* XXIV, 1902, 263—268.

⁷⁶⁾ *Slovanská bohoslužba v Čechách*, *Věstník České Akademie Věd a Umění* LIX, 1950, 65—80.

⁷⁷⁾ B. Havráněk, *Vývoj spisovného jazyka českého. I. První spisovný jazyk — Jazyk staroslověnský*; *Československá Vlastivěda*, ř. II, Praha 1936, 3—14.

⁷⁸⁾ K. Horálek, *Rajhradské Martyrologium Adonis a otázka české cyrilice*. Zvl. otisk z *Listů Filol.* LXVI, 1939.

Oto najważniejsze zabytki piśmiennictwa cerkiewno-czeskiego ⁷⁹⁾:

A. Oryginalne.

1. *Hospodine, pomiluj ny* ⁸⁰⁾. Ta najstarsza pieśń czeska zapisana jest dopiero z końcem XIV w. Jakobson, rekonstruuując pierwowiec, wykazał przekonywająco, że pierwotny jej wygląd mało się różnił od zaświadczonych zapisów. Pierwsza redakcja pieśni była zabytkiem starosłowiańskim czeskiej redakcji (Weingart niesłusznie podkreślał charakter mieszany, cerkiewno-czeski, pieśni). Jest to jedyny z zabytków zachowany przez czeską tradycję. Mogła powstać już na Morawach czy w Czechach w X lub pierwszej połowie XI w., tradycja łączy ją z czasem i imieniem św. Wojciecha.

2. Pierwsza legenda o św. Wacławie ⁸¹⁾. Mimo że się zachowała w odpisach co najmniej o 500 lat późniejszych od powstania pierwowiec (najwcześniejszy i najlepszy tekst w głągoliczno-chorwackim brewiarzu XIV—XV w., późniejsze rękopisy redakcji ruskiej, poczynając od XVI w.), odznacza się językiem bardzo archaicznym, często bliskim najstarszemu typowi cerkiewnemu. Pierwowiec głągoliczki powstał w X w. w cerkiewszczyźnie redakcji czeskiej. Pewnych bohemizmów (takich jak *milovati* = amare czy *kostel*) jest stosunkowo mało. Prostotą stylu przypomina Żywot Metodiego.

3. Żywoty Konstantyna i Metodiego. Oba żywoty zachowane w odpisach późnych (patrz wyżej), opierają się niewątpliwie na oryginałach starosłowiańskich. Powszechnie się przyjmuje, że powstały one na Morawach, jeszcze w IX w. Kto jest ich autorem, nie pewne; VC przypisują samemu Metodemu, VM któremuś z jego uczniów. VC ma charakter raczej filozoficzno-retoryczny, VM pro-

⁷⁹⁾ Syntetyczny zarys dał Weingart, *Československý typ cirkevnej slovančiny*, Bratislava 1949. Por. recenzję Horálka *Slavia* XIX, 1950, 442—443 i negatywną wzmiankę Jakobsona, *Slavistična revija* III, 1950, 270.

⁸⁰⁾ Jakobson, *Nejstarší české písně duchovní*, Praha 1929, 13—28; Id. *Slavist. Revija* III, 1950, 267—273; Weingart l. c. 87—106.

⁸¹⁾ *Sborník staroslovanských literárních památek o sv. Václavu a sv. Lidmíle*. Usp. J. Vajs, Praha 1929 (tu: N. J. Serebrjanskij, *Ruské redakce původní staroslov. leg. o sv. Václavu*, 11—28; J. Vajs, *Charvátskohlaholská redakce původní leg. o sv. Václavu*, 29—43); M. Weingart, *První česko-cirkevněslov. leg. o sv. Václavu*, Praha 1934; Id. *Českoslov. typ cirk. slov.*, 47—55.

stszy, bezpośredni (Weingart, l. c. 30). Oba żywoty są utworami oryginalnymi, zawierającymi, jak wykazał Sobolewski⁸²⁾, liczne moralizmy (*vesemogy, zakonnikъ, pьlkъ, božij rabъ, kupetra, račiti*). Weingart, l. c. 31, nie zalicza ich do zabytków cerkiewnych redakcji czeskiej.

B. Tłumaczenia.

1. Druga legenda o św. Wacławie⁸³⁾. Jest to przekład łacińskiej legendy biskupa Gumpolda, zachowany w odpisach redakcji ruskiej XV—XVI w. Pierwowzór, niewiele późniejszy niż pierwszej legendy, pisany był też głągolicą. Sobolewski i Vašica stwierdzili uderzające zgodności z Homiliami Grzegorza Wielkiego.

2. Legenda o św. Wicie⁸⁴⁾. Zachowana jest w kilku rękopisach redakcji ruskiej (najstarszy z w. XII). Jest to tłumaczenie z łaciny, zbliżające się językiem do innych zabytków redakcji morawskiej, przede wszystkim Homilii Grzegorza Wielkiego. Fragmenty głągolickie tej samej legendy, odkryte przez Vajsa, łączą się według Vasziy z rękopisami ruskimi, wskazując na wspólne źródło z X—XI wieku.

3. Homilie papieża Grzegorza Wielkiego⁸⁵⁾. Jest to przekład z łaciny, zachowany w trzech rękopisach redakcji ruskiej, przepisanych ze średnio-bułgarskiego (najwcześniejszy z XIII wieku). Język i słownik wykazują szereg archaizmów i uderzające zgodności z innymi zabytkami redakcji czeskiej. Jagić uważał za bardziej prawdopodobne pochodzenie południowo-słowiańskie⁸⁶⁾.

4. Pseudoewangeliu Nikodema⁸⁷⁾. Jest to apokryf zachowany najwcześniej w rękopisie XIV w. redakcji ruskiej (przepis z średnio-bułgarskiego), tłumaczony z łaciny. Uderzają pewne

⁸²⁾ Церк.-слав. тексты моравскаго происхожденія, 23—4.

⁸³⁾ Weingart, l. c. 55—60; J. Vašica, Druhá staroslov. legenda o sv. Václavu, Sborník... památek, 69—135.

⁸⁴⁾ Weingart, l. c. 67—68; J. Vašica, Staroslov. legenda o sv. Vítu, Slovanské studie... věn... J. Vajsovi, 159—163.

⁸⁵⁾ Weingart, l. c. 60—62; Sobolewski, l. c. 5—10.

⁸⁶⁾ Archiv f. slav. Phil. XXIV, 1902, 263 nn.

⁸⁷⁾ Weingart, l. c. 62—63; Sobolewski, l. c. 12—14.

zgodności z *Homiliami* Grzegorza Wielkiego. Jagić⁸⁸⁾ odrzuca pochodzenie morawskie, wskazując raczej na południe, na wybrzeże Adriatyku.

Do zabytków cerkiewnych redakcji czeskiej zalicza się też zwykłe *Głosy Wiedeńskie* (odkryte przez Jagicia w łacińskim kodeksie biblijnym) i *Głosy praskie* (odkryte przez Paterę w łacińskim rękopisie dialogów papieża Grzegorza Wielkiego). Są one pisane łacinką i pochodzą z przełomu w. XI—XII. *Głosy praskie*, jak to wykazał Trávníček⁸⁹⁾, mają już w swej większości charakter bardziej czeski słownikowo i głosowo, *głosy Jagicia* są mieszaniną cerkiewszczyzny z czeszczyzną.

Tak się przedstawia w zarysie piśmiennictwo starosłowiańskie na terenie Wielkich Moraw w dobie cyrylo-metodiańskiej. Nie ograniczało się ono bynajmniej tylko, jak się to często sądzi, do przekładów, nie brak tu i dzieł oryginalnych. W skład jego wchodziła nie tylko proza, były też utwory poetyckie. Na szczególną uwagę zasługuje uwzględnienie dorobku przedcyrylo-metodiańskiego, a więc pierwsze próby usunięcia tej dwoistości kulturalnej, tak znamiennej dla doby cyrylo-metodiańskiej. Piśmiennictwo to wywarło ogromny wpływ nie tylko na Słowian południowych i wschodnich, ale również na zachodnich, co dopiero od niedawna zaczyna się należycie doceniać.

⁸⁸⁾ Jagić, l. c. 266—267.

⁸⁹⁾ *Głosy Jagićovy a svatořehořské, Slovanské studie... věn... J. Vajsovi*, 164—168; Weingart, l. c. 76—87.

W SPRAWIE WZMOCNIENIA OCHRONY ŻYCIA DZIECKA *)

Problem ochrony życia dziecka jeszcze nie urodzonego był i jest nadal tematem dyskusji. Z jednej strony uznajemy intuicyjnie prawo do życia każdej istoty ludzkiej, choćby najsłabszej i najbardziej upośledzonej, z drugiej zaś — gdy stajemy wobec kolizji między życiem dziecka w łonie matki a życiem matki — nasuwają się duże trudności w odpowiedzi na pytanie, czyje życie należy przede wszystkim chronić: matki czy dziecka. Kwestia dopuszczalności przerywania ciąży, pojmowanego jako zabieg leczniczy, wiąże się z zagadnieniem prawnym pozbawienia życia istoty ludzkiej, będącej już pod ochroną prawa.

I

Przy rozpatrywaniu kwestii ochrony życia dziecka jeszcze nie urodzonego jest sprawą zasadniczą odpowiedź na pytanie, czy tzw. lekarskie przerwanie ciąży może być uważane za zabieg leczniczy. Lekarze na ogół uchylają się od dyskusji na ten temat wychodząc z założenia, że skoro przepisy Kodeksu karnego i ustawy o zawodzie lekarza przewidują dopuszczalność przerywania ciąży, to nie jest rzeczą lekarza zastanawianie się nad tym, czy tego rodzaju zabiegi zgodne są z etyką zawodową. Dlatego przy ocenie tego zagadnienia — chodzi przecież o ochronę życia ludzkiego — mają tak wielkie znaczenie normy prawne.

Gdyby lekarz zastosował przeciw złośliwej anemii transfuzję krwi i pobierał w związku z tym krew od krwiodawcy tak często, że doprowadziłby do zupełnego wyczerpania organizmu, i gdyby w następstwie tych zabiegów krwiodawca zmarł, to nie można by mówić o leczeniu zgodnym z zasadami wiedzy lekarskiej, a lekarz zostałby pociągnięty do odpowiedzialności karnej za nieumyślne pozbawienie życia krwiodawcy (art. 230 Kk). Skoro nie można uważać za zabieg leczniczy takiego zabiegu, za pomocą którego lekarz ratuje życie jednego człowieka kosztem życia drugiego człowieka, to wydaje mi się, że nie należałoby uważać za zabieg leczniczy również zabiegu przerywania ciąży. Jeżeli podlega karze pozbawienie życia nieuleczalnie chorego, dokonane wskutek kierowania się uczuciem litości dla niego (art. 227 Kk), to tym bardziej winno być uznane za czynność sprzeczną z prawem pozbawienie życia dziecka w łonie matki, gdy dziecko może przyjść na świat zdrowe i zdolne do życia, a zachodzi jedynie obawa zagrożenia życia matki przez poród. Zazwyczaj bowiem lekarze stwierdzają istnienie przesłanek do przerywania ciąży na tej podstawie, że kobieta ciężarna nie będzie mogła przeżyć rozwiązania, lecz dlatego że wyczerpanie organizmu po porodzie może w związku z procesem chorobowym stać się niebezpieczne dla jej życia. Obecnie zabiegi

*) Artykuł dyskusyjny (przyp. Redakcji).

lekarskie przerywanie ciąży niszczą dziecko, mające przyjść na świat, z reguły zdrowe, dla ratowania chorego organizmu matki, choć nie jest pewne, czy kobietę ciężarną uda się utrzymać przy życiu nawet po pozbawieniu życia dziecka i na jak długo. Stanowiska, odrzucającego prawną dopuszczalność wskazań lekarskich do przerywania ciąży, nie należy uważać za brak zrozumienia dla sytuacji kobiety ciężarnej, lecz raczej za poszanowanie równych praw tak matki, jak dziecka. Lekarze specjaliści niejednokrotnie zwracają uwagę na to, że w okresie ciąży proces chorobowy, który zaatakował organizm matki, doznaje pewnego zahamowania, natomiast zaostrza się po porodzie. Okoliczność ta wskazuje, że już sama natura staje w obronie dziecka i dąży do tego, aby mogło nastąpić normalne rozwiązanie. Stosowanie przez lekarzy mechanicznego zabiegu uśmiercenia dziecka osłabia niewątpliwie impuls do badań naukowych w poszukiwaniu nowych środków leczniczych dla ratowania życia matki i dziecka. Zezwolenie przez prawo na pozbawianie życia dziecka w łonie matki na zasadzie tzw. wskazań lekarskich stanowi raczej hamulec w rozwoju wiedzy medycznej aniżeli prawdziwe dobro społeczne. Odrzucenie zasady wskazań lekarskich do przerywania ciąży spowodowałoby wprawdzie, że w związku z ciążą zachodziłyby wypadki zgonu kobiety ciężarnej ze względu na proces chorobowy wzgl. wskutek szczególnie ciężkiego przypadku porodu, podobnie jak zachodzą wypadki zgonu chorego nawet po udanym zabiegu operacyjnym. Okoliczność ta nie może mieć jednak decydującego znaczenia dla utrzymania zasady wskazań lekarskich. Wiadomo bowiem, że w następstwie wykonania zabiegów przerywania ciąży zachodzą również przypadki zgonu (np. wskutek uszkodzenia organów wewnętrznych, a znacznie częściej wskutek zakażenia, którego — jak stwierdzają ginekolodzy — nie można unikać mimo zachowania wszelkich wymagań aseptyki). Obecnie stwierdza się w medycynie, że troską położnictwa stały się nie przypadki zgonów kobiet przy porodach, lecz przypadki porodów martwych i noworodków niezdolnych do życia¹⁾. Nasuwa się przypuszczenie, że może te przypadki są następstwem przebytych przez matki dawniejszych poronień, gdyż — jak podkreślano już przed wojną w nauce radzieckiej — następstwem sztucznych poronień są obok chorób kobiecych i komplikacji przy porodach również częstsze przypadki urodzeń martwych (zob. Ginekologia Polska 1930, s. 343).

Lekarze, dając pierwszeństwo życiu kobiety ciężarnej przed życiem dziecka, głównie zwracają uwagę na moment biologiczny, a mianowicie na fakt, że dziecko jeszcze nie urodzone nie ma samo przez się zdolności do życia, a będąc całkowicie zależnym od matki, jest organizmem niższym aniżeli organizm matki. Ten moment z punktu prawnego nie może mieć jednak — moim zdaniem — znaczenia. I w jednym, i w drugim wypadku chodzi o życie ludzkie, a tego, czyje życie jest bardziej wartościowe, lekarz nie może ocenić i nie jest do tego powołany.

Przy rozważaniu zagadnienia przerywania ciąży zająć można jedno z czterech możliwych stanowisk. Trzy pierwsze uwzględniają wskazania lekarskie:

¹⁾ Prof. Roszkowski, Postęp w położnictwie, Nowiny Lekarskie, nr 15/50.

a) przy zagrożeniu zdrowia kobiety ciężarnej, b) przy zagrożeniu życia kobiety ciężarnej, c) jeżeli zachodzi obawa, że kobieta ciężarna nie przeżyje rozwiązania. Czwarte stanowisko odrzuca wszelkie wskazania lekarskie. Różnica pomiędzy drugim a trzecim stanowiskiem polega na tym, że są wypadki, w których trwanie ciąży może być niebezpieczne dla życia kobiety ciężarnej, ale niebezpieczeństwo to powstanie lub zaktualizuje się głównie po porodzie, mogą zaś również zachodzić takie wypadki, kiedy wiedza lekarska nakazuje przypuszczać, że kobieta ciężarna nie będzie w stanie przeżyć rozwiązania i dziecko nie będzie mogło przyjść żywe na świat. W moim przekonaniu czynności lecznicze lekarza, zmierzając do ratowania życia kobiety ciężarnej, mogą posuwać się co najwyżej do wystawienia dziecka jeszcze nie urodzonego na podobne niebezpieczeństwo, w jakim znajduje się kobieta ciężarna, nie mogą natomiast zmierzać wprost do pozbawienia życia dziecka dla ratowania życia kobiety ciężarnej. Lekarz wie z praktyki, że zachodzą niejednokrotnie wypadki powrotu chorych do zdrowia, pomimo iż przypadek wydawał się zupełnie beznadziejny. Toteż lekarz powinien pozostać zawsze wiernym swemu powołaniu ratowania aż do końca życia matki i dziecka. Ostatecznie może uczynić wybór, czyż życie będzie ratować w pierwszym rzędzie. Jeżeli chodzić będzie o ratowanie przede wszystkim matki, to lekarz będzie mógł zastosować takie środki lecznicze, które mając za cel bezpośredni ratowanie życia kobiety ciężarnej, mogą pośrednio stać się niebezpieczne dla dziecka, mogą wyjątkowo spowodować przedwczesny poród lub nawet zgon dziecka w łonie matki, ale w sposób nie zamierzony. Natomiast lekarz nie powinien podejmować zabiegów, zmierzających wprost do uśmiercenia dziecka. Uważam, że w deontologii lekarskiej powinna znaleźć wyraz zasada, że przy udzielaniu pomocy kobiecie ciężarnej lekarz powinien przywiązywać nie mniejszą wagę do zachowania życia dziecka jeszcze nie urodzonego, jak do ratowania życia kobiety ciężarnej.

Prof. Czyżewicz, omawiając sposób ustalenia wskazania lekarskiego do przerwania ciąży i wykonania zabiegu, zwraca uwagę, że wskazanie, zalecające przerwanie ciąży, ustala zazwyczaj lekarz-specjalista, który leczy chorą, natomiast zabieg przerwania ciąży wykonywany jest przez ginekologa. Lekarz-specjalista kieruje się często względami oportunistycznymi, wychodząc z założenia, że jeżeli przebieg choroby w okresie ciąży jest szczególnie ciężki, to o ile przerwanie ciąży uspokoi proces chorobowy, on, jako lekarz, który zalecił przerwanie ciąży, zyska uznanie, że przez przerwanie ciąży spowodował powrót chorej do zdrowia. O ile zaś chora po przerwaniu ciąży umrze, wówczas albo przypisze się winę ginekologowi, który wykonał zabieg, albo uzna się przypadek za zupełnie beznadziejny, a o lekarzu powie się, że robił, co mógł. O ileby zaś ginekolog był odmiennego zdania niż lekarz specjalista i odmówił wykonania zabiegu, to w razie jakiegokolwiek pogorszenia się stanu chorej spotka go zarzut, że przyczyną pogorszenia jest odmowa dokonania zabiegu. A zatem również i ginekolog ze względów oportunistycznych może nie zająć odmownego stanowiska wobec zwrócenia się do niego o przerwanie ciąży na podstawie zalecenia lekarza specjalisty, mimo że nie będzie przeoko-

nany o nieodzowności zabiegu²⁾. Ażeby zatem względy oportunistyczne nie były powodem pozbawiania życia dziecka w łonie matki, konieczne jest zajęcie zdecydowanego stanowiska przez prawo.

Rozpatrując zagadnienie przerywania ciąży z punktu widzenia zdrowia publicznego, trzeba mieć na uwadze poważne ujemne następstwa, jakie pociągają za sobą zabiegi sztucznych poronień. Prof. Czyżewicz wyjaśnia, że przyczyną silnego oddziaływania zabiegu przerywania ciąży na ustrój i system nerwowy kobiety ciężarnej jest wstrząs, jaki powoduje dla organizmu kobiety, dostosowującego się do ciąży, nagle przerwanie ciąży. To dostosowanie się organizmu kobiety do rozwijającej się ciąży przedstawia prof. Czyżewicz porównawczo w formie krzywej, która przebiega wstępująco a pod koniec ciąży opada. Prof. Czyżewicz podkreśla, że przerywanie ciąży powoduje znacznie silniejszy wstrząs, gdy następuje na odcinku wstępującym w pierwszym okresie ciąży, aniżeli gdy następuje w okresie końcowym, gdy organizm przystosowuje się do mającego nastąpić porodu. Omawiając następstwa poronień, prof. Czyżewicz zwraca uwagę na następujące ujemne skutki tego zabiegu: a) możliwość uszkodzenia narządów kobiecych nawet w wypadkach niepopętnienia żadnego błędu w technice operacyjnej, b) szczególna łatwość zakażeń połogowych, których przebieg jest gorszy u osób, wyniszczonych chorobą, będącą przyczyną sztucznego poronienia, c) występowanie chorób kobiecych i zaburzeń w systemie nerwowym (nieraz nawet w kilka lat po wykonaniu zabiegu), d) skłonność do następnych poronień, e) niepłodność³⁾.

Prof. Orzechowski, omawiając zagadnienie przerywania ciąży z punktu widzenia neurologa, zwrócił uwagę na stany długotrwałego wyczerpania nerwowego, depresje i nerwice, a zwłaszcza stany psychasteniczne jako następstwa poronień. Nadmieniał on, że poronienia mogą mieć również wpływ pośredni na pogorszenie się cierpień organicznych, i podkreślił w konkluzji, że niezależnie od ustalenia wskazań lekarskich do przerywania ciąży należy odrębnie rozważyć kwestię, czy i o ile przerywanie ciąży w danym wypadku pomoże, czy też zaszkodzi i czy w ogólnym wyniku szkoda, która wynikła z przerywania ciąży, nie przeważa nad spodziewaną dla matki korzyścią⁴⁾.

Dr Wojtulewicz na zasadzie przeprowadzonych badań stwierdza, że na 1000 kobiet chorych, które zbadała, 480 kobiet przeszło poronienie, z czego 269 chorych przebyło różnego rodzaju cierpienia organów kobiecych jako następstwa poronień. Na 11 kobiet roniących jedna stawała się zupełnie niepłodną po pierwszym poronieniu⁵⁾.

Lekarze radzieccy Bronikowa i Serdiukow z Moskwy stwierdzili, że u kobiet po poronieniach następny poród trwa znacznie dłużej niż normalnie, że występują znacznie częściej powikłania przy porodach, nieraz

²⁾ Ginekologia Polska 1927, s. 1217.

³⁾ Następstwa i skutki poronień, Gin. Pol. 1927, s. 1217—37. Również dr Wł. Martiniec, O sztucznym przerywaniu ciąży, 1931, s. 76—91.

⁴⁾ Ginekologia Polska 1927, s. 1157—59.

⁵⁾ Gin. Pol. 1930, s. 670 i n.

występuje niepłodność nawet po jednym poronieniu i częściej zdarzają się płody martwe ⁶⁾.

Dr Wartenstein, zwracając uwagę na coraz lepsze wyniki cięcia cesarskiego, podkreślił, że w praktyce znanych ginekologów, jak Fritsch, Ahlfeld, Bumm, Winckel, w ciągu wielu lat i przy wielkim materiale ginekologicznym zaszło zaledwie kilka wypadków przerwania ciąży ⁷⁾.

Są to wypowiedzi lekarzy z okresu na kilka lat przed wojną, gdy toczyły się dyskusje na temat projektu nowego Kodeksu karnego. Dzisiaj dają się coraz częściej słyszeć głosy krytyczne, pomimo że wprowadzenie przez Kodeks karny i przepisy o wykonywaniu praktyki lekarskiej legalnego spędzenia płodu utrwaliły wśród lekarzy przekonanie, że pozbawienie życia dziecka nie urodzonego dla ochrony zdrowia kobiety ciężarnej może być uważane za zabieg leczniczy przewidziany przez prawo, a zatem zgodny również z etyką zawodową.

Nadużycia w zakresie przerywania ciąży są powszechnie znane. Jak stwierdzają wyniki ankiety, przeprowadzonej wśród lekarzy, mniej więcej $\frac{1}{10}$ zabiegów dokonywana jest na zasadzie wskazań lekarskich, natomiast przeważająca większość odbywa się bez żadnych wskazań lekarskich ⁸⁾.

Jak bardzo jest rozpowszechniona praktyka spędzenia płodu w większych miastach, świadczą dane opublikowane przez dra Wąsowicza, odnoszące się zapewne do Warszawy ⁹⁾. Przedstawiają się one następująco:

Kobiety w wieku	Liczba	Miało poronienia	Porody żywe	Poronienia sztuczne
do 25 l.	52	27	53	35
26—35	187	136	275	267
36—45	235	176	351	436
ponad 45	326	231	838	645
razem	800	570	1517	1383

Są to dane fragmentaryczne. Nie wiem, czy materiał pochodzi z poradni dla matki i dziecka, czy z kliniki położniczej, czy z innego źródła; w każdym razie powyższe dane obrazują dosadnie, jaka jest sytuacja w wielkich miastach. W świetle powyższych danych ponad 70% kobiet, jakie zaszły w ciążę, przechodziło poronienie. Na 1517 porodów żywych przypada 1383 sztucznych poronień, z czego wynika, że u badanych kobiet niemal co drugie dziecko poczęte było pozbawione życia.

Uzyskanie danych, które by pozwoliły ocenić nasilenie praktyk sztucznych poronień w skali ogólnokrajowej, jest sprawą niezmiernie trudną. Zadanie to podjął prof. Czyżewicz, zbierając materiały od szeregu lat przed wojną

⁶⁾ Gin. Pol., s. 343—47.

⁷⁾ j. w., s. 1382—3.

⁸⁾ W Służbie Zdrowia nr 3/47.

⁹⁾ Słowo Powszechne z 5. 10. 49.

w klinice uniwersyteckiej w Warszawie i uogólniając uzyskane dane na podstawie urzędowych danych statystycznych, dotyczących urodzeń. Otrzymane wyniki opublikował prof. Czyżewicz w Polskim Tygodniku Lekarskim w artykule „O częstości poronień” (nr 12/50). Straty w przyroście naturalnym na skutek zabiegów sztucznych poronień oblicza prof. Czyżewicz za okres 17 lat przedwojennych (1922—1938) na około 6,5 milionów. Prof. Czyżewicz ustala, że w powyższym czasie na około 16.115.000 porodów przypadało 6.494.811 sztucznych poronień, czyli na 22.609.811 ciąży było 28,7% sztucznych poronień. Obok podkreślenia szerokiego zasięgu praktyki sztucznych poronień, która zachodzi — jak z powyższych obliczeń wynika — znacznie częściej, niż można było przypuszczać, prof. Czyżewicz zwraca uwagę na dalszy jeszcze objaw, jaki towarzyszy praktykom sztucznych poronień. Mianowicie, podczas gdy w latach 1922—38 liczba ciąży na ogół z drobnymi wahaniami wzrasta, to w tym samym czasie liczba porodów maleje. I tak, gdy w latach 1922—25 liczba porodów wynosiła ponad 1 milion, to w dalszych latach liczba porodów zmniejsza się, dochodząc w r. 1938 do 850.000. Stąd wypływa wniosek, że zmniejszenie się liczby porodów tłumaczyć można tylko wzrostem stosowania zabiegów sztucznych poronień. Częstość stosowania sztucznych poronień ilustruje jaskrawo przykład przytoczony przez dra Henkego z jego praktyki. „Matka miała tylko jednego 16-letniego syna, a była 12 razy w ciąży. Syn ten zginął w powstaniu warszawskim. Mąż został publicznie rozstrzelany w Warszawie w r. 1943. Została sama. Na zapytanie, co stało się z jedenastu ciążami, otrzymałem odpowiedź, że wszystkie zostały przerwane, przy czym wspominała o nazwiskach akuserek i lekarzy, którzy dokonali tych zabiegów”¹⁰). Musimy zdać sobie sprawę z tego, że stoimy wobec utajonej choroby społecznej, która prowadzi do stałego wyniszczania potencjału ludnościowego. Według urzędowych danych statystycznych urodzenia w Polsce spadły z 35,3 na 1000 mieszkańców w r. 1922 na 24,6 w r. 1938, a urodzenia w wielkich miastach spadły z 26,5 w r. 1922 na 15,0 w r. 1938.

II

Przy rozpatrywaniu zagadnienia dopuszczalności pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego trzeba wziąć pod uwagę obok względów społecznych zasady prawne w odniesieniu do ochrony życia ludzkiego, które znajdują wyraz w przepisach Kodeksu karnego. W związku z tym należy przypomnieć przebieg powstania obecnie obowiązujących przepisów Kodeksu karnego, dotyczących omawianego zagadnienia.

Podczas obrad Komisji Kodyfikacyjnej nad projektami obecnie obowiązującego Kodeksu karnego przy rozpatrywaniu kwestionariusza, opracowanego przez prof. Krzymuskiego w sprawie podziału przestępstw, nasunęło się zagadnienie, czy spędzenie płodu należy zaliczyć do grupy przestępstw przeciw życiu i ciału. Prof. Krzymuski zaznaczył, że wychodzi z założenia, iż spędzenie płodu oznacza w odniesieniu do dziecka dopiero poczętego i dojrzewającego w łonie matki to przestępstwo, które skierowane przeciw człowiekowi już

¹⁰) W Służbie Zdrowia nr 3/47.

urodzoneму, nazywa się zabójstwem. Uzasadniając to stanowisko, prof. Krzymuski nadmieniał, że konstrukcja taka spotyka się z zarzutem, że płód ludzki nie może stanowić sam przez się dobra chronionego przez prawo, lecz tylko z uwagi na wartość, jaką pod względem populacyjnym posiada dla państwa. Gdyby ten punkt widzenia miał się okazać słusznym — zaznaczył prof. Krzymuski — to wtedy należałoby w prawie karnym traktować spędzenie płodu na równi z takimi przypadkami, jak np. stosowanie przy kohabitacji środków, mających chronić od zapłodnienia. Tymczasem wszystkie kodeksy — z wyjątkiem prawa angielskiego, które uważa spędzenie płodu za przestępstwo przeciw interesom familijnym i moralności — zaliczają je do rzędu przestępstw bądź przeciw życiu, bądź przeciw życiu i ciału, z czego widać, że w rozumieniu tych ustaw przedmiotem dzieciobójstwa jest płód ludzki, znajdujący się jeszcze w żywocie matki — nasciturus, który dla prawa karnego „pro iam nato habetur, quoties de vita eius agitur”¹¹⁾. W odniesieniu do kwestii stosowania zabiegów lekarskich, mających na celu uśmiercenie płodu dla ocalenia życia lub zdrowia matki, prof. Krzymuski wyjaśniał, że sprawy tej przy przestępstwie spędzenia płodu bliżej nie porusza, gdyż przypuszcza, że znajdzie ona odpowiednie unormowanie w przepisach ogólnych o wyższej konieczności¹²⁾.

Po przeprowadzeniu dyskusji jednomyślnie przyjęto, że za podstawę karygodności spędzenia płodu należy przyjąć zamiar usunięcia płodu. Odrzucono jednomyślnie zasadę zupełnej bezkarności ciężarnej, spędzającej płód, a karygodność wzgl. bezkarność lekarza, działającego przy spędzeniu płodu, ma być oceniana według przepisów części ogólnej¹³⁾.

Podstawą dla opracowania projektu części szczegółowej Kodeksu karnego był projekt wstępny prof. Makarewicza oraz koreferat prof. Makowskiego. Po przedyskutowaniu obydwu projektów Komisja Kodyfikacyjna przyjęła projekt Kodeksu karnego w pierwszym czytaniu w r. 1929. Projekt ten zawierał następujące przepisy w odniesieniu do przestępstwa spędzenia płodu:

art. 141 Kobieta, która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie go przez inną osobę, ulega karze więzienia do lat 5.

art. 142 § 1 Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tym udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5.

§ 2 Jeżeli sprawca działa bez zgody kobiety ciężarnej, ulega karze więzienia do lat 10.

§ 3 Jeżeli sprawca uprawia spędzenie płodu zawodowo albo jeżeli ze spędzenia płodu wynikła śmierć kobiety ciężarnej, ulega karze więzienia do lat 15¹⁴⁾.

W projekcie Kodeksu karnego, przyjętym w drugim czytaniu w r. 1930, wprowadzono przepis dodatkowy:

¹¹⁾ Kom. Kod. tom 1, zesz. 2, s. 21.

¹²⁾ j. w., s. 24. ¹³⁾ j. w.

¹⁴⁾ Kom. Kod. tom IV, zesz. 3, s. 30.

art. 227 Sprawca czynu z art. 225 i 226 (powyższe artykuły miały analogiczne brzmienie, jak art. 141 i 142 § 1 pierwszego projektu) nie ulega karze, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przy tym był konieczny ze względu na zdrowie matki, dobro rodziny lub ważny interes społeczny¹⁵⁾.

W uzasadnieniu projektu zostało zamieszczone wyjaśnienie, że pierwotna uchwała, uwzględniająca bezkarność lekarza na podstawie przepisów części ogólnej, mianowicie przepisu o wyższej konieczności, wymagała zmiany i uzupełnienia. Z jednej bowiem strony przepis o wyższej konieczności uwzględnia tylko niebezpieczeństwo bezpośrednio grożące, a z drugiej strony zachodzi potrzeba uwzględnienia innych czynników oprócz zdrowia osoby ciężarnej, a mianowicie czynników natury społecznej, eugenicznych i innych. W rezultacie przyjęto bezkarność działania kobiety ciężarnej i osób z nią współdziałających, w szczególności lekarzy, pod warunkiem zachowania przy zabiegu chirurgicznym lub innym zabiegu leczniczym, prowadzącym do spędzenia płodu, wskazań nauki lekarskiej. Gwarantuje tego widzi projekt w dokonaniu zabiegu przez lekarza, a zatem osobę odpowiednio wykwalifikowaną, posiadającą potrzebne ku temu uprawnienia ogólne na podstawie przepisów o wykonywaniu praktyki lekarskiej. Uzasadnienie projektu wyjaśnia dalej, że przyjęte w projekcie określenie „zdrowie matki” jest szersze aniżeli warunek grożącego bezpośrednio niebezpieczeństwa w przepisie o wyższej konieczności. Tam bowiem należałoby przeciwstawić sobie życie płodu z jednej i życie matki z drugiej strony, tutaj zaś chodzić może nie tylko o bezpośrednie zagrożenie życia matki, ale także o szkodliwe dla jej organizmu konsekwencje ciężkiego osłabienia, wycieńczenia itp.¹⁶⁾.

Projekt Kodeksu karnego został poddany ocenie Komisji Opiniodawczej, utworzonej w r. 1930 z inicjatywy prezesa Towarzystwa Ustawodawstwa Kryminalnego. Na posiedzeniu tej komisji wygłosił referat prof. Grzywo-Dąbrowski, który w odniesieniu do przestępstwa spędzenia płodu wyraził zapatrywanie, że wzgląd na zdrowie matki może uzasadniać przerwanie ciąży, gdyż badania przedmiotowe, dokonane przez lekarza, mogą ustalić, czy kobieta bez szkody dla zdrowia może urodzić. Prof. Grzywo-Dąbrowski zaznaczył jednak, że w medycynie nie ma jednolitych poglądów co do tego, jakie cierpienia i kiedy są bezwzględny wskazaniem do przerywania ciąży. Zupełnie negatywnie ustosunkował się prof. Grzywo-Dąbrowski do projektowanego dopuszczenia przerywania ciąży ze względu na „dobro rodziny” lub „ważny interes społeczny”. Kto ma decydować — pytał prof. Grzywo-Dąbrowski — czy warunki materialne i społeczne są tego rodzaju, że kobieta musi poronić? Czy ma tu decydować lekarz na podstawie zeznań zainteresowanej kobiety lub jej bliskich i brać na siebie odpowiedzialność za to przed władzą prokuratorską? Czy ma on przeprowadzać na swą rękę dochodzenie, co będzie w praktyce niemożliwe (zresztą zapewne żaden lekarz na to się nie zgodzi), czy mają być ustanowione specjalne komisje, które na prośbę kobiety będą przeprowadzały dochodzenia, komunikując lekarzowi o jego wynikach i zezwalając wzgl.

¹⁵⁾ Kom. Kod., tom V, zesz. 2, s. 43.

¹⁶⁾ j. w., tom V, zesz. 4, s. 175.

nie pozwalając na dokonanie zabiegu? Prof. Grzywo-Dąbrowski zaznacza, że w tak subtelnej i drażliwej sprawie (szczególnie, gdy chodzi o ciążę nieślubną) bliższe badanie spowodowałoby rozgłoszenie ciąży w otoczeniu zainteresowanej kobiety, co mogłoby wyrządzić jej niepowetowaną szkodę. Co do kobiety, która spowodowała przerwanie ciąży, prof. Grzywo-Dąbrowski wypowiedział się za jej niekaralnością. W konkluzji prof. Grzywo-Dąbrowski zaproponował, aby przerwanie ciąży było karane wówczas, gdy zostanie dokonane przez osobę postronną, a jeżeli zostało dokonane przez lekarza — tylko wtedy, gdy zostało wykonane w warunkach nieodpowiednich lub w sposób nieumiejętny i gdy spowodowało to w skutkach chorobę albo śmierć kobiety¹⁷⁾.

Komisja Kodyfikacyjna nie uwzględniła postulatów prof. Grzywo-Dąbrowskiego w odniesieniu do niekaralności kobiety ciężarnej za spędzenie płodu oraz co do niekaralności wszelkich lekarskich przerwania ciąży. Natomiast krytyczne stanowisko prof. Grzywo-Dąbrowskiego w odniesieniu do dopuszczalności przerwania ciąży ze względu na „dobro rodziny“ lub „ciężkie położenie materialne“ (co przewidywał trzeci projekt z r. 1931)¹⁸⁾ przyczyniło się do tego, że powyższe wypadki zostały w ostatecznej redakcji Kodeksu karnego opuszczone, a „ważny interes społeczny“ został ograniczony do tych wypadków, gdy ciąża była wynikiem czynu przestępnego.

Projekty Kodeksu karnego, opracowane przez Komisję Kodyfikacyjną, aczkolwiek przewidywały spędzenie płodu na zasadzie wskazań lekarskich (projekt drugi i trzeci), to jednak formułowały odpowiednie przepisy w ten sposób, że lekarz, który wykonał zabieg, „nie ulega karze“. W ten sposób zostało zaznaczone stanowisko Komisji Kodyfikacyjnej, że zabieg ten należy uważać w zasadzie za czynność sprzeczną z prawem (jako naruszającą prawo do życia dziecka jeszcze nie urodzonego), a jedynie ze względu na szczególne okoliczności należy odstąpić od wymierzenia kary. Dopiero tekst Kodeksu karnego, ustalony ostatecznie przez Ministerstwo Sprawiedliwości w r. 1932, zmienił sposób sformułowania odnośnego przepisu w ten sposób, że zabieg został uznany za nie mający charakteru czynu bezprawnego, a więc za czynność legalną.

*

Obecnie obowiązujący Kodeks karny zawiera w odniesieniu do spędzenia płodu następujące przepisy:

- art. 231 Kobieta, która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie go przez inną osobę, podlega karze aresztu do lat 3;
- art. 232 Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tym udziela pomocy, podlega karze więzienia do lat 5;
- art. 234 Kto bez zgody kobiety ciężarnej płód jej spędza, podlega karze więzienia do lat 10;
- art. 230 § 2. Jeżeli śmierć wynikła z uszkodzenia ciała, rozstroju zdrowia, spędzenia płodu lub porzucenia, określonego w art. 200, sprawca podlega karze więzienia do lat 10.

¹⁷⁾ Opinie o projekcie Kodeksu karnego, 1931, zesz. IV, s. 17 i n.

¹⁸⁾ Kom. Kod. tom V, zesz. 5, s. 41.

Dopuszczalność spędzenia płodu przewiduje Kodeks karny w następujących wypadkach:

art. 233 Nie ma przestępstwa z art. 231 i 232, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przy tym:

- a) był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, albo
- b) ciąża była wynikiem przestępstwa, określonego w art. 203 (czyn nierządny), 204 (zgwałcenie), 205 (wykorzystanie zależności kobiety) lub 206 (kazirodztwo).

Niezależnie od tego spędzenie płodu nie podlega karze, jeżeli zostało dokonane w wypadkach, objętych przepisem części ogólnej Kodeksu karnego o działaniu w stanie wyższej konieczności.

art. 22 § 1. Nie podlega karze, kto działa w celu uchylenia bezpośredniego niebezpieczeństwa grożącego dobru własnemu lub cudzemu, jeżeli niebezpieczeństwa nie można inaczej uniknąć.

§ 2. Nie działa w stanie wyższej konieczności, kto ma szczególny obowiązek narażenia się na niebezpieczeństwo.

§ 3. Dobro poświęcone nie może przedstawiać wartości oczywiście większej niż dobro chronione.

§ 4. W razie przekroczenia granic wyższej konieczności sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary.

Przepisy art. 22 § 1—4 obejmują działanie w stanie wyższej konieczności w ścisłym znaczeniu, tzn. gdy chodzi o usunięcie niebezpieczeństwa, grożącego sprawcy, oraz pomoc konieczną, tj. działanie dla usunięcia niebezpieczeństwa, grożącego osobie trzeciej. Połączenie tych dwóch kategorii wypadków w jednym przepisie zostało dokonane — jak wyjaśnia uzasadnienie projektu Komisji Kodyfikacyjnej — ze względów ekonomii kodyfikacyjnej. Z wyższej konieczności i pomocy koniecznej stworzyła Komisja Kodyfikacyjna jedną instytucję syntetyczną ochrony przed niebezpieczeństwem¹⁹⁾. Mogą nasuwać się zastrzeżenia co do tego, czy takie połączenie jest właściwe ze względu na praktyczne konsekwencje, płynące dla tych bądź co bądź różniących się od siebie stanów faktycznych²⁰⁾.

Prof. Śliwiński, omawiając sprawę nowelizacji przepisu o wyższej konieczności, cytuje jako przykład, że w świetle art. 22 Kk. nie popełnia przestępstwa ten, kto w czasie katastrofy okrętu wyrzuca z łodzi ratunkowej inną osobę, aby zrobić miejsce sympatycznej osobie, którą poznał poprzedniego dnia na pokładzie. Prof. Śliwiński zaznacza, że można mieć poważne wątpliwości co do tego, z jakiego tytułu dana osoba ma prawo rozstrzygać, która z dwu obcych jej osób ma być uratowana²¹⁾. Podobne zastrzeżenia wysunął poprzednio prof. Wolter, podnosząc, że rozszerzenie pomocy koniecznej na każdą osobę trzecią kłóci się do pewnego stopnia z pojęciem wyższej konieczności jako działaniem pod naciskiem psychicznym. Prof. Wolter dodaje, że trudno

¹⁹⁾ Kom. Kod. tom V, zesz. 3, s. 34.

²⁰⁾ W publicystyce zastrzeżenia te wysunęła M. Budzanowska (Dziś i Jutro nr 32/49, Problem karalności zabójstwa).

²¹⁾ D. P. P. nr 11/47, s. 35.

usprawiedliwić czyn osoby trzeciej, która zabija osobę A, by ratować osobę B. Ostatnio prof. Wolter stara się tłumaczyć przepis o wyższej konieczności — gdy chodzi o zagrożenie innej osoby — tym, że widocznie ustawodawca wychodził z założenia, że sam fakt, iż sprawca działa na korzyść osoby drugiej z poświęceniem osoby trzeciej, wskazuje, że z jakiegoś powodu ta osoba druga była mu bliższa, wobec czego nacisk działania na korzyść osoby drugiej był większy niż czynnik powściągający od naruszenia interesu osoby trzeciej²²⁾. Prof. Śliwiński proponuje nowelizację art. 22 Kk. w tym kierunku, że ten, kto działa w stanie wyższej konieczności, winien kierować się słuszną oceną, która będzie podlegała kontroli sądu²³⁾. Uważam, że w każdym razie należałoby dążyć do tego, aby w nowym Kodeksie karnym znalazła wyraz zasada, iż dla ratowania jednego życia ludzkiego nie można poświęcać życia innego człowieka, a od wymierzenia kary można by odstąpić tylko w tych wypadkach, w których chodzi o uchylenie bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego życiu sprawcy.

W przypadkach ciąży lekarz ma dość dużą skalę swobody oceny, czy zachodzi bezpośrednie niebezpieczeństwo dla życia kobiety ciężarnej, a trzeba podkreślić, że według zasad o bezkarności działania w stanie wyższej konieczności niebezpieczeństwo winno zagrażać bezpośrednio, tj. winno grozić w danej chwili lub jeszcze trwać, natomiast niebezpieczeństwo spodziewane dopiero w przyszłości nie wystarcza²⁴⁾. Tymczasem lekarz zazwyczaj decyduje się na pozbawienie życia dziecka jeszcze nie urodzonego wcześniej, nim zajdzie niebezpieczeństwo dla życia kobiety ciężarnej, wychodząc z założenia, że odwlekanie decyzji zmniejsza widoki na dodatnią prognozę powrotu do zdrowia kobiety ciężarnej. Przy takim lekarskim podejściu decyzja pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego będzie nieraz wykraczała poza ramy, zakreślone przez zasady obecnie obowiązującego Kodeksu karnego o wyższej konieczności. Pojęcie zabiegu, koniecznego ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, jest niewątpliwie znacznie szersze niż pojęcie bezpośredniego niebezpieczeństwa²⁵⁾.

Przepis o wyższej konieczności bierze wzgląd na takie sytuacje, w których sprawca, będąc postawionym wobec bezpośredniego zagrożenia dobra innej osoby, działa dla jego ochrony pod wpływem pobudek psychicznych, będących wpływem przeżycia niebezpieczeństwa. Tymi właśnie momentami podmionowymi tłumaczy się w dużej mierze zwolnienie sprawcy od odpowiedzialności. Inaczej przedstawia się sprawa w wypadku pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego. Jeżeli lekarz decyduje się na dokonanie takiego zabiegu, to z reguły nie dlatego, że staje nagle wobec konieczności dokonania natychmiastowego zabiegu dla ratowania życia kobiety ciężarnej; zwykle poddaje on chorą dłuższej obserwacji, dokładnym badaniom i dopiero po skrupulatnym rozważeniu wszystkich okoliczności podejmuje decyzję. Można by mieć za-

²²⁾ Zarys systemu karnego 1933, tom I, s. 189 i 1947, tom I, s. 291.

²³⁾ D. P. P. nr 11/47, s. 35.

²⁴⁾ Niessensohn-Siewierski, Kodeks karny 1949, uw. 6 do art. 22.

²⁵⁾ Prok. Cyprian, Karna i cywilna odpowiedzialność lekarza, Kraków 1949, s. 96.

strzeżenia co do tego, czy — jeśli sprawca nie działa pod wpływem impulsów psychicznych, będących reakcją na zetknięcie się z nieoczekiwanym niebezpieczeństwem, lecz ocenia sytuację chłodnym rozsądkiem — będzie właściwe stawianie na jednej szali pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego, a na drugiej samej „możliwości“ utraty życia przez matkę. Nie można bowiem zapominać, że zaniechanie zabiegu wystawia wprawdzie życie kobiety ciężarnej na poważne niebezpieczeństwo, lecz nie jest jeszcze wiadomem, czy nie uda się życia jej uratować także bez uśmiercenia dziecka.

Prof. Śliwiński zwraca uwagę, że gdyby lekarz przy dokonaniu spędzenia płodu mógł się powołać tylko na art. 22 Kk o wyższej konieczności, a nie również na art. 233 Kk. to mielibyśmy stan tego rodzaju, że osoba trzecia, działając w obronie koniecznej płodu, miałaby prawo zaatakować lekarza, który przystępuje do spędzenia płodu. Czynność lekarza nie byłaby bowiem z punktu widzenia art. 22 Kk przestępna, ale byłaby bezprawna²⁶⁾.

III

Po ogromnym ubytku ludności, jaki spowodowała u nas miniona wojna, w piśmiennictwie lekarskim i w publicystyce wskazywano wielokrotnie na pilną potrzebę nowelizacji obecnie obowiązujących przepisów dotyczących przerywania ciąży²⁷⁾. Pierwszym krokiem na tej drodze była ustawa z dnia 28. 10. 1950 o zawodzie lekarza (Dz. Ust. nr 50, poz. 458). Podczas gdy według art. 12 rozporządzenia Prezydenta R. P. z dn. 25. 9. 1932 o wykonywaniu praktyki lekarskiej (Dz. Ust. nr 81, poz. 712) wykonanie zabiegu spędzenia płodu było dopuszczalne po przedstawieniu zaświadczenia dwóch lekarzy, stwierdzających konieczność zabiegu ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej albo po przedstawieniu zaświadczenia prokuratora, stwierdzającego, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała wskutek przestępstwa z art. 203, 204, 205 lub 206 Kk to obecnie orzeczenie o konieczności zabiegu ze względu na stan zdrowia kobiety ciężarnej musi być wydane przez komisję lekarską, a sam zabieg może być wykonany tylko w zakładzie leczniczym, chyba że niewykonanie natychmiastowe zabiegu zagrażałoby utratą życia kobiety ciężarnej. Przepisy ustawy o zawodzie lekarza nie zmieniły zasady, że przerwanie ciąży jest dopuszczalne już w razie zagrożenia zdrowia kobiety ciężarnej, gdyż musiały nawiązać do tej zasady, jaka została ustalona w Kodeksie karnym. Zmiany, wprowadzone przez ustawę o zawodzie lekarza, miały niewątpliwie na celu ograniczenie sztucznych poronień i rozciągnięcie większej kontroli nad powyższymi zabiegami. Pomimo jednak że ustawa weszła w życie w dniu 29. 10. 1950 r., następuje poważne opóźnienie w wydaniu rozporządzenia wykonawczego, które ma unormować sposób zorganizowania komisji lekarskich i tryb postępowania. Opóźnienie to tłumaczy się niewątpliwie trudnościami, na jakie natrafia prawne uregulowanie przypadków, w jakich ma być do-

²⁶⁾ Prawo karne, s. 188.

²⁷⁾ W Służbie Zdrowia, nr 3 i 7/46, 3, 4, 7—8/47; zob. również Dziś i Jutro, nr 16 i 47/46, 5 i 30/47, 8, 15 i 36/48, 25 i 32/49.

puszczalne legalne pozbawienie życia dziecka jeszcze nie urodzonego, które miałyoby być uznane za zabieg leczniczy.

Sprawa należytego unormowania ochrony życia dziecka poczętego, lecz jeszcze nie urodzonego, będzie ponownie rozpatrywana obecnie w związku z opracowywaniem nowego Kodeksu karnego. Ministerstwo Sprawiedliwości na łamach Nowego Prawa zachęca do nadsyłania uwag w odniesieniu do zagadnień, które by należało w sposób odmienny unormować. Zagadnienie pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego ze względu na wielką wagę społeczną wymaga ponownego przedyskutowania zarówno przez prawników, jak przez lekarzy.

Obok przedstawionych już zastrzeżeń co do możliwości uznania pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego za zabieg leczniczy oraz obok względu na zdrowie publiczne i politykę populacyjną należy zwrócić uwagę na zmiany, jakie dokonały się w ostatnich latach w sytuacji prawnej dziecka jeszcze nie urodzonego. Nowe przepisy prawa cywilnego tak dalece uwzględniają prawa dziecka jeszcze nie urodzonego, że obecnie można już mówić o jego przedmiotowości prawnej. Mianowicie według art. 29 przepisów ogólnych prawa cywilnego ustanawia się dla dziecka poczętego, lecz jeszcze nie urodzonego, kuratora, jeżeli jest to potrzebne dla strzeżenia jego przyszłych praw; kuratela ustaje z chwilą urodzenia się dziecka²⁸⁾. Według art. 45 Kodeksu rodzinnego można uznać ojcostwo w stosunku do dziecka nawet nie urodzonego, jeżeli dziecko zostało już poczęte²⁹⁾. Według art. VIII przepisów wprowadzających Kodeks rodzinny sąd może jeszcze przed urodzeniem się dziecka zabezpieczyć przyszłe powództwo o roszczenia alimentacyjne, związane z ustaleniem ojcostwa, przez zobowiązanie domniemanego ojca do wyłożenia odpowiedniej sumy na koszty utrzymania matki przez trzy miesiące po urodzeniu³⁰⁾. Według art. 5 § 2 prawa spadkowego dziecko w chwili otwarcia spadku już poczęte, lecz jeszcze nie urodzone, może być spadkobiercą, jeżeli przyjdzie na świat żywe; w tym przypadku uważa się, jak gdyby było już urodzone w chwili otwarcia spadku³¹⁾. Jeżeli ustawa przewiduje możliwość uznania ojcostwa w stosunku do dziecka jeszcze nie urodzonego, to jest oczywiste, że z uznaniem łączy się podmiotowość prawna dziecka. Podmiotowość tę nadaje jednak nie oświadczenie o uznaniu ojcostwa, lecz sam fakt istnienia dziecka. Ta podmiotowość prawna dziecka jeszcze nie urodzonego jest o tyle tylko ograniczona, że będzie się aktualizować dopiero po urodzeniu się dziecka, o ile dziecko przyjdzie na świat żywe. To ostatnie zastrzeżenie nie mogłoby jednak stanowić usprawiedliwienia dla tego, aby samo prawo mogło przewidywać pozbawienie dziecka życia. Do tego zaś sprowadzałaby się prawna konsekwencja dopuszczenia legalnego przerwania ciąży, choćby tylko w pewnych wyjątkowych wypadkach. Tej uznanej obecnie przez prawo podmiotowości dziecka jeszcze nie urodzonego nie uwzględnił obowiązujący dotychczas Kodeks karny. Należy zatem dążyć do tego, aby przepisy prawa karnego zostały zharmonizowane z przepisami

²⁸⁾ Dz. Ust. nr 34, poz. 11/50.

²⁹⁾ j. w., poz. 308/50.

³⁰⁾ j. w., poz. 309/50.

³¹⁾ j. w., poz. 328/46.

prawa cywilnego i w związku z tym, aby przepisy Kodeksu karnego zapewniły dziecku jeszcze nie urodzonemu taką samą ochronę życia, jak dziecku już urodzonemu. Można mieć poważne wątpliwości, czy lekarz, który na konsylium lekarskim wypowiedział się za pozbawieniem życia dziecka jeszcze nie urodzonego ze względu na zagrożenie życia kobiety ciężarnej, podtrzymałby to stanowisko, gdyby został ustanowiony kuratorem tego dziecka.

Poza zmianą w sytuacji prawnej dziecka jeszcze nie urodzonego trzeba również uwzględnić przemiany społeczne, jakie się dokonały w latach powojennych. Wprowadzenie zasiłków rodzinnych do systemu płac w odniesieniu do wszystkich kategorii pracowników wpłynęło na poprawę bytu materialnego rodziny wielodzietnej. Rozszerzenie pomocy leczniczej społecznej służby zdrowia, zniesienie dawniejszych ograniczeń co do czasu trwania pomocy leczniczej w poszczególnych wypadkach choroby, rozbudowanie sieci ośrodków zdrowia, utworzenie centralnych wojewódzkich poradni ochrony macierzyństwa i zdrowia dziecka i przychodni specjalistycznych polepszyło w znacznej mierze sytuację kobiety w okresie ciąży i macierzyństwa. Nastąpiło również znaczne rozszerzenie praw dziecka nieślubnego. W obecnych zatem warunkach względy zdrowotne i społeczne nie powinny stanowić przy ocenie indywidualnej sytuacji kobiety ciężarnej usprawiedliwienia dla sztucznych poronień, a wykroczenia w tym zakresie powinny spotykać się z realnymi sankcjami karnymi.

Ministerstwo Sprawiedliwości opublikowało projekt wstępny części ogólnej Kodeksu karnego, opracowany przez Komisję Konsultacyjno-Naukową przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Interesuje nas tutaj sposób ujęcia przepisów o wyższej konieczności, gdyż przy omawianiu problemu pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego dla ochrony kobiety ciężarnej zawsze nawiązuje się do stanu wyższej konieczności. Odpowiednie przepisy w projekcie części ogólnej Kodeksu karnego mają następujące brzmienie:

- art. 12 Nie popełnia przestępstwa, kto działa w celu odwrócenia bezpośredniego niebezpieczeństwa grożącego interesom Polski Ludowej, osobie lub prawom obywatela, jeżeli niebezpieczeństwa nie można było inaczej uniknąć, a powstała stąd szkoda była mniejsza od szkody, która groziła.
- art. 13 Stan wyższej konieczności nie zachodzi w stosunku do osoby, która przedsięwzięcie działanie w celu odwrócenia bezpośredniego niebezpieczeństwa osobistego, jeżeli spoczywa na niej, ze względu na jej stanowisko urzędowe, społeczne lub zawodowe, obowiązek narażania się na to niebezpieczeństwo.

Projektowane przepisy ujmują zatem nieco odmiennie stan wyższej konieczności aniżeli obowiązujący Kodeks karny. Według bowiem art. 22 Kk dobro poświęcone nie może mieć wartości oczywiście większej niż dobro chronione, a więc mogło to być dobro równorzędne, a nawet większej wartości, byle tylko stosunek wartości nie był rażący. Natomiast według projektowanych przepisów dobro poświęcone musi mieć mniejszą wartość, przy czym należy się kierować słuszną obiektywną oceną, podlegającą kontroli sądu. Poprzednio uzasadniałem już stanowisko, że nie mamy możliwości wydać

obiektywnie słusznej oceny, czyje życie jest bardziej wartościowe: matki, czy dziecka. Dziecko jeszcze nie urodzone stanowi pod względem społecznym niewiadomą. Nie możemy bowiem przewidzieć, czy gdy dziecko to urodzi się i osiągnie wiek dojrzały, nie wyrośnie z niego wybitny myśliciel, wynalazca, społecznik lub uczony. Nawet biologicznie biorąc, trudno rozstrzygnąć, czy organizm matki ma wyższą wartość niż organizm dziecka jeszcze nie urodzonego. Wprawdzie ustroj matki jest w pełni rozwinięty, natomiast dziecko jeszcze nie urodzone jest dopiero w stadium rozwoju, nie można jednak pomijać tej okoliczności, że organizm matki jest dotknięty poważnym procesem chorobowym, natomiast dziecko w łonie matki jest z reguły zdrowe i po urodzeniu się może być umieszczone w warunkach, które zapewnią mu należyty rozwój do czasu uzyskania pełni sił. W świetle zatem projektowanego art. 12 Kk nie powinno być uznane za dopuszczalne pozbawienie życia dziecka jeszcze nie urodzonego nawet w wypadku, gdy dalsze trwanie ciąży zagraża życiu kobiety ciężarnej, albowiem dobro poświęcone nie przedstawia wartości mniejszej niż dobro chronione.

Przeciw dopuszczalności pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego przemawia również projektowany art. 13. W przepisie tym zostało podkreślone, że stan wyższej konieczności nie zachodzi w stosunku do osoby, na której spoczywa ze względu na jej stanowisko społeczne obowiązek narażania się na niebezpieczeństwo. Wprawdzie z brzmienia przepisu wynika, że ma on wyłączać możliwość powołania się na stan wyższej konieczności tylko tej osoby, która ma obowiązek narażania się na niebezpieczeństwo, natomiast nie wyklucza stanu wyższej konieczności, o ile chodzi o działanie osoby postronnej, jednakże u podstawy projektowanego przepisu leży założenie, że ten, kto ze względu na stanowisko społeczne ma obowiązek narażania się na niebezpieczeństwo, nie powinien uchylać się od przyjęcia tego niebezpieczeństwa. Kobieta zajmuje we współczesnym ustroju takie samo stanowisko pod względem zawodowym i politycznym, jak mężczyzna, natomiast jej stanowisko społeczne wyodrębnia się przez funkcję macierzyńską. Decydując się na wstąpienie w związek małżeński, kobieta zdaje sobie sprawę z tego, że bierze na siebie nowe zadania, łączące się z małżeństwem i macierzyństwem. Z macierzyństwem zaś związane jest istotne niebezpieczeństwo, towarzyszące każdemu porodowi, także przy zupełnie normalnym przebiegu ciąży. Z tego niebezpieczeństwa kobieta zdaje sobie sprawę i wie, na co się naraża. Odznaczenia dla kobiet wielodzietnych są wyrazem uznania nie tylko za trud włożony przez matkę w wychowanie dzieci, lecz również za narażanie swego życia na niebezpieczeństwo, które zachodzi przy każdym przyjściu dziecka na świat. Wysoka godność macierzyńska płynie właśnie z gotowości do ofiar na rzecz dziecka. Dążeniem władz organizujących społeczną służbę zdrowia jest zapewnienie kobiecie w okresie ciąży i macierzyństwa możliwie szerokiej pomocy. Specjalna pomoc powinna być przewidziana w tych wypadkach, gdy czy to w poradni dla matki i dziecka, czy też przy innym badaniu lekarskim zostanie stwierdzone, że w okresie ciąży organizm kobiety został dotknięty procesem chorobowym. Jeden tylko środek powinien być wykluczony, tj. pozbawienie życia dziecka poczętego, lecz jeszcze nie urodzonego. Jest to

bowiem środek w wielu wypadkach zawodny i stanowiący tylko pozorne dobro dla kobiety ciężarnej, dla której na wiele lat, a może na całe życie, pozostanie w pamięci fakt wyrażenia zgody na pozbawienie życia własnego dziecka.

W dotychczasowych rozważaniach nie poruszyłem jeszcze jednego zagadnienia, a mianowicie nie omówiłem przypadków, gdy ciąża jest wynikiem czynu przestępnego. Sytuacja kobiety ciężarnej, która została doprowadzona wbrew swej woli do zajścia w ciążę, jest niewątpliwie bardzo ciężka. Zezwolenie na przerywanie w takich wypadkach ciąży, jakie zostało zamieszczone w art. 233 lit. b) Kk, ma na uwadze zarówno sytuację kobiety ciężarnej, jak i obawę, aby jej przeżycia nie odbiły się ujemnie na psychice dziecka. Okoliczności te, aczkolwiek mają poważne znaczenie, nie mogą jednak — moim zdaniem — usprawiedliwiać pozbawienia życia dziecka. Dopuszczenie się w stosunku do kobiety przestępstwa i spowodowanie zajścia jej w ciążę jest już jednym złem społecznym. Sytuacja nie dozna poprawy, gdy zostanie popełnione drugie zło, jakim jest pozbawienie życia dziecka. Z chwilą gdy kobieta zaszła w ciążę, skutek przestępstwa jest już niemożliwy do usunięcia. Wobec uznania podmiotowości prawnej dziecka jeszcze nie urodzonego, nie wolno go pozbawić życia dla uchronienia kobiety od skutków przestępstwa. Gdyby powyższy cel stanowić miał sam przez się usprawiedliwienie dla pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego, to nie daleka byłaby droga do usprawiedliwiania w takich wypadkach pozbawienia życia dziecka nawet po urodzeniu. Państwo powinno dać poszkodowanej pomoc w tej formie, że umożliwi jej odbycie porodu w zakładzie i przejmie wychowanie dziecka na koszt własny. Jest to jedyne możliwe — w moim przekonaniu — zadośćuczynienie, jakie Państwo dać może kobiecie za naruszenie jej bezpieczeństwa osobistego. Obecnie obowiązujące przepisy pozwalają na pozbawienie życia dziecka jeszcze nie urodzonego już w razie wykazania zaświadczeniem prokuratora, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, iż ciąża powstała wskutek czynu przestępnego. Samo podejrzenie nie dowodzi jednak, że rzeczywiście zaszedł czyn przestępny. Przy ciąży pozamałżeńskiej kobieta, która zaszła w ciążę, niejednokrotnie będzie przedstawiać swoją sytuację w ten sposób, jakoby nastąpiło zgwałcenie (art. 204) lub wykorzystanie stosunku zależności (art. 205). Gdyby nawet miało być utrzymane stanowisko, że uznaje się za usprawiedliwione pozbawienie życia dziecka jeszcze nie urodzonego, jeżeli zostało ono poczęte wbrew woli kobiety, to w każdym razie należałoby żądać, aby uprzednio sąd ustalił w postępowaniu karnym, że rzeczywiście czyn przestępny został dokonany. Okoliczność, że może być już wówczas za późno, gdyż w międzyczasie może nastąpić poród, nie może mieć decydującego znaczenia; na zasadzie bowiem samych podejrzeń nie można istoty ludzkiej pozbawiać życia. A jeżeli te podejrzania okażą się bezpodstawne, to kto będzie odpowiadał za pozbawienie życia dziecka? Powyższe trudności przy rozwiązywaniu zagadnienia ciąży, powstałej wbrew woli kobiety, przemawiają raczej za tym, że w takich wypadkach skutki dokonanego przestępstwa są nieodwracalne i że z tym się trzeba pogodzić.

De lege ferenda uważam za pożądane, aby w nowym Kodeksie karnym została zupełnie odrzucona dopuszczalność pozbawienia życia dziecka jeszcze

nie urodzonego bez względu na istnienie tzw. wskazań lekarskich do przerwania ciąży lub innych przyczyn i w związku z tym należałoby uchylić w całości art. 233 Kk. Ustawa nie powinna bowiem dawać z góry upoważnienia lekarzowi do pozbawienia życia dziecka jeszcze nie urodzonego, nawet w zupełnie wyjątkowych wypadkach, gdyż byłoby to sprzeczne z zasadą, iż prawo winno chronić każde życie ludzkie. Ustawa mogłaby co najwyżej przewidywać możliwość uwolnienia lekarza od odpowiedzialności, gdy zostanie stwierdzone, że zachodziły zupełnie wyjątkowe okoliczności; ocenę tych okoliczności należałoby pozostawić władzom powołanym do czuwania nad bezpieczeństwem życia ludzkiego, tj. organom prokuratorskim i sądom.

Jeżeli chodzi o stanowisko współczesnej socjalistycznej nauki prawa karnego, to prof. I. Andrejew, L. Lernell i J. Sawicki w zespołowym opracowaniu części ogólnej prawa karnego wyrazili pogląd, że w imię demokratycznej zasady równości ludzi jednakowo ważne jest każde istnienie ludzkie³²⁾. Powyższą zasadę należałoby — moim zdaniem — zastosować również w odniesieniu do dziecka jeszcze nie urodzonego, uwzględniając ewolucję, jaka się dokonała ostatnio w pojęciach prawnych oraz powszechnie odczuwaną potrzebę ochrony każdego życia ludzkiego.

W nowych przepisach należałoby również wprowadzić pewnie zmiany terminologiczne, a mianowicie zamiast dawniejszego określenia „spędzenie płodu” wzgl. „przerwanie ciąży” należałoby używać określenia „pozbawienie życia dziecka poczętego, lecz jeszcze nie urodzonego”, gdyż Kodeks karny powinien posługiwać się tą samą terminologią prawniczą, jaka została już przyjęta w prawie cywilnym.

Obok zaostreżenia represji karnej w stosunku do osób, które naruszają prawo do życia dziecka jeszcze nie urodzonego, byłoby pożądane podjęcie w szerszym zakresie akcji wychowawczej. Akcję tę powinny prowadzić przede wszystkim organizacje kobiece przy współudziale związków zawodowych służby zdrowia, zwracając uwagę z jednej strony na należyte oświecenie godności macierzyństwa i funkcji obywatelskiej, którą spełnia kobieta jako matka, a z drugiej strony — na zgubne następstwa, jakie spowodują pozbawienie życia dziecka jeszcze nie urodzonego dla organizmu i psychiki kobiety. Trzeba mieć na uwadze, że następstwa sztucznych poronień osłabiają na czas dłuższy organizm kobiety, a konieczność leczenia schorzeń, występujących po poronieniach, obarcza zakłady lecznicze społecznej służby zdrowia dodatkowymi wydatkami. Fundusze te mogłyby być znacznie właściwiej zużyte przez przeznaczenie ich na dalszą pomoc dla matki i dziecka, w szczególności na pomoc dla kobiety ciężarnej, gdy choroba w związku z ciążą zagraża jej życiu lub grozi poważnym uszczerbkiem na zdrowiu. Jeżeli kobiecie w okresie ciąży zostanie zapewniona szczególna opieka, zwłaszcza gdy wchodzi w grę choroba przewlekła, to zostaną w przeważnej mierze usunięte przypadki, stanowiące teraz usprawiedliwienie dla tolerowania przez ustawodawstwo sztucznych poronień, pojmowanych jako zabiegi lecznicze, chociaż uśmiercenie żyjącej istoty ludzkiej pozostaje w zasadniczej sprzeczności z lecznictwem. Ześrod-

³²⁾ Prawo Karne Polski Ludowej, s. 199.

kowanie wspólnego wysiłku badań naukowych na poszczególnych procesach chorobowych, ocenianych obecnie jako wskazania lekarskie do przerwania ciąży, mogłoby przyczynić się do stopniowego usuwania tego rodzaju zabiegów uznawanych w medycynie tylko jako zło konieczne. Toteż byłoby pożądane zaplanowanie na szerszą skalę badań w poszukiwaniu nowych środków i metod leczniczych, z których pomocą można by ratować w czasie ciąży zarówno matkę, jak i dziecko.

W Związku Radzieckim nastąpiły w odniesieniu do zagadnienia spędzenia płodu daleko posunięte zmiany w ustawodawstwie. Początkowo ukaz Komisariatu Ochrony Zdrowia i Komisariatu Sprawiedliwości z r. 1920 zezwolił na dokonywanie zabiegów spędzenia płodu w szpitalach bez pobierania opłat, zakazując równocześnie dokonywania tych zabiegów osobom, nie mającym wykształcenia lekarskiego. Ukaz ten daje wyraz przekonaniu, że zło, jakie wpływa dla ogółu ze stosowania zabiegów spędzenia płodu, będzie zanikać w miarę rozwoju opieki nad matką i dzieckiem. Późniejszy Kodeks karny uznał za dozwolone spędzenie płodu przez lekarza w każdym wypadku na życzenie kobiety ciężarnej, a przewidywał sankcje karne tylko w stosunku do osób, nie mających przygotowania lekarskiego, oraz w stosunku do lekarzy w razie dokonania zabiegu w warunkach nieodpowiednich.

Zasadnicze zmiany wprowadziła nowela z 27 czerwca 1936 r. W myśl tej noweli (art. 140—140b Kk.) spędzenie płodu jest karane w każdym wypadku, jeżeli zostało dokonane poza szpitalem lub zakładem położniczym. Spędzenie płodu nie podlega karze wówczas, jeżeli zostało dokonane przez lekarza w szpitalu lub zakładzie położniczym i jeżeli dalsze trwanie ciąży zagrażało życiu lub groziło poważnym uszczerbkiem dla zdrowia kobiety ciężarnej, albo jeżeli zachodził wypadek ciężkiej choroby rodziców przechodzącej na potomstwo. Za spędzenie płodu przez osoby, nie mające wykształcenia lekarskiego, lub przez lekarza w warunkach nieodpowiednich (antysanitarnych) grozi kara więzienia na czas nie krótszy niż 3 lata. Podlega karze również nakłanianie kobiety ciężarnej do spędzenia płodu. Za spędzenie płodu, dokonane poza wypadkami, w których ustawa na to zezwala, podlega karze również kobieta, która była w ciąży. Kara, przewidziana w stosunku do kobiety ciężarnej, jest jeszcze wprawdzie stosunkowo łagodna, jednakże oznacza to już wprowadzenie nowej zasady, iż państwo chroni życie dziecka jeszcze nie urodzonego w interesie publicznym, w miejsce dawnej zasady, iż spędzenie płodu jest sprawą osobistą kobiety ciężarnej, a państwo czuwa jedynie nad ochroną jej zdrowia przy dokonaniu zabiegu. Ustawa powyższa, wydana w wyniku ankiety ludowej, wiąże walkę ze spędzeniem płodu z organizacją państwowej pomocy dla matki i dziecka, podkreślając, że z podnoszeniem dobrobytu mas pracujących można będzie wydać zdecydowaną walkę spędzaniu płodu³³⁾.

W Związku Radzieckim po minionej wojnie poświęca się wiele miejsca rozważaniom nad sprawą ograniczenia dopuszczalności spędzenia płodu³⁴⁾.

³³⁾ A. Trajnin, W. Mieńszagin i Z. Wszyńska, Kodeks Karny, Moskwa 1941, uwagi do art. 140—140b Kk. oraz A. Trajnin, Podstawowe zasady socjalistycznego prawa karnego, Dem. Przegl. Praw. nr 11/48.

³⁴⁾ Szargorodski, Priestuplenija protiv žyźni i zdorowiu, 1948.

Jeżeli już nowela z r. 1936 była wyrazem zdecydowanego wystąpienia przeciw spędzaniu płodu, to można oczekiwać, iż w związku z przeprowadzaną obecnie w Związku Radzieckim kodyfikacją Kodeksu karnego zostanie jeszcze silniej podkreślona konieczność ochrony życia dziecka jeszcze nie urodzonego w ogólnym interesie społecznym.

Przepisy, dotyczące ochrony życia dziecka jeszcze nie urodzonego, proponowałbym ująć w Kodeksie karnym następująco:

art. 225 § 1 Kto zabija człowieka, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 lub dożywotnio albo karze śmierci.

§ 2 Kto bez zgody kobiety ciężarnej zabija dziecko poczęte, lecz jeszcze nie urodzone, podlega karze więzienia na czas od lat 3 do lat 10.

§ 3 Kto za zgodą kobiety ciężarnej zabija dziecko poczęte, lecz jeszcze nie urodzone, podlega karze więzienia do lat 10.

art. 225¹ § 1 Matka, która zabija dziecko w okresie porodu pod wpływem jego przebiegu, podlega karze więzienia do lat 5.

§ 2 Takiej samej karze podlega kobieta ciężarna, która zabija swe dziecko poczęte, lecz jeszcze nie urodzone, albo pozwala na pozbawienie go życia przez inną osobę.

art. 225² Jeżeli pozbawienie życia dziecka poczętego, lecz jeszcze nie urodzonego, zostało dokonane przez lekarza dla ratowania życia kobiety ciężarnej, sąd może zastosować zarówno w stosunku do lekarza jak i do kobiety ciężarnej nadzwyczajne złagodzenie kary, a w wyjątkowych wypadkach może od wymierzenia kary odstąpić.

art. 225³ Lekarz, który z chęci zysku pozbawił życia dziecko poczęte, lecz jeszcze nie urodzone, podlega karze więzienia na czas od lat 3 do lat 10.

art. 225⁴ Kto przez pozbawienie życia dziecka poczętego, lecz jeszcze nie urodzonego, spowodował śmierć kobiety ciężarnej, podlega karze więzienia na czas od lat 5 do lat 10.

Aleksander Rogalski

ISTOTA KATOLICKIEJ POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ

W studium niniejszym idzie nam o ujawnienie znamion współczesnej powieści katolickiej, której istota stanowiąca problem szeroko, namiętnie i nieustannie dyskutowany, może uzyskać pewne oświecenie właśnie poprzez analizę jej egzemplarycznego przejawu, typowego mimo swej oryginalności i odrębności, jakimi odznacza się świat każdego prawdziwego dzieła literackiego. Główna wartość powieści Juliana Greena pt. „Moïra“ (Paris, Plon 1950) — o której będziemy tu mówić — polega na tym, że stanowi ona łatwy i atrakcyjny pretekst do ekskursów na wszystkie strony rzeczywistości duchowej dla odnalezienia głównych znamion tego niezmiernie charakterystycznego a zarazem osobliwego we współczesnej literaturze zjawiska, jakim jest tzw. powieść katolicka.

Julien Green

Ostatnia powieść Juliana Greena uznana została za wybitne osiągnięcie katolickiej literatury francuskiej. „Dzięki „Moirze“ Julien Green odniósł najbardziej niezaprzeczalny sukces“ — orzekł krytyk z „Etudes“ (październik 1950) André Blanchelet. A redaktor „Esprit“, Albert Béguin powiedział o Greenie, że nowa jego powieść „przewyższa te wszystkie książki, które niegdyś tak podziwiano“.

Warto więc przyjrzeć się bliżej tej książce i poddać się refleksjom, jakie nasuwa ukazana w niej wizja świata. Ale najpierw trzeba poświęcić nieco uwagi samemu autorowi i przedstawić choćby najzwięźlejszą jego drogę rozwojową.

Julien Green jest pisarzem francuskim, lecz jak świadczy już o tym samo jego nazwisko — pochodzenia amerykańskiego. Ojciec jego był prezbiterianinem, matka zaś należała do Kościoła episkopalnego. Przed śmiercią w r. 1914 ojciec Greena przeszedł na katolicyzm. Młodość spędził jego syn we Francji wychowany w wierze katolickiej, choć dzieciństwo miał purytańskie. Ale wcześniej z katolicyzmem zerwał po ostrym kryzysie religijnym. Wtedy pod pseudo-

nimem Teofila Dalaporte ogłosił „Pamflet przeciwko katolikom francuskim“, dokoła którego było w swoim czasie dość głośno. Ale już ten fakt dowodził, że sprawy religijne były dlań sprawami poważnymi. Taki wniosek można było również wysnuć z jego pierwszych książek.

Zadebiutował powieścią „Mont-Cinère“, w roku 1926, w której, jak pisze René Lalo („Histoire de la littérature française contemporaine“ — Paris, 1941) „z surowością robiącą wrażenie bezlitosnego obiektywizmu, odtworzył Nową Anglię malując skąpy purytanizm w stylu, pełnym anglicyzmów, co robiło wrażenie, że się ma do czynienia raczej z przekładem aniżeli z oryginałem“.

Motyw religijny pojawił się również w następnej książce Greena: „Le Voyageur sur la Terre“ (1927). Po tej książce krytyka osądziła, że Green jest jednym z dwóch lub trzech powieściopisarzy obecnej epoki, którzy posiadają prawdziwe powołanie pisarskie.

W tym samym roku pojawiła się jego „Adrianna Mesurat“ (tłumaczona podobnie jak jego późniejsza powieść „Lewiatan“ na język polski) i utrwaliła mu pozycję literacką.

Z powieści tej i z następnych, a wydał ich bez mała dziesięć, element religijny znika pozostawiając po sobie tę „fobię śmierci“, o której Julien Green mówił, że go nigdy nie opuszczała, i żywioł halucynacyjno-wizyjny, wypełniający świat jego książek, oraz ten smutek, tę rozpacz, tę obsesję i konwulsje, szaleństwa i udręki opisywane pozornie na zimno, które miotają jego bohaterami wiodąc ich nieubłagane ku zbrodni i samozniszczeniu. Może to wszystko było wpływem braku czegoś ważnego i wielkiego? O żywiole obłądu, przenikającym jego książki, Green mówił, że gdyby go tam nie umieścił, to kto wie, czyby nie zainstalował w jego życiu. Znamienne było również to właściwe sztuce pisarskiej Greena przedstawianie rzeczywistości w jej postaci wizyjnej i fantastycznej środkami przeważnie realistycznymi, za czym kryło się uznanie tej sfery za coś nieskończenie bardziej prawdziwego niż bezpośrednia rzeczywistość. „Dla pisarza — wyznawał Green — istnieje rzeczywistość konwencjonalna i rzeczywistość, którą by można nazwać rzeczywistością wizji“. Postawę autora wyraża bohater powieści „l'Autre sommeil“ (1932), gdy mówi: „Jest dziwactwem mego umysłu, że wierzę tylko w to, o czym marzyłem... Odczuwam jeszcze szczególnie przywiązanie do miejsc, w których życie pojawia się w postaci

nierealnej... Odszukiwałem, jak niegdyś, miejsca, w których życie nie było do siebie podobne“.

W powieściach Greena odżył w niesłychanie intensywny sposób antyczny fatalizm. Jego bohaterzy czują się osaczeni przez okoliczności i przez właściwości swego charakteru. Z góry oni wiedzą, że po szeregu dni lub lat przeznaczenie ich spełni się, że sprawy ich zostały już osądzone a koniec ich określony. Czują się „jak dziecko, które bawi się i nie wie, że czas mija, ale matka jego zna chwilę, kiedy je położy i stworzy dokoła niego usypiającą ciemność“. Wierzą, że życie to „tajemnicza wola, która rządzi naszymi losami“, to „siła, która panuje nad światem“. Los pcha ich ku złemu czynowi, ku zbrodni, której dopuszczają się w stanie lunatycznym. Nie posiadają jasnej świadomości prawdziwego związku między sobą a zbrodnią i wydaje im się, że „istnieją chwile, w których przestaje istnieć związek między człowiekiem a jego wolą“.

U Greena ludzie nie wiedząc, jak uciec przed swoją zbrodnią, cierpią straszliwie, nieraz dochodzą do ostatniej granicy swego smutku. Życie jest dla nich koszmarem. Często trudno im zrozumieć, gdzie kończy się ich sen a zaczyna rzeczywistość. Dokucza im małość mieszczańskiego bytowania, na jakie są skazani, czują swoją obcość w świecie. Znają tylko strach, melancholię, nudę, pogardę, wstręt i nienawiść (do siebie i do obcych) i jedyną ich przyjemnością jest „dotykanie dna rozpacz“, ponieważ „nadmiar nieszczęścia daje pewnego rodzaju bezpieczeństwo“, stanowiąc „łaskawą przystań dla rozbitej duszy, która nie ma odwagi wierzyć“.

Te książki Greena odznaczały się znakomitą opanowaniem techniki pisarskiej, zwłaszcza kondensacją i zwięzłością wyrazu, niepospolitą siłą sugestywną i wielką przenikliwością psychologiczną.

W początkach ostatniej wojny Green nawraca się. Drogi jego powrotu do Kościoła i wszystkie przeżycia, które temu towarzyszyły, przedstawia jego czterotomowy „Dziennik“ („Journal“ 1928—1945), wydany po wojnie (Paris, Plon 1950).

W roku 1932 wyznawał: „Mam przed oczami obraz duszy, którą dobrze znam: kochała ona Boga, ale Bóg odwrócił się od niej...“ W roku 1936 Green postanawia nagle zmienić życie. Nie wie tylko, jak. Tęskni za czymś, czuje w sobie istnienie jakiejś prawdy, dla której nie może znaleźć właściwego wyrazu. Wraca do Pisma św., które czyta w kilku językach, i wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych.

W roku 1939 Green odkrywa pisma Bossueta i to odkrycie staje się dlań wstrząsającym przeżyciem wewnętrznym. Jednocześnie stwierdza, że Ewangelia jest „książką, której się nigdy nie zamyka i która zapisuje się każdego dnia w sercu człowieka myślącego“. Od roku 1940 Green przebywa w Ameryce i pisuje po angielsku. Wypadki wojenne pozwalają mu coraz lepiej pojąć istotę religii: „Prawdziwy porządek oparty jest na modlitwie... Nie walczmy z Niebem. Zwyciężyć je możemy tylko wtedy, gdy się Mu oddamy...“, wyznaje. W rok potem stwierdza: „Kochać tak, by z miłości umrzeć za kogoś, kogo się nie widziało ani nie słyszało — oto chrystianizm“. Zaczyna teraz czytać mistyków, wstępuje w „ciemną noc“ św. Jana od Krzyża.

W roku 1944 powraca do Europy. W pamiętniku swoim zapisuje: „Mniej książek, więcej modlitwy. Modlitwa jest wielką książką“. Nie zadowolają go powieści, które teraz pisze: „Każda powieść — wyznaje — zawiera truciznę... Chciałbym wiedzieć, czy pisanie powieści nie powinno odbywać się w stanie Łaski...“

Trzeba przyznać, że ostatnie powieści Juliana Greena nie zadowolą również jego krytyków. Czyżby nawrócenie stłumiło jego siłę twórczą, nałożyło pęta na jego wyobraźnię, pozostawiło go w rozbracie z talentem, któremu odpowiadał może jedynie „świat zabójczej nudy, nieuniknionej zbrodni i nocy, ziemskie piekło“, a nie „świat pogodzony“?

Lecz oto ukazała się „Moïra“ i wszystkie wątpliwości krytyków odpadły. Ukazało się dzieło godne pióra wielkiego pisarza a zarazem godne pisarza katolickiego.

„Moïra“

Jak przedstawia się ta powieść? Czy jest całkiem nowa, nie podobna do dawnych powieści Greena? Bynajmniej: już po pierwszych jej rozdziałach nabiera się przeświadczenia, że się ma przed sobą dzieło jednego i tego samego pisarza, że wkracza się w ten sam świat: świat obsesji, lęku, fatalizmu, halucynacji. Lecz jednocześnie czytelnik odkrywa istnienie zupełnie nowego elementu, odkrywa obecność jakiejś nadrzędnej, wyższej rzeczywistości, przenikającej ów świat, pozbawiającej go samoistności i wyodrębnienia, które tak pęgały jego upiorność, nadającej mu właściwe tło i sens — jakby

coś ważnego, czego brakło we wszystkich głównych powieściach Greena, tu się dopiero zjawilo nadając całości właściwy wymiar.

Fabula jest bardzo nieskomplikowana.

W roku 1920 z głębokiej prowincji przyjeżdża do jednego z niewielkich uniwersytetów amerykańskich osiemnastoletni chłopiec, Józef Day, silny, przystojny, odznaczający się rudymi włosami, wskutek czego robi wrażenie śmieszne, drażni i zaskakuje, odpycha i przyciąga zarazem. Zapisuje się na literaturę angielską i na grekę, aby studiować Pismo św w oryginale. Bo to jest jego jedyna namiętność: czytać Pismo św. i żyć wedle Pisma św. Interesuje go tylko zbawienie dusz. Widział już siebie mówiącego z kazalnicy do ludzi o piekle, o ich duszy, o grzechu, o wybawieniu z płomieni, „których nic ugasić nie zdoła“. Czuł, że Bóg powołał go do wyrwania istot ludzkich z siideł szatańskich. W swym miasteczku rodzinnym widział, „jak nagle ludzie powstawali i głosili posłannictwo Boże z nadzwyczajną siłą przekonania“. On chce być jednym z nich.

Już od pierwszych swych kroków, jakie stawia w nowym środowisku, utwierdza się w swym powołaniu. Gospodyni, u której wynajmuje pokój, maluje się, pali papierosy i wypowiada słowa, które przyprowadzają go o rumieniec: „Czyż nie znalazła się ona na mej drodze po to, abym ją zbawił?“ — zapytuje się Józef. Przez ścianę mieszkają jego koledzy. Niewyczerpany temat ich głośnych rozmów stanowią przeżycia seksualne i kobiety. Oni nie wiedzą, na jak straszliwe niebezpieczeństwo wystawione są ich dusze. Lecz Bóg chce ich nawrócenia a on, Józef Day, wstrząśnie nimi, wstrząśnie w ten sposób, że „bojaźń Boża powali ich jak chore zwierzęta na ziemię“.

Jednocześnie wszakże Józef przekonuje się, że urzeczywistnienie nakazu Ewangelii, takiego, jaki on pojmuje, natrafia na niesłychane przeszkody, że rodzi ono udręki i cierpienia, staje się źródłem bolesnych starć ze światem i ludźmi, którzy śmieją się i szydzą z jego poważnego zachowania się i skupionej miny, a zarazem staje się źródłem niepokoju i upokarzających odkryć.

Jakże gorzko było stwierdzić Józefowi, że jego postać zewnętrzna i jego temperament w tak rażącej sprzeczności pozostają z jego wzniosłą misją apostolską! Spojrzawszy raz na siebie w lustro ze smutkiem stwierdził, że posiada twarz człowieka zmysłowego, że nie jest to twarz, jaką by pragnął posiadać: „To białe i poządliwe oblicze, które spoglądało nań, przerażało go w pewnych momentach.

Chciałby mieć oczy przezroczyście szare, blade, wąskie wargi, wyraz uduchowiony i łagodny“, po prostu twarz podobną do tej, jaką miał pastor w jego rodzinnym miasteczku. A co się tyczy temperamentu, to jest on choleryczny, gwałtowny, impulsywny. Bardzo mu przeszkadza w pełnieniu misji religijnej.

Gdy jeden ze studentów, który z miejsca poczuł do niego niewytłumaczalną pogardę, zmusił go do bójki, Józef czując, jak „ogarnia go jakaś rzecz niepohamowana“, jak „pcha go naprzód ślepa siła“, omal nie zadławia na śmierć przeciwnika swym żelaznym uściskiem. Ten ostatni rzuci weń wówczas słowem, które nim wstrząśnie i które głęboko zapadnie w jego duszę: „Jesteś mordercą!“.

Gdy przez ścianę dochodzą do niego słowa bezwstydných wynurzeń kolegów, „Józef czerwienieje gwałtownie, wydaje mu się, że odpływa zeń wszystka krew do mózgu, wali w jego skroniach i rozsadza mu gardło. Podniósłszy ręce ku szyi rozwiązuje krawat i odrywa guziki u swej koszuli. Na próżno zatykał uszy pięściami: usłyszał. Słowa te usadowiły się w jego pamięci, by nigdy już z niej nie wyjść tworząc kolejność obrazów o nieubłaganej precyzji, i daremnie zamykał oczy, poruszał głową, jakby wyrzucić chciał to wszystko — czuł gwałtownie, że zamieszkał w nim demon“.

Gdy inny jego kolega wytłumaczył mu, co oznaczają pewne niezrozumiałe dlań miejsca w „Romeo i Julii“, rozerwał na dwoje uniwersytecki egzemplarz książki i rzucił ją z wściekłością na ziemię. Kiedy indziej pasem osmagał kolegę, który usiłował mu uzmysłowić, na czym polegają pewne zabawy studentów, i uznał go za „syna Be-liala“ zyskując przez to u chłopców przydomek „Anioła-niszczyciela“.

Lecz już ta gwałtowna reakcja wskazuje na wybitne zakłócenie równowagi wewnętrznej u bohatera książki Greena, na istnienie u niego obsesji seksualnej, którą z trudem, z oburzeniem i z odrazą, lecz nieodparcie musi sobie Józef Day uświadomić. I to jest jego własne przerażające odkrycie: on, który tak kochał czystość, który nie chce uczestniczyć w nieczystości świata, ponieważ oznaczałoby to dlań zaprzeczenie Ewangelii, on, który tak nienawidził instynktu seksualnego jako ślepej złej siły, który nawet starał się nie patrzeć na własne ciało w przeświadczeniu, że „ciało jest wrogiem chrześcijanina“, że „ciało prowadzi do piekła, a dusza do nieba“ — okazuje się również do gruntu nieczystym. Gdy dociera do jego umysłu fakt,

że podobny jest tysiącom innych ludzi, którzy oddają się beztrosko uciechom zmysłowym, ogarnia go pewność, że jest zgubiony: „Tej nocy, przed chwilą uzyskałem pewność, że jestem zgubiony — zwierza się przyjacielowi, Dawidowi. — Nie powinienes wątpić o tym wszystkim, co jest we mnie złego i nieczystego. Ja tego nawet nie wiedziałem. Jeszcze dwa tygodnie temu nie wiedziałem. To przyszło do mnie od razu. To było jak objawienie i ogarnął mnie strach. Tak, uważałem się za sprawiedliwego i prawego przed Bogiem, jak ..., jak ty, lecz to nie jest prawda. Gdybyś mógł znać myśli, które mi czasem przenikają umysł, nie rozmawiałbyś już ze mną ... Gdybym miał być zbawiony, żyłbym inaczej, lecz uczynki moje dowodzą, że jestem zgubiony ...”

Nigdy przedtem nie myślał o kobiecie. Lecz teraz nie mógł uwolnić się od nadzwyczaj pociągającego obrazu młodej a zepsutej dziewczyny, Moiry, który zajmowała przed nim pokój i która ma znowu przyjechać. Z ciała kobiecego już na odległość emanowały trucizny, którymi zaczynała obecnie nasiąkać dusza Józefa ku jej wieczystej zgubie — wbrew wszelkim wysiłkom jego woli. Przypadkowe spotkanie z Moirą jeszcze bardziej rozpałiło jego wyobraźnię. Widział w niej wcielenie Nierządniczy z Apokalipsy a obraz ten budził w nim najgorsze instynkty: z jakąż radością by ją bił za jej arogancję, za cynizm i wyuzdanie!

Ogarnięty pasją dotarcia do swej właściwej prawdy nie może „kryć przed sobą ani przed przyjacielem swego głodu fizycznego, który w niwecz zdaje się obracać jego płomienne, żywione już od dzieciństwa pragnienie zostania świętym: „Kochałem Boga. Kochałem Boga ,zanim zacząłem się Go bać“ — zwierzał się znowu Dawidowi. „Tego, co się dzieje we mnie, nie mógłbym ci powiedzieć ... Ty znalazłeś Boga i On nigdy ci nie będzie odebrany a ja, ja drżę z lęku, że mogę Go każdej chwili utracić, gdyż wydaje mi się, że jestem pogrążony w grzechu aż po same uszy. Ja płonę, Dawidzie ... Ja pożądam strasznie tego grzechu, którego nie popełniłem. Ty nie wiesz, co to jest ten głód ciała. Odnoszę czasem wrażenie, jakbym się oddzielił od swego ciała, jakby we mnie znajdowały się dwie osoby: jedna cierpiąca a druga przyglądająca się tym cierpieniom“.

Przyszła taka chwila, że Józefowi zdawało się, iż uzyskał znak zbawienia. Oto w hałasie restauracyjnym usłyszane w bluznierstwie imię Chrystusa sprawiło, że przywrócona została hierarchia rzeczy-

wistości. Józef namacalnie poznał, że „jedyną rzeczywistością było właśnie to imię, które wymawiano, choć w bluźnierstwie, niemniej jednak za przyzwoleniem Boga, a inna rzeczywistość, rzeczywistość ciała, pożądania, choćby tak okrutna, jaką była niekiedy, wydawała się w owym momencie złudna“. Niewidzialny porządek, zapewniający wyższość Królestwu Bożemu nad królestwem świata został przywrócony. Józef czuje, że stał się od razu innym człowiekiem. Uważa to za cud i duszę jego opanowują najwyższe uniesienia. Przekazuje je przyjacielowi, tak od niego odmiennemu: „Ty kochasz Pana pokoju, lecz ja, ja mam w sobie szaleństwo Boże. Mogę kochać tylko gwałtownie, ponieważ jestem człowiekiem pożądania. To dlatego bardziej wystawiony jestem na utratę Łaski i w pewien sposób bliższy jestem piekła aniżeli ty. Ty nie wiesz, co to jest piekło, lecz ja wiem, gdyż ja wiem, co to jest ogień. Ogień jest mą ojczyzną. Raz jeden rzucony zostałem, dzieckiem będąc, w ognisko obecności Bożej, ja wiem, co to jest palanie serca uczniów z Emaus i palanie serca Wessleya w nocy 24 maja. Lecz istnieje również żar płonący nieobecnością Boga. Gdyż Bóg jest ogniem, Dawidzie, i to w takim stopniu, że strach przed Jego nieobecnością wyraża się również w ogniu, w czarnym ogniu...“

Lecz Józef nie wie o tym, że znalazłszy się u szczytu uniesień religijnych stanął o krok przed przepaścią, w którą spadnie, zanim jeszcze ten dzień się skończy. Oto w jego pokoju, w wyniku spisku uknutego przez swawolnych kolegów, nie mogących dłużej znieść cnotliwego życia Józefa, zjawiała się niespodzianie Moira, uwodziecielska, wyzywająca, cyniczna i bezczelna. Lecz tym razem natrafiwszy na nieprzewidziany opór gotowa już jest skapitulować, gdy wtem, właśnie w chwili gdy już opuszcza jego pokój, owłada Józefem bestia rozbudzona obecnością rozpustnej dziewczyny. Józef dopuszcza się grzechu z Moirą a w parę godzin później powodowany nienawiścią do jej ciała i nienawiścią do swego grzechu w Moirze ucieśnionego, dusi ją i zwłoki jej zakopuje nocą w pobliskim lesie. Następny dzień przeżywa jak somnambulik, odrzuca możliwość ucieczki zaofiarowaną mu akurat przez jego przeciwnika, tego, który przeczuł w nim zbrodniarza, i oddaje się w ręce policji — jakby w ręce losu, który nań czekał od kolebki.

Tak przedstawia się ten dramat, „znakomicie skomponowany, arcydzieło zarazem naturalności i tajemnicy“ (Henri D a v i g n o n),

„biegnący na modłę klasyczną ku swemu kresowi“ (André Blanchet), ta „historia tak prosta, że trzeba by prawdziwego geniuszu, ażeby ją podtrzymać bez chwili słabości, ta powieść sprowadzająca się jakby wyłącznie do czasów mocnych“ (Albert Béguin).

Uświęcenie a anomalie psychiczne

„I cóż jest w tej powieści katolickiego, cóż jest w niej chrześcijańskiego?“ — zapyta się ze zdziwieniem, a może i z irytacją niejeden czytelnik zaskoczony brutalnym i odpychającym w swym skąpym realizmie finałem opowiadania — mimo iż mógł się spodziewać katastrofy już od pierwszych stron książki. Temat jej wzięty ze sfery przeżyć religijnych zdaje się nie wystarczać do zakwalifikowania jej jako powieści katolickiej. Czyż nie rozczarowuje ona nawet jako zwyczajna powieść napisana przez pisarza, o którym się wie, że jest wierzącym katolikiem. Przecież jest to raczej uderzenie w powieść chrześcijańską — snuje nadal swoje myśli wspomniany już czytelnik, podważenie jej wartości, ponieważ przeżycia religijne nie zdołały powstrzymać bohatera od zbrodni, ale one go nawet do tej zbrodni pchnęły. Czyż nie jest to właściwie oskarżenie religijności, która w swych wybujałych formach okazuje się siłą niebezpieczną i destruktywną?

Czytelnik taki miałby rację, ale pod jednym przynajmniej warunkiem. Mianowicie, gdyby powieść pozwalała odgadnąć, że intencja autora idzie właśnie w tym kierunku. Tymczasem, jeśli w ogóle z książki da się odczytać intencję autora, to chyba intencję o wręcz przeciwnym znaku kierunkowym. Wprawdzie pierwszoplanowym bohaterem „Moiry“ jest Józef, ale autor dobrał mu towarzysza, którego funkcja polega w dużej mierze na skonstrastowaniu jego wartości — w osobie wspomnianego już Dawida, „małego pastora“. Pełni on rolę drugiego bieguna religijności, odznacza się w przeciwieństwie do pierwszego trzeźwością, równowagą, normalnością, porządnością i wzorowością moralną. I jak reaguje to uosobienie antytezy Józefa, jakim jest Dawid, na wiadomość o jego strasznej zbrodni? Dawid jest do głębi wstrząśnięty, ale bynajmniej nie tylko nie kwestionuje religijności, reprezentowanej przez Józefa, lecz nawet potwierdza jej wyższość w słowach, które odsłaniają, być może, osąd autora doskonale wyeliminowanego z dramatu przez absolutny

obiektywizm przedstawienia: „Ja cię nie osądzam. Nie osądzałem cię nigdy. Zawsze uważałem, że ty więcej byłeś wart niż ja. Jeszcze tak uważam. A ja cóż? Będę zawsze tylko małym pastorem. Ale ty...”

Czy więc już z tego jednego miejsca nie wynika dość jasno, że „Moiré” trudno uważać za powieść z tezą, z morałem, w tym wypadku z morałem skierowanym przeciwko religijności, ujawniającym groźne niebezpieczeństwa religijności młodych ludzi. Jest ona powieścią stojącą na gruncie afirmacji religijności, i to takiej, jaką uosabia nieszczęśliwy bohater.

Nieszczęśliwy. Bo Józef Day jest przede wszystkim człowiekiem nieszczęśliwym, to znaczy, że jest on wyposażony w siły, nad którymi zapanować nie może, a pozbawiony przymiotów, których nabycie również nie leży w jego mocy. Nie ulega wątpliwości, że jest typem posiadającym rysy patologiczne, i mimochodem aż nadto przytoczyliśmy już przykładów jego psychicznych anomalii. Tu wymienimy jeszcze takie jak: gwałtowność jego reakcji, nagłe przejście z największej ekscytacji w ciężki, głęboki sen, poczucie oderwania się woli od jaźni, uczynku od osobowości, co przypomina nie tylko dawniejszych bohaterów Greena, ale także bohaterów Dostojewskiego, cierpiących na epilepsję.

Wyłania się przeto przed nami nader interesujące zagadnienie stosunku determinizmu psychicznego do religijności. Inaczej mówiąc, idzie o to, czy osobnik dotknięty schorzeniami psychicznymi a w każdym razie przerostem pewnych elementów psychiki może rozwijać w sobie pełnię życia nadprzyrodzonego, a jeśli tak, to w jakiej mierze i w jakich warunkach.

Zagadnienie to nabrało takiej doniosłości i aktualności, że stało się tematem prelekcji ks. Louis Beirnaerta, TJ, wygłoszonej w czasie „Tygodnia Intelktualistów Katolickich” w Paryżu w roku 1950, a opublikowanej w czasopiśmie „Etudes” (lipiec-sierpień 1950) jak również w zbiorowym tomie „L’Humanisme et la Grâce”. Tytuł odczytu ks. Beirnaerta brzmiał: „Czy uświęcenie zależy od psychizmu?” (La Sanctification dépend-elle du Psychisme?). Prelegent ilustrował wywody swoje analizą postaci księdza-alkoholika z powieści Grahama Greene’a pt. „Władza i chwała” (The Power and the Glory), co oczywiście uczyniło je bardziej jeszcze interesującymi,

a nawiasem trzeba dodać, że zasadniczym tematem obrad wspomnianego Tygodnia był w ogóle problem: „Natura ludzka i Łaska“.

Wkład ks. Beirnaerta do tego tematu polegał na poruszeniu niepokojącego pytania i na próbie dania na nie odpowiedzi: Czy podłoże naturalne odgrywa rozstrzygającą rolę w zakresie zbawienia i uświęcenia? To jednak sprzeciwiałoby się miłości i sprawiedliwości Bożej. Wyłania się tu problem nieprzemijającej aktualności dla każdego, kto sam się czuje nędznym i grzesznym wobec Boga, a któryż by chrześcijanin tak się nie czuł?

Czy nasz stosunek do Boga istotnie zależy od psychicznych predyspozycji istniejących w nas, lecz od nas niezależnych? Ks. Beirnaert odrzuca to stanowczo. Zestawia on je z owym „losem“, który „kieruje nami nie wywierając jednak na nas gwałtu“.

Istnieją ludzie, których psychika jest tak nieszczęśliwie skonstruowana, że trudno im jest być w zgodzie z prawem moralnym: nigdy nie będą mogli być cnotliwymi, wloką się z jednej słabości w drugą aż do kresu swego życia. Istnieją też oschli i nieuleczalni racjoniści, którzy nigdy nie mogą pokochać sakramentu ani tajemnicy. Są wreszcie psychiki infantylnie, w taki czy owaki sposób nie-normalne, które nigdy nie dojdą do samodzielnej umiejętności różnicowania wartości i do trwalszego wysiłku woli. Czyż ci wszyscy — a jest ich tak wielu — naprawdę mają ponieść szkodę, jeśli idzie o uświęcenie i zbawienie?

Dawni hagiografowie lubili w naiwny sposób przedstawiać szczęśliwą naturę swoich bohaterów. Ale czy istotnie godzi się uzależniać uświęcenie od przypadkowo szczęśliwych skłonności i od nienaruszonego rozwoju psychicznego?

Tutaj ma się do czynienia z pomieszaniem uświęcenia z urzeczywistnianiem moralnym doskonałości. Uświęcenie jest aktem Bożym, na który człowiek odpowiada swoją zgodą. Jest ono zdarzeniem, dokonującym się między dwiema wolnościami, z których jedna jest święta a druga grzeszna. Zakłada, iż człowiek wczuwa się w rzeczywistość tajemnicy świętości, wobec której doznaje on uczucia własnej grzeszności, tajemnicy miłości, która ratuje go darmo, jeśli tylko wyrazi on wolę zerwania z grzechem i przyjęcia łaski. Wówczas przenika go świętość Boga, wkracza ona doń w owym centralnym punkcie jego osoby, w owym „subtelny m wierzchołku duszy“, o któ-

rym mówią mistycy. Tajemniczy ten proces nie przeobraża wprawdzie natychmiast habitusu duchowego, jednak sprawia, że człowiek przechodzi z kręgu śmierci w krąg życia.

Wobec tego czysto duchowego procesu pierwiastki psychiczne nie odgrywają żadnej roli. Sobie samemu odunirzeć i Bogu się poddać trudno jest zarówno człowiekowi psychicznie bogato wyposażonemu jak i temu, który jest z natury przewrotny lub nienormalny. W obliczu nakazu odumarcia grzechowi, zwracającego się do samego „serca naszego serca“, wszyscy ludzie znajdują się w jednakim położeniu. Można by nawet sądzić, że człowiek biedny pod względem psychicznym znajduje się w lepszym położeniu, ponieważ nie jest wystawiony przynajmniej na pokusę chełpienia się ze swej doskonałości. Lecz należy znowu wystrzegać się przypisywania takiemu człowiekowi z powodu jego przyrodzonego ubóstwa jakiegoś specjalnego przywileju, gdyż każdy człowiek, jakkolwiek byłby on ubogi w psychiczne wartości, jakkolwiekby zdawał się być wobec samego siebie i wobec innych nieszczęśliwym, — zawsze będzie wszystkiego próbował, zanim uzna swą istotną nędzę, uzna owym uznaniem, które całkowicie wolne jest od upodobania się w sobie i od dumi.

Lecz czyż przynajmniej świętość w znaczeniu pospolitym tego słowa nie wymaga pewnych warunków, które nie wszystkim mogą być dane? Czyż nie narażamy się na niebezpieczeństwo wytwarzania rozdziału między elementem psychicznym (przyrodzonym) a duchowym (nadprzyrodzonym), gdy świętość czynimy tak całkowicie niezależną od danych psychicznych? Taki dualizm nie odpowiadałby rzeczywistości stanowi człowieka: dusza nadprzyrodzona jest najściślej związana w nas z psychiką przyrodzoną.

Są w rzeczy samej pewne psychiczne sytuacje, które tworzą warunek umożliwiający interwencję Bożą w dzieje duszy. Istnieje również pewien próg (obłądu lub kretynizmu), poza który problem religijny w ogóle nie dociera do jaźni podmiotu (o ile możemy coś powiedzieć o tym na podstawie naszych doświadczeń!).

Są również pewne wydarzenia naszego życia psychicznego, wewnątrz których najłatwiej następuje przeżycie duchowe o charakterze nadprzyrodzonym. W przeżyciu miłości, przyjaznego oddania się jak również w stanach lęku lub zawodu mogą stać się otworem przed Łaską, ale mogą też jej wzbraniać dostępu do siebie. Również

depresja cyklotomika i wspaniałomyślne gesty człowieka o silnym temperamencie mogą wytworzyć grunt podatny do przyjęcia daru Boga. Dlatego nie należy nigdy z istnienia motywu neurotycznego wysnuwać wniosku, iż nie istnieje motyw religijny. Autentyczne przyjęcie Łaski może się wiązać z podłożem neurotycznym.

Jednak ścisły związek nadprzyrodzonego pierwiastka duchowego z psychicznym pierwiastkiem przyrodzonym posiada dalsze znaczenie: w najdelikatniejszym punkcie duszy zawiazane Życie dąży do ogarnięcia całej osobowości. Właśnie w tym rozszerzeniu się działania Ducha Świętego podłoże psychiczne i normalność grają rozstrzygającą rolę. Tutaj więc posiadają znaczenie takie rzeczy, jak „lekkość“ i „ciężkość“, czystość, umiar, łagodność i siła, podobnie jak zdolność do poznania wartości moralnych i do wytrwałego ich urzeczywistniania, zdolność, która u neurotyków bywa w poważnym stopniu zablokowana. Musimy przyznać, że istnieją pewne psychiczne dyspozycje, które warunkują dojrzewanie owoców Ducha Świętego, tak iż stają się one tym, co się nazywa cnotami chrześcijańskimi, i wreszcie konkretną praktyką miłości chrześcijańskiej. Jeśli brak tych właściwości, wówczas dochodzi w najgorszym wypadku do ustawicznej walki wewnętrznej, którą również ustawicznie się przegrywa. Jednak brak jest wtedy nie uświęcenia we właściwym znaczeniu, lecz jego wżłobienia się w duszę, jego objawienia się w swobodnie rozwiniętych cnotach (gdyż ten trwały wysiłek — jedyny, do którego niektórzy są zdolni — jest już przecież cnotą w zarodku). Nawet w życiu najnędzniejszym objawi się tchnienie cnót Boskich w nieoczekiwanej naglej subtelności, w nagłym wybuchu miłości. Celnicy i grzesznicy wyprzedzą nas jutro w Królestwie Bożym, ale już tutaj objawiają nam oni niekiedy coś z tej niewypowiedzianej tajemnicy miłości Chrystusa: Ksiądz — pijaczyna we „Władzy i chwale“ umiera jako męczennik. Wśród neurotyków znamy takich, z których — po prostu dzięki samej wierności, z jaką trzymają się w swej nocy duchowej — Boskiej dłoni, której nawet nie czują — już tutaj emanuje blask, jak np. św. Wincentego à Paulo.

Są święci o szczęśliwej naturze i są święci o naturze nieszczęśliwej. Święci nawiedzeni przez demonów i święci, których dusze obcuja z aniołami. Lecz jedni i drudzy posiadają to samo zasadnicze przeżycie: mówią o Bogu i o sobie tymi samymi słowy. Należą

do tego samego świata, którego jedyny smutek polega na tym, że się odczuwa całą swą niegodność wobec Boga, a jedyna radość na tym, że się jest przecież kochanym i że się próbuje Jezusowi na miłość odpowiedzieć miłością. Odmienni są oni tylko w naszych oczach, w oczach Boga są jednakowi.

Nie znaczy to jednak, by nie należało nieść ulgi w cierpieniach tym, którzy są psychicznie chorzy lub niezupełnie normalni, i to nie tylko ze względów czysto ludzkich, lecz także dla dobra samej wiary. Albowiem zbawienie jest nie tylko zdarzeniem kresu wszelkich dni: powinno ono już teraz odnowić całego człowieka na obraz i podobieństwo Boże. Aby owoce Ducha Świętego mogły dojrzewać, musi być grunt zdrowy.

Z powyżej przytoczonych wywodów ks. Beirnaerta wynika, że bohater „Moiry“, Józef Day nie jest człowiekiem, którego anomalie psychiczne kompromitowałyby religijność lub wręcz ją oskarżały, lecz człowiekiem, którego dusza jest siedliskiem wielkich i silnych, pełnowartościowych przeżyć religijnych mimo jego anomalii psychicznych. Należy on do rodziny bohaterów, wypełniających świat ksiązek powieściopisarzy katolickich: Bernanosa, Greene'a, Mauriaca. Sukces pisarski Greena polega na tym, że udało mu się ukazać wielkość swego bohatera pomimo jego śmieszności i obciążeń psychicznych, że udało mu się ukazać w sposób przejmujący prawdę, iż „dla Boga i szatana nawet człowiek nienormalny psychicznie nie przestaje być człowiekiem, to znaczy z d o b y c z ą“, że „dla nich zbrodniarz może być niedoszłym świętym, nieraz m i m o t o świętym“ (André Blanchet).

A choć jest różnica między księdzem alkoholikiem z powieści Greene'a, kończącym swe życie męczeństwem, a Józefem Day, który kończy swe dzieje (przynajmniej w książce) straszliwą zbrodnią, to jednak nie możemy powiedzieć, by z a s a d n i c z y dramat, o jaki tu chodzi, mianowicie dramat zbawienia zakończył się dla bohatera zdecydowanie katastrofą. Fatalizm psychizmu zostaje w „Moirze“ przełamany. I to właśnie wnosi nowe akcenty do twórczości Greena, której dotychczasowy świat był zewsząd zakreślony posępnym i nieprzebytym murem determinizmu, murem przeznaczenia. Świadczą o tym nie tylko ostatnie sceny książki, ale również symbolika jej tytułu a zarazem imienia ofiary grzechu i zbrodni Józefa: Moira —

wyjaśnia sam autor — jest wprowadzie nazwą dawaną przez Greków przeznaczeniu, ale w jego książce stanowi ona celtycką formę imienia *Marii*. Znaczyłoby to może, że przeznaczenie nie jest wszystkim: że poza nim jest jeszcze tajemnicza i potężna sfera Łaski.

Obraz natury ludzkiej w współczesnej literaturze zachodniej

A przecież na tym zagadnieniu (stosunku przerostów i mankamentów psychicznych do życia nadprzyrodzonego) nie wyczerpuje się problematyka „*Moiry*“. Zagadnienie to posiada również postać większą, obszerniejszą. Wiąże się ono z uderzającą predylekcją całej literatury zachodniej do przedstawiania natury ludzkiej w jej nagości, skażeniu, brzydocie, ohydzie lub zatomizowaniu i zdruzgotaniu.

Dla uzyskania oświecenia dla tego problemu sięgniemy znowu do dorobku francuskiego „Tygodnika Intelktualistów Katolickich“ z roku 1950, mianowicie tym razem do rozważań krytyka francuskiego, *Pierre Jouguelet*, który w znakomitym odczycie zatytułowanym „Czasy pogardy — czasy bożyszcz“ scharakteryzował obraz natury ludzkiej ukazany przez dzisiejszą literaturę.

Jouguelet zaczął wywody swoje od ukazania chrześcijańskiego obrazu człowieka.

Otóż człowiek posiada naturę, cz. zasadę rozwoju, która wyznacza drogę każdej pojedynczej jednostce. Każdy znajduje tę drogę przed sobą i nawet tam gdzie jest tak wspaniała, pozostaje ograniczona i tylko temu człowiekowi a nie innemu z góry wyznaczona. A jednocześnie wraz z tym kierunkiem każdy otrzymuje siłę popędową, zespół instynktów, którymi on kierować może, których jednak nigdy nie uda mu się zmienić. Jednakże człowiek nie jest tylko naturą, posiada bowiem władzę przyjęcia jej lub odrzucenia, która nazywa się wolnością. Chrześcijański obraz człowieka zawsze zachowywał owe dwa komponenty istoty ludzkiej i ich nierozłączność podkreślał. Naturę i wolność określa wzajemnie jednoś rzeczywistej istoty: natura ludzka jest tak stworzona, że bez wolności istnieć nie może; również wolności można zażywać tylko na gruncie natury. Może ona zamienić pożądanie na wolę, nie posiada jednak zdolności do stworzenia innego pożądanego. Wolność nie jest twórcza.

Jeszcze ważniejszą rzeczą aniżeli zachowywanie w obrazie ludzkim przestrzeni dla wolności jest zachowywanie w dziedzinie myśli chrześcijańskiej przestrzeni dla przypływu Łaski. Człowiek jest tak stworzony, że wychodzi poza siebie. Jego niezadowolenie z siebie samego da się ująć w trzech negacjach: 1. człowiek pragnie tego, czego nie może osiągnąć; 2. gdyby mógł osiągnąć to, czego pragnie, i tak by go to nie zadowoliło; 3. nawet przyjąwszy wypadek, że posiadałby, czego pragnął, i to by go zadowalało, a następnie zostałby tego wszystkiego pozbawiony, przecież byłby się wtedy przekonał, że nie było to znów wcale takie ważne. W tych negatywnych stannach czuje on, że istnieje jeszcze coś innego, co jest najważniejsze.

Jasne jest, że wzajemny stosunek tych trzech składników w człowieku: natury, wolności i Łaski, wciąż można inaczej ujmować zależnie od idei, jaką się posiada. Zwłaszcza punkt przecięcia sfery Łaski ze sferą natury bywa stale na nowo ujmowany. Jest to jeden z wielkich tematów wszelkiego przedstawiania człowieka. Ogólnie rzecz biorąc, idzie o to, by zachować „otwartość“ człowieka dla Łaski wobec samowładności natury i wolności.

Jeśli jednak jest prawdą, że czasy nasze znamionuje pojawienie się nowych biologicznych i socjologicznych technik, to trzeba powiedzieć, że równowaga jest dzisiaj może zagrożona nie tyle w zakresie Łaski, ile na płaszczyźnie natury. A świadczy o tym literatura zachodnia.

Te utwory literackie naszych czasów w dużej mierze chcą być przede wszystkim dokumentem. Uderza więc, w jak wysokim stopniu zajmują się one przedstawianiem zniszczenia natury, dokonanego przez technikę. Wszyscy znamy jej uprzywilejowane tematy: salę sądową, obóz wojskowy, kolumnę karną, miasto obleżone przez zarazę, przedmieście wielkiego miasta, obóz koncentracyjny. Mamy tu naturę ludzką w zupełnym rozkładzie. Pozostała z niej nie owa wspaniała ruina — jak w dawnych czasach — której złamany łuk świadczył jeszcze przecież o wspaniałości sklepienia, lecz bezkształtny stos gruzów, z którego nic odczytać się nie da.

Można by sądzić, że temat tego rozkładu natury ludzkiej wystąpi ostro jedynie w tych krajach zachodnich, które zetknęły się bezpośrednio ze złem hitlerowskim. Ale rzecz osobliwa, występuje on w tym samym stopniu w literaturze amerykańskiej. W literaturze

amerykańskiej wprawdzie rozkład ów nie przejawia się tematycznie, lecz jest tym bardziej niepokojący, albowiem wydaje się, że to poniżenie człowieka wpływa tam jakby z pewnego nieosobistego, przymusowego procesu. Piewcami grozy są np. Faulkner, Steinbeck i Dos Passos¹⁾. W dziełach ich mechanizm nie posiadający oblicza rozgniatą na miazgę zwyczajnych ludzi. Człowiek stał się atomem w jakiejś całości. Kieruje nim prawo, które w nim się nie mieści. Tak już jest. Dlaczego? Nie wiadomo i nawet nie warto próbować to rozumieć.

Chrześcijański obraz człowieka przejść musi przez próbę ogniową. Może z niej wyjść wyzwolony ze zwodniczej pogody i pseudoklasycznego pięknego ładu, może się odnowić a przecież pozostać tym samym. Może jest to właśnie teraźniejszym zadaniem chrześcijanina kochać naturę w jej nagości, używać wolności, nawet gdy jest ona zhańbiona, zwracać się do Łaski, której niezbędności i całkowitej „niezasłużoności“ nic już przesłonić nie zdoła. Skoro nędza stała się tak wielka, iż nic jej nie czyni znośną, skoro nie do pomyślenia jest, by człowiek wyniósł jakąkolwiek korzyść samoistnie ze swych cierpień — wówczas Nadprzyrodzoność odzyskuje swą prawdziwą wielkość.

Francuski pisarz, Jean Cayrol proponował, aby literaturę, która przedstawia świat, co przeszedł przez obozy koncentracyjne, nazwać „łazarską“: przedstawia ona świat, który powstał z grobu. Łazarz nie może się już interesować zwyczajną prostą naturą: ona mu już nic więcej nie mówi. Dzisiejszy pisarz patrzy zafascynowany na człowieka, który był zamordowany a przecież żyje nadal.

Jeśli więc musimy stwierdzić ogólną utratę zmysłu dla prostej natury, to narzuca się pytanie, na jakie wartości powołuje się przed-

¹⁾ Do pisarzy wymienionych przez Jougueleta dodajmy Ernesta Hemingwaya. W twórczości jego dominują tematy śmierci i samotności. Krytycy mówią w odniesieniu do niego o „obsesji śmierci“. Zaznacza się, że postacie Hemingwaya „reagują na podniety, ale nie posiadają żadnego życia wewnętrznego“ (Donald Adams). Dzieła te zdają się sugerować, że wszystko jest bezsensowne, że człowiek w obliczu odwiecznych praw natury jest bezsilny. Tę samą bezsilność człowieka podkreśla John Steinbeck, przy czym precyzuje on: wobec instynktu. Im prostsze, im prymitywniejsze, pierwotniejsze są impulsy człowieka, tym bliższy jest on spełnienia uczuć, tym pełniejsze jest jego życie.

stawianie wynaturzonego człowieka. Jedną z tych wartości jest przede wszystkim prawda. Ale za prawdę nie uważa się już zwyczajnej szczerości, jak w literaturze naturalistów minionego stulecia, lecz jasność widzenia, pasję docierania do samego dna rzeczy. Ta ostrość i jasność widzenia dokonuje bardzo często dzieła rozkładu. Odkrywa ona, że człowiek tylko sobie wyobraża, że posiada dane uczucia. Skoro jednak pozbawiony jest określonego kodeksu uczucia, przeto w ogóle nic on nie czuje. Natura rozpada się, gdy odbierze się jej podporę tradycji. Wszystko wówczas staje się bezkierunkowe i bezznaczeniowe. Okazuje się, że natura jest niczym bez woli, i tu mieści się jeden z zasadniczych punktów, w którym ze zniszczenia natury wypływa ubóstwienie wolności, stanowiące jądro literatury egzystencjalistycznej. Wolność w niej nie jest już zdolnością do udoskonalenia natury: jej zadanie polega na przezwyciężeniu nicości, jaką jest człowiek. Wola mocy chce tworzyć przekreśliwszy wprzód wszystko, co było przedtem.

Lecz nie tylko wolność korzysta z tego pogardzenia naturą. Ono może sprzyjać także pewnym doświadczeniom transcendentnym. Gdy natura jest wyczerpana, staje się przenikalna a zmysły dostrzegają inny wymiar rzeczywistości. Edyp (w dziele Anouilha) woła, gdy został oślepiiony: „O nocy, o moje światło!“. Gdy utracił wzrok, odkrywa inne światło. O jego istnieniu przedtem nie wiedział. Nasza literatura za to, powiada Jouguelet, bardzo często z góry już wie o tym, bo chce oglądać inne widowisko. Jej prawem jest poniżyć naturę, aby iść dalej, na kawałki ją podzielić, aby ją otworzyć — można powiedzieć nie wprost: dla Łaski, w każdym razie dla pewnego rodzaju transcendencji.

Natura ludzka u pisarzy chrześcijańskich

Z tej metody korzystają niektórzy pisarze chrześcijańscy. Z pewnością, nie chcą oni zaprzeczać istnieniu natury lub jej systematycznie poniżać. Pragną jednak ukazać jej zepsucie. Ostry wzrok moralisty zdziera z niej szaty i wówczas ujawnia się jej nędza — po to jednak tylko, by tym bardziej świetliste stało się wtargnięcie Łaski, odrodzenie.

Uprawiają ten zabieg francuscy pisarze starszej generacji: *Mauriac* i *Jouhandeau*. Wśród młodszych należy wymienić przede

wszystkim: Simone Weil, żydówkę, która posiadała wstrząsające przeżycia mistyczne, oraz Grahama Greene'a. Powiedział on: „Kochać jak Bóg, gdy się już poznało najgorsze“. Stanowi to bez wątpienia najgłębszą podstawę jego pesymistycznego obrazu natury ludzkiej. Im niżej stoi stworzenie, tym bardziej bezinteresowną jest miłość, której doznaje ono od Boga. Pewien pisarz z francuskiego siedemnastego wieku ukuł zdanie: „Im większe jest stworzenie, tym większe jest pożądanie Boga“. Jeśli się przeciwstawi temu postawę Greene'a, wówczas zmierzy się całą zmianę, jaka nastąpiła w ujęciu człowieka i łaski Bożej w biegu stuleci.

Jak należy ocenić tę metodę dzisiejszego pisarza? Jouguelet podkreśla, że w tym chrześcijańskim pesymizmie na pewno mieści się cała teologia Krzyża i że nawet gdy należy koniecznie uzupełnić ją teologią chwały, posiada ona niewątpliwie znaczenie w naszym świecie, a zwłaszcza w Królestwie Bożym, ponieważ tutaj wprawdzie możemy się już dotknąć chwały, ale też tylko dotknąć. Z drugiej jednak strony uważa krytyk, że dzieła takie jak dzieła Greene'a osiągają już ostateczną granicę i że nie należy obciążać tylko jednej szali wagi. Skąd mogę wiedzieć, czy przyjmuję Boga a nie jakieś bożyszcze, jeśli nie doświadczam Jego uzdrawiającego wpływu, gdyż serce moje jest tak doszczętnie zepsute? Wydaje się, że natura, wolność i Łaska pozostają w ścisłym wzajemnym związku i żadne z nich nie może wynieść korzyści ze zniszczenia drugiego. Gdy natura się rozpada, wówczas wolność staje się czymś daremnym, a religia — magią.

Czy od tak zarysowanego tła duchowego współczesnej literatury zachodniej odbija „Moirą“ Greena? W pewnej mierze tak, w pewnej jednak nie. Nie daje ona obrazu rozpadu natury ludzkiej wskutek destruktywnych wpływów nowoczesnej cywilizacji technicznej jak powieści Grahama Greene'a. Akcja jej nie odbywa się ani w „czasach pogardy“, ani w środowisku, w którym by występowała cała niszczycielska siła kapitalistycznej cywilizacji wielkomiejskiej. Rzecz dzieje się po pierwszej wojnie światowej w niewielkim prowincjonalnym mieście amerykańskim. Bohater jej pochodzi ze środowiska stojącego jeszcze niżej cywilizacyjnie. Powieść nie wolna jest od poezji: naturze ani kobiecie autor nie odmawia wielkiego czaru, który trudno znaleźć w książkach Greene'a. Nie ma też śla-

dów jego obsesji brzydoty. Nie czuje się zatrutego oddechu „świata koncentracyjnego“. Daremnie by szukać u Greene’a miejsc takich jak to: ... „Nie można było sobie wymarzyć piękniejszego i tak złocistego dnia i nagle serce Józefa uniosło się zapalem dla życia i dla wszystkich istot, porwała je nieokreślona miłość do wszystkiego, co istniało dokoła niego, do drzew, do tej pięknej czerwonej ziemi...“.

Inaczej też w „Moirze“ przedstawia się natura ludzka. Nie jest ani szczególnie zdeprawowana, ani rozbita na miazgę. Nie stanowi ona ofiary jakiejś niszczycielskiej siły — to ona sama jest niszczycielską, eksplozywną siłą. Wszystkie inne władze człowieka są słabe, ale ona jest potężna. Lecz mimo to „Moir“ mieści się na linii „Sedna sprawy“ i „Władzy i chwały“: występuje w niej bardzo silnie żywioł nadprzyrodzoności. Diaboliczna potęga natury jest negatywem Łaski, podkreśla ona tylko wszechwładność rzeczywistości nadprzyrodzonej. Zniszczyć może człowieka, przywieść do zbrodni, lecz nie zdoła zabić w nim wiary. Inne są punkty wyjściowe, inny jest obraz natury u jednego i u drugiego pisarza, inne są ich klimaty duchowe, lecz punkt dojścia jest ten sam. Ich bohaterzy nie doznają żadnych zasadniczych przełomów religijnych. Ich wiara jest od samego początku silnie zakotwiczona, wierzą oni niezachwianie w wyższą rzeczywistość. Co ich jedynie dręczy, to poczucie własnej grzeszności i niepewność co do ich losów nadprzyrodzonych. Nie tracą oni też nigdy świadomości, iż działają na oczach Boga: „Znajdujemy się ciągle w obliczu Boga“ — wyznaje Józef Day.

Lecz co jeszcze łączy świat książek Grahama Greene’a ze światem „Moiry“, to owo osobliwe zjawisko, że mimo iż bohaterzy ich mają ciągle poczucie obecności Bożej, jednak w najbardziej krytycznych momentach swego życia czują się absolutnie samotni, jakby byli opuszczeni przez Boga, pozostawieni własnemu losowi. W absolutnej samotności dokonuje się czyn majora Scobiego: Bóg nie interweniuje, aby w ten czy inny sposób odtrącić od jego ust szklankę z trucizną. I również ów dzień, który nastaje dla Józefa po nocy jego zbrodni, wydaje się jakby był zupełnie wypompowany z obecności nadprzyrodzonej. I rzecz charakterystyczna: nad rozdziałem, który przedstawia nam stan duchowy Józefa po popełnionej zbrodni, pojawia się motto (jedyne jakie znajdujemy w tekście książki!), które stanowi następujące zdanie Roberta Browninga: „*A jednak Bóg nie po-*

wiedział słowa". Bohaterzy zmierzają ku swemu ostatecznemu przeznaczeniu w samotności i ciemności. Wydaje się to typowe dla sposobu, w jakim ludzie naszej epoki zdają się odczuwać los chrześcijanina.

Kryzys literatury — kryzys cywilizacji zachodniej

Lecz tu wkroczyliśmy na pomost, łączący literaturę katolicką doby dzisiejszej z literaturą egzystencjalistyczną. Zestawienie tych dwu literatur narzuca się nieodparcie.

Wpierw jednak nieco ogólnych, lecz zasadniczych uwag.

Kryzys literatury zachodniej a zwłaszcza powieści jest faktem powszechnie podkreślanym. Wiąże się on ściśle z kryzysem cywilizacji współczesnej, z sytuacją duchową świata zachodniego. Wpłynęło nań przede wszystkim rozbicie się jedności wizji świata na tysiące odprysków, nie powiązanych z sobą niczym. Zbudowany wysiłkiem poprzednich wieków obraz świata zamienił się z powrotem w to, z czego się wyłonił: w chaos i mgławicę. Rzeczywistość stała się na nowo ciemna i niemożliwa do odszyfrowania. Utracono wiarę w wartość istnienia. Zdewaluowały się też uznawane dotąd wartości moralne. Nie wiadomo, co z czym wiązać, co z czym zestawiać, co jest istotne a co błahe. Zwątpiono całkowicie o zdolnościach poznawczych człowieka, oddając go tym samym na pastwę subiektywizmu wrażeń. W następstwie organiczna wspólnota ludzka zamieniła się na ogromny zespół pojedynczych światów oddzielonych od siebie przepaściami. A światy te mają to tylko wspólnego ze sobą, że centrum każdego z nich stanowi absurd i nicłość. Przeżycia ludzkie stały się niekomunikatywne, co powiększyło tylko ich tragizm i bezsens.

Ten stan rzeczy pociągnął za sobą poważne konsekwencje w literaturze. Wnikliwie przedstawił to krytyk angielski J. M. C a m e r o n (w "Dublin Review", nr. 3 1947):

Każda poezja, każda literatura zakłada istnienie tego, co Martin B u b e r nazywa „stosunkiem ja — ty“, stosunkiem między dwiema osobami, których rzeczywistość nie może być zakwestionowana. Skoro jednak w poznawaniu swym nie możemy wyjść poza wrażenia subiektywne, wówczas nasza myśl i nasze uczucie nie mogą posiadać żadnego zasadniczego związku z czymś, co leży poza nimi. Nasze estetyczne przeżycie jak również wszelkie inne ogranicza się

wtedy do naszego wyizolowanego, indywidualnego przeżycia. Lecz wtedy także ponadindywidualnego znaczenia nie mogą posiadać przedmiot i treść poezji. Zdanie, iż poeta mówi t y l k o o swych własnych uczuciach, wiedzie nieuchronnie do uznania uczuć tych za nieważne, ponieważ są właśnie tylko jego osobistymi uczuciami. Teoria, która niszczy całość i związek rzeczywistości, tym samym niszczy całość doświadczenia i przeżycia lub też czyni indywidualne przeżycie co najmniej przypadkowym. Poezja jednak zakłada obiektywną rzeczywistość, w ramach której poeta i czytelnik, mówca i słuchacz się znajdują — ponieważ zasadniczo oznacza ona udzielenie się — a ta obiektywna rzeczywistość nie jest prostą, lecz posiada rozmaite warstwy i płaszczyzny od prostego zmysłowego przeżycia przez rozumne myślenie oraz przeżycie moralne i estetyczne aż do mistycznego oglądu. Aby jednak doświadczenie nasze uzyskało wagę i znaczenie, musi ono być doświadczeniem czegoś, co doświadczenie t r a n s c e n d u j e. Warstwom przeżycia muszą odpowiadać warstwy transcendentnej rzeczywistości. Bez pewności, że każdej wartości odpowiada także istnienie i że nie może jej ustalić indywidualna samowola, traci słowo swą siłę. Przeto każdy subiektywizm, który odrzuca metafizykę, jest na dłuższy czas nie do pogodzenia z rozwojem wielkiej poezji.

Cameron kładzie silny nacisk na słowach „na dłuższy czas“, ponieważ jest zupełnie możliwe, iż początek rozpadu kultury wraz ze wszystkimi napięciami, które wywołuje częściowe przerwanie komunikacji pomiędzy ludźmi, działa zrazu nawet jako silna podnieta na twórczość literacką. Dowodzi tego nawet przykład powieści, która, zdaniem krytyka, jest tą formą literacką, jaka odpowiada rozkładowi pewnej jednolitej kultury, a nawet z niego wypływa. Nowoczesna powieść ukazuje się po raz pierwszy w świecie porenesansowym, w którym zaczyna się doznawać problematyczności życia, ponieważ tempo społecznych i duchowych zmian staje się szybsze a życie nie może być już więcej wyrażane artystycznie jako powrót do tego samego, jako przedstawienie cyklicznego zdarzenia. Najpierw przedstawia powieściopisarz stosunek swoich charakterów do przekazywanych wartości moralnych. Wobec tych wartości posiadają one wolność wyboru, stanowią podstawę dla ich rozwoju. Sytuacja ta poczyna się zmieniać w 19 wieku. *Stendhal*, *Tołstoj*, *Flaubert* wiążą jeszcze częściowo swoje charaktery z tradycyjnymi

wartościami moralnymi. Ale już zaczynają one cierpieć na rodzaj kosmicznej samotności, już wytwarzają się coraz bardziej nieprzewyciężone szranki w komunikacji pomiędzy duszami. Problematyka życia opanowuje już nie tylko myśl, ale także uczucie. Najbliższy krok w rozwoju powieści stanowi dzieło Prousta. Świat Prousta jest światem całkowicie solipsystycznym, w którym charakterzy pozbawione są całkowicie substancjalności. Stały się jedynie przemianami świadomości. Podstawą powieści stała się niemożliwość wszelkiego porozumienia się duszy z duszą. A przecież ten solipsyzm Prousta nie jest jeszcze całkowity. Są pewne charakterzy w jego dziele, które niby rodzaj „chóru“ przedstawiają przeszłość z jej stałymi moralnymi i duchowymi wartościami, na których tle uwypukla się przewrotność innych jego charakterów.

Cameronowi wydaje się, że świat zachodni zbliża się dzisiaj do ostatniego stadium tego kulturalnego rozkładu i tego rozpadania się wspólnego świata, wewnątrz którego możliwa jest jeszcze komunikatywność ludzi, przy czym podniety rozpadowe tego stadium potrafią jeszcze wyłonić na powierzchnię literaturę o pewnej wielkości, jak dzieła Prousta, Eliota, Joyce'a i Lawrence'a. Nazywa on tę literaturę „dekadencką“, i to nie w znaczeniu deprecjonującym ani nie dla wyrażenia moralnej dezaprobaty, lecz w tym rozumieniu, że w niej wszelka możliwość dalszego rozwoju wyczerpała się i że doszła ona do punktu absolutnej bezzwiązkowości.

Powieść egzystencjalistyczna

Z rozważań Camerona można by wnosić, że powieść europejska znalazła się w impasie, że wraz z dziełami Prousta, Eliota, Joyce'a i Lawrence'a, a dodajmy: i Wirginii Woolf, stanęła na samym skraju przepaści. A przecież rozwój literatury nie zatrzymał się na tych wielkich nazwiskach, lecz poszedł jeszcze dalej, właśnie w tę przepaść. I tak powstała „literatura przepaści“, „literatura dna“, którymi to mianami określić możemy literaturę egzystencjalistyczną. Można by się sprzeczać wprawdzie, czy to jest dalsza faza rozwojowa, czy też tylko bardziej sprecyzowana postać solipsyzmu i bezzwiązkowości świata Prousta. W każdym razie jest pewne, że, istotnie, linia powieści zachodniej, taka, jaką zarysował Cameron, wraz z powieścią egzystencjalistyczną osiągnęła ostateczny kres.

I znowu, jak na przyczyny kryzysowości dzieła Prousta złożyły się nie elementy czysto literackie, lecz filozoficzne, światopoglądowe, tak i o tym, że powieść egzystencjalistyczna jest powieścią kryzysową, rozkładową, rozstrzygającą w pierwszym rzędzie jej założenia filozoficzne.

Świat Prousta jest światem samotności i niekomunikatywności ludzkiej oraz niepoznawalności rzeczywistości, rozdzierającą smutnego agnostycyzmu. Tu zaś już mamy do czynienia wprost z statyczno - fragmentarycznym światem absurdu i grozy. Przenika go nie tyle rozpacz epistemologiczna, ile rozpacz moralna.

Samotność Prousta jest samotnością luksusowego pokoju hotelowego lub sanatorium. Samotność zaś Sartre'a i Camusa jest to już samotność cuchnącego lochu więziennego. Bardziej niż niepoznawalność świata dręczy ich niesprawiedliwość, mieszcząca się w jego budowie. Zdaniem ich los człowieka streszcza się w okrutnej alternatywie: być ofiarą albo też być katem. Lecz bohaterowie ich nie pragną żadnych uspokajających derywatywów, chcą przeżyć do dna, na trzeźwo los ludzki. Jediną wartość stanowi dla nich przemijająca chwila, która jest obca następnej chwili i która obcym czyni jednego człowieka wobec drugiego i przepaść między człowiekiem a światem wytwarza. To właśnie przeżycie zamkniętej chwili, za którą czai się groza śmierci, sprawia, że życie jest takim absurdem.

Rola powieści katolickiej

Z tego, co wyżej powiedziano, nie trzeba już wiele mówić, jak się zdaje, o roli i znaczeniu dzisiejszej powieści katolickiej.

Przedewszystkim przywraca ona wiarę, iż umysł człowieka zdolny jest do poznania tego, co znajduje się poza nim, i że w ramach rzeczywistości możliwe jest takie orientowanie się, które nadaje sądom wartości doniosły charakter transcendentny. Powieść ta uznaje na powrót kosmos jako zależny i jako stworzony przez najwyższą absolutną istotę, która jest praprzyczyną wszelkiego bytu skończonego i kontyngentnego. Restytuując więc myślowy korelat rzeczywistości pojętej jako jedność w wielości i wielość w jedności oraz właściwą pozycję człowieka wobec rzeczywistości powieść

katolicka doby dzisiejszej stwarza warunki, umożliwiające dalszy rozwój prawdziwie wielkiej poezji, wielkiej literatury.

To pierwsze zasadnicze stwierdzenie.

Dalsze stwierdzenia wiążą się już bezpośrednio z konkretną sytuacją duchową współczesnego świata zachodniego, jaka znalazła odbicie w powieści egzystencjalistycznej. Nie ulega wątpliwości, że jeśli powieść ta wyraża niektóre zasadnicze elementy dzisiejszych przeżyć ludzkich, to elementy te przejęła również powieść katolicka. Owo odarcie natury ludzkiej z wszelkich powabów, ukazanie całej jej brzydoty i nędzy, to wyzbycie się absolutnie wszelkich iluzji w odniesieniu do losu doczesnego człowieka, pozostawionego samemu sobie, wreszcie przeżycie pewnego determinizmu zewnętrznego czy biologicznego, wobec którego jednostka okazuje się bezsilna i bezbronna, — to wszystko znajdujemy również w dzisiejszej powieści katolickiej.

A przecież istnieją zasadnicze różnice między powieścią egzystencjalistyczną a powieścią katolicką. Sądzę, że przenikliwie ujął te różnice filozof francuski, prof. Jean G u i t t o n (w odczycie pt. „Moralność chrześcijańska a nowe aspekty losu ludzkiego“ — w zbiorowej książce „Foi en Jésus - Christ et Monde d'aujourd'hui“*), gdy mówił: „Zadawałem sobie pytanie, kiedy porównywałem bohatera „Zarazy“ Tarrou z księdzem z „Władzy i chwały“, „świętego“ świeckiego z wierzącym grzesznikiem — czego właściwie brakowało bohaterowi Camusa a co posiadał bohater Greene'a? Rzecz przedstawia się zupełnie jasno. W „Zarazie“ jest wszystko z wyjątkiem Tego, który przyjąwszy na siebie krzyż zbuntował się przeciwko egzystencji ludzkiej, który zbuntował się tak gwałtownie przeciwko cierpieniu, paradoksowi i absurdalności. Braknie mu Tego, który uczynił się „zarazą dla nas“. Lecz tu godzi się nam zamilknąć: jesteśmy poza obrębem moralności, a nawet poza obrębem miłości, w na wskroś tajemniczej dziedzinie wiary“.

Powieść katolicka przedstawia również świat rzeczywisty oświetlany bezlitosnym reflektorem, przy czym żaden z problemów nurtujących człowieka nie zostaje pominięty, gdyż Greene podobnie jak Camus uważałby to za oszustwo — tylko że to wszystko ustawione zostaje wobec wyższej rzeczywistości, która nadaje właściwy

*) Książka ta omówiona została w n-rze 1/2 1951 „Życia i Myśli“.

sens i przynosi właściwe rozwiązanie egzystencji ludzkiej i która jednocześnie odbudowuje ciągłość wydarzeń, co razem wzięwszy wprowadza do świata tym samym w o wiele silniejszym stopniu pierwiastek ludzki.

Powieść katolicka obecna a dawniejsza

Narzuca się jeszcze zestawienie powieści katolickiej doby obecnej z dawniejszą powieścią katolicką.

Ażeby wejść od razu w sedno rzeczy, powołajmy się — zgoła nie z sympatii do paradoksu! — na wspomnianą już tu wielokrotnie powieść „La Peste“ Camusa, gdyż pozwoli nam tu ukazać w sposób bardzo wyrazisty całą różnicę, jaka zaszła, jeśli idzie o duchową postawę, w powieściopisarstwie katolickim na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat.

W powieści Camusa występuje postać jezuity, ojca Peneloux. Gdy zaraza osiągnęła punkt szczytowy, wygłasza on drugie wielkie kazanie: „Bracia moi, chwila decyzji nadeszła. Idzie o to aby we wszystko uwierzyć albo też wszystkiemu zaprzeczyć. A któż z was odważyłby się zaprzeczyć?“ Wobec rozmiarów klęski, wobec niepojętego dopustu Bożego, wobec takich rzeczy, jak np. cierpienia małych dzieci, nie wystarczy zwyczajne poddanie się a nawet ciężka pokora, mówi o. Peneloux. Trzeba raczej przystać na tę hańbę, gdyż „w ten sposób chrześcijaninowi nic nie zostanie oszczędzone“. I w rzeczy samej w tym kierunku idą impulsy dzisiejszego chrześcijanina, taki jest nacisk epoki: przed niczym nie ustępować, z niczego nie wykręcać się, przed niczym oczu nie zamykać — „i wówczas, gdy zamknięte ma się wszelkie wyjście, iść aż do samego dna powziętego wyboru. Wybierze on wiarę we wszystko po to, aby nie zostać zmuszonym do zaprzeczenia wszystkiemu“. „Nie należy mówić: „To rozumiem, tamto jest jednak nie do przyjęcia“. Trzeba przeżyć całą oburządzającą prawdę, ponieważ pozostał nam jedynie wybór — Boga nienawidzić albo Go kochać“.

Jest to trudna miłość, jest to trudna nauka (w oczach ludzi nawet okrutna), ale jest za to zdecydowana wiara. Dzięki temu wszakże „prawda wyłoni się z pozornej niesprawiedliwości“.

Jaki wniosek można by wysnuć z tego niezwykle sugestywnego miejsca? Ten, że w dzisiejszym chrześcijaństwie przeżycie religijne

stało się czymś, co osiągnęło jakby swą absolutną czystość, a to w tym znaczeniu, że odarte ono zostało z wszystkich innych elementów i zarazem nabrało wyjątkowo dramatycznej powagi. U podstaw ideowych powieści katolickiej doby dzisiejszej leży właśnie świadomość tego faktu. Ona nie chce być niczym więcej jak dokumentem — podobnie jak powieść egzystencjalistyczna — z tym dodatkiem jedynie, że dokumentem istnienia rzeczywistości nadprzyrodzonej w człowieku i w czasie współczesnym. Obca jej się stała wszelka rywalizacja z kaznodziejstwem. Pisarz katolicki dzisiaj nie ma i nie chce mieć nic wspólnego z profesorem moralności. Nie ma on również żadnej ambicji „pełnić misję filaru Kościoła lub wyznawcy“ — jak się wyraża Robert J. North (w studium „Le catholicisme dans l'oeuvre de François Mauriac“ — Paris 1951). Powieści dawniejszych autorów katolickich, np. Bourgeta, były bardzo budujące, dzisiejszych są — raczej gorszące i niebezpieczne. Cóż z tego, jeśli w tamtych budujących książkach religia ukazana jest tylko jako konieczność społeczna? Pisarze tamci nie docierali w ogóle do istoty przeżycia religijnego, być może nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, na czym ono polega. Nie potrafili tym samym dotrzeć do centrum osobowości ludzkiej.

Wielkiego przełomu w optyce chrześcijańskiej (oczywiście, jeśli idzie o literaturę) dokonał Charles Péguy: odkrył wagę grzechu jako wehikułu Łaski i doskonałą odporność na Łaskę tzw. porządných ludzi, „honnêtes gens“, uważających się za właścicieli swych cnót. Nie można nie zacytować kilku kapitalnych zdań Péguy'ego w tym zakresie: „Łaska... odnosząc niespodziewane zwycięstwa w duszy największych grzeszników... pozostaje często bezskuteczna wobec ludzi najuczciwszych... Ich skóra moralna ciągle nie naruszona stanowi dla nich beznaganny pancerz. Nie ukazują oni Łasce wejścia, którym jest zasadniczo grzech. Nawet miłość Boża nie koi tego, kto nie ma rany... To dlatego, ponieważ oblicze Jezusa było brudne, Weronika otarła je chustą. Otóż ten, który... nie jest brudny, nie będzie też otarty“ („Note conjointe“).

Dzisiejsze powieściopisarstwo katolickie jest buntem „nie tylko przeciwko samej moralności, lecz przeciwko dyktaturze moralizmu, mającemu pretensję do wystarczenia za wszystko, bożyszczą zimnego i okrutnego, rywala chrystianizmu“ — pisze André Blanchet i zarazem stwierdza: „I za jednym zamachem świętość i grzech odzy-

skwały pełnię swego sensu biblijnego, odzyskały sens straszliwy i wspaniały, którego pozbawili je nasi moralisci i socjologowie“.

W ten sposób dziedzina przeżyć religijnych uległa niebywalemu pogłębieniu. Dobrze to wyraził Gabriel Marcel: Bourget daje rozwiązanie problemu (bo jest on łatwy i drugorzędny), natomiast powieściopisarz dzisiejszy uwrażliwia nas na tajemnicę, na misterium.

Dzięki analizom psychologiczno-moralnym dokonany przez współczesnych pisarzy katolickich wiemy, że człowiek uważający się za sługę Bożego w gruncie rzeczy może być samolubem i że odwrotnie, ktoś kto się uważa za wielkiego grzesznika, może być prawdziwym synem Bożym: „Czyż można wyobrazić sobie bardziej ryzykowną duchowo sytuację aniżeli sytuacja Józefa Daya? Owszem, sytuację Scobiego, samobójcy — pisze krytyk z „Etudes“ —. Nie można już iść dalej. Lecz w „Sednie sprawy“ jak i w „Moirze“ autor uczynił Boga tak obecnym, że żaden czytelnik nie odważy się potępić Józefa ani Scobiego... Tajemnica człowieka nie wyjaśnia się, ponieważ dotyka ona tajemnicy Boga... Ostatnie słowo należy do Boga...“

Dopiero dzisiejsza powieść katolicka weszła w najwłaściwszą dla religijności sferę, sferę Łaski. Można jej postawić zarzut, że w malowaniu życia doczesnego, doczesnej sytuacji człowieka współczesnego używa ze zbyt wielkim upodobaniem barw ciemnych. Ale jest to zarzut pozbawiony większej wagi wobec zasadniczego faktu, że lektura jej wiedzie nas niemal zawsze do źródła. Posłuchajmy jeszcze w tym względzie świetnych wywodów A. Blancheta:

„Wraz z powieściopisarzem (katolickim) z r. 1900 uważaliśmy, że wiemy, co to jest chrześcijanin: to był pan, który nie był ani złodziejem, ani cudzołożnikiem, który pościł i dawał jałmużnę i który nadto nie omieszkiał w niedzielę pójść na mszę. Mogliśmy go z łatwością wyróżnić w tłumie potępionych a na tamtych wskazać palcem na ulicy. Dzisiaj już nie ośmielilibyśmy się przywłaszczyć sobie władzy Ojca na Sądzie ostatecznym. Dzisiejszy pisarz katolicki, jak czynili to Homer, W ir g i l i u s z i D a n t e, prowadzi nas za rękę po drogach, które giną pod ziemią, skąd uderza na nas osobiwa świetlista ciemność. Zamykamy książkę wprawieni w osłupienie, jakbyśmy znaleźli się u wejścia do dziedziny świętej. Nie nauczyliśmy się chodzić zwyczajnym krokiem po drogach tego świata, lecz

za to unaoczniono nam obecność świata nieznanego i pozbawionego dróg. Oczekują nas tam z mieczem w dłoni, jak mówi K a f k a, legiony aniołów i demonów. Opowiadanie — teraz to spostrzegamy — jest tylko parabolą, w którym pod fikcją człowieka narażającego się na ryzyko utraty zbawienia wiecznego, w rzeczywistości mowa jest o nas samych, o naszej własnej walce duchowej. I wówczas nasza dumna pewność załamuje się: cóż znaczą nasze uczynki, a nawet nasze intencje? Nic nam innego nie pozostało jeno powierzyć się Bogu“.

Problem sposobu rozwiązywania powieściowych bohaterów dzisiejszych pisarzy katolickich jest tak ważny i tak wciąż szeroko dyskutowany, że warto go dodatkowo jeszcze oświetlić wypowiedzią Evelyną W a u g h a, złożoną w związku z „Sednem sprawy“. Cytuje on doskonałe oświadczenie Greene’a: „Postacie nie są wcale moimi tworam, lecz tworam Boga. Mają swoje własne przeznaczenie. Służą one nie tylko czytelnikowi do rozrywki, lecz są duszami, za których zbawienie umarł Chrystus“. A następnie sam zauważa: „Właśnie dlatego jest rzeczą całkowicie obojętną, czy Greene uważa swojego bohatera za świętego czy nie, podobnie jak obojętne jest, co o tym sądzi czytelnik. Scobie jest człowiekiem posiadającym niezależną duszę i tylko jeden Bóg wie, czy człowiek taki będzie uratowany, czy nie“. („The Commonweal“, 16. 7. 1948).

R e k a p i t u l a c j a

Kończąc wędrówkę po terenie integralnej problematyki współczesnej powieści katolickiej dobrze będzie sobie przypomnieć zasadnicze jej wyniki. Zdają się one zamykać w następujących stwierdzeniach.

Powieść katolicka:

1. daje świadectwo rzeczywistości nadprzyrodzonej poprzez wszelkie stadia, wszelkie załamania i okropności rzeczywistości doczesnej, poprzez okrutną prawdę, nie uszmkowaną niczym prawdę zarówno o naturze ludzkiej jak i o losie człowieka na ziemi, wziętym w jego nagim kształcie i pozbawionym wszelkich interpretacji ideologicznych;

2. ratuje rozbitą jedność duchowego obrazu świata i przywraca absolutną podstawę dla wartościowania i hierarchizowania uczyn-

ków, zdarzeń i zjawisk, przez co jednocześnie stwarza możliwości dla odrodzenia się powieści współczesnej;

3. wznosi człowieka od jego małych codzienności do wieczności, do piękna, do jedyne go prawdziwego dobra, do jedyne go centrum, w którym urzeczywistnia się jedność, do Boga.

Spełnia ona zatem jakby wezwanie mieszczące się w tych słowach Apostoła: „Bo niewidzialne jego rzeczy, nawet wiekuista moc jego i bóstwo od stworzenia świata dla umysłu widzialnymi się stały...” (Do Rzymian, 1, 20) Sukces współczesnej powieści katolickiej w dużym stopniu polega na tym, że widzialnymi ona czyni rzeczy Boga i wiekuistą moc jego dla umysłu nawet poprzez te wydarzenia, fakty, zjawiska i stany, które zdają się świadczyć albo o nieobecności Boga, albo o wszechwładzy Jego Przeciwnika, a które egzystencjaliści wyrażają w pojęciach: *g r o z a i a b s u r d*.

Wojciech Żukrowski

NOCE ARIADNY

P a n u S t a n i s ł a w o w i S t e m p o w s k i e m u

Kiedy rozbierała się w swoim pokoju na piętunku, czuła wyraźnie cieniutkie żyłki wiatru przeciskające się między belkami. Powietrze było zimne i rzeźwo pachniało śniegiem. Wiatr basowo przeciągał ponad domem, piec huczał, a za oknem czarny grzebień świerków galopował, strząsając raz po raz kurzawę śnieżną.

Do pieca trudno się było Ariadnie przytulić, bo wapnem bieleł sukienki, rozbierała się więc w zasięgu jego ciepłego tchnienia i poprzez cienkie strumyki wiatru, wzdrygając się jak obryzgana wodą, w dwóch skokach dopadła łóżka. Na chude, jeszcze dziecięce ramiona naciągnęła kołdrę, przywaloną — dla wagi — starą baranicą gospodarzy. Właściwie ten zwierzęcy zaduch skudłonej wełny, namokłej skóry nie był nawet przykry, powoli rozprostowała podkulkone nogi, rozgrzewała pieczarę wyziębłej pościeli. Dreszcze, raczej odrazy niż chłodu, mijały szybko, serce pod palcami tłukło się gwałtownie, uspokojona zaczynała nadśłuchiwać odgłosów nadchodzącej nocy.

Mała naftowa lampa — kopciuszek — pruszyła złotawym światłem. Odblask skręconego knota w zatłuszczonym szkłe mrugał tajemniczo. Na piecu, w szparze między kaflami, wystąpiło teraz czerwone — T. Ciemność gęstniała. W balkonowym oknie białło zarosłym kwiatami z mrozu, zielono zaczął się iskrzyć brzeżek księżyca.

Ariadna przymknęła oczy, ale sen nie nadchodził. Czuła na twarzy lekki powiew, gdy wiatr o ściany mocniej uderzył. Sucho, jakbyś posiał piaskiem, sypał się zmarznięty śnieg z krawędzi dachu.

Czasami na dole u Gardeckich odezwało się dziecko, mały Władysław zapłakał przez nos i ścichł. Ostrą, zgrzytliwą nutą przesunęło się kołucho na drucie przeciągniętym od stajni do szopy, brzęknął łańcuch, ale pies nie szczekał.

Ariadna widzi go, jak z podkurczoną łapą węszy, śnieżne igliwie kłuje czarny, wilgotny nos. Podbiega do domu, przez szparę ponad

progiem wciąga przyjazny zaduch sieni: wystygłe kartofle w łupach, kurze piórka, gliniana polepa zbryzgana wodą z drewnianych putni. Wzdycha, zaskomli i kulawym krokiem powraca do budy. Długo wierci się w słomie, wreszcie z pyskiem wetkniętym w zmierzwioną sierść, zlizawszy dotkliwie krople z tającego śniegu, które mu ściekały na nagi brzuch, zaczyna drzemać. Jeszcze czasem podniesie zmiękły koniec ucha, gdy wiatr w gałęziach zatrzeszczy, albo zsuwając się ze stodoły zakurzy kłębem, aż biały pył dymi do wnętrza budy. Wtedy Bukiet unosi gniewnie wargi i warknie z bezsilnej złości.

Ariadna nie wyobraża sobie, tylko — widzi, naprawdę widzi, po prostu lekko przenosi się z miejsca na miejsce. Jak w filmowym zbliżeniu skupia się jej uwaga na jakimś szczególe, na zmarszczonej gniewnie psiej wardze, błyszczącym końcu kła, od niego rozrasta się kręgami obraz, poszerza widzenie na ciemną dziuplę budy, pachnącą jałowo owsianą słomą, zmoczoną sierścią; dalej podwórze, kąt między obórką i stajnią; zaciek gnojówki przysuty świeżym śniegiem, rudy — ale skąd rudy — w zmiennym świetle księżyca — na pewno czarny lub ciemnozielony — poprawia wizję Ariadna, lekko wzruszając ramionami.

A potem lot, lot... Szczyty przywalonych stodół, podobne do pagórków, na wierzchołku wystają spod śniegu zjeżone żdźbła. Kłębiaste chmury staczają się z gór, ruchliwe cienie na śniegu, gdy znowu wiatr rozdmucha tlejący rąbek księżyca.

Lot ponad wzgórzami podobnymi do stogów... Lot... Jakże mi tego muszą inne dziewczynki zazdrościć — myśli Ariadna. I już jest w klasie...

Ciemno, za oknem latarnie gazowe — puszyste, zielone ognie. Zsuwa się na ławkę nieomylnie na swoje miejsce... Szczerbaty pulpit pachnie starym lakierem, poruszonym kurzem, dziewczętami... Dotyka kałamarza, wacha zgęstniały atrament... Wsuwa rękę pod ławkę. W papierze jeszcze jej śniadanie, kromka twarda jak kamień, z półokrągłym śladem ugryzienia. Tyle po niej zostało. I napis wydrapany szpilką: „Kocham Jaśkę“, napis, którego już się wstydzi, bo po kłótni przyjaciółka przestała pisywać... Ani jednego listu nie przysłała, zapomniała o Ariadnie. Kromka jest szorstka i popekana... Ta Głuszkowa sprząta tylko tam, gdzie mogłaby dyrektorka dojrzeć...

Skąd Głuszkowa? W klasie sprząta woźny Bartosik. Głuszkowa jest tutaj. Mieszka przy poczcie i rzadko wyrusza dalej niż do cmentarza. Każdego odprowadza i zawiesza wianek z bibułkowych kwiatów. Patrzy w zasypywany dół chciwie jak w okna ruszającego pociągu... W niebieściutkich oczach odbłask śniegu, świeci iskra ciekawości: „Bo to, proszę pani, zawsze między swojakami milej... A ładnie tu, cichutko. Ptaszki się zwołują. Zawsze między bibułkowe różyczki powplatam parę makówek, to je sikorki złuszcza”.

I spogląda na dziewczynkę zachęcająco — cmentarna babka. Ariadna ściga brwi gniewnie, jakby nie chciała jej urazić odmową: namyśle się jeszcze, przecież mamy czas... Mimo woli zalękniona odwraca się ku matce.

Od kępki ciemnych włosów ponad końcem odętych warg rozrasta się cała twarz, śniadawa, głowa z siwiejącym warkoczem, zgarniętym od karku na czoło. Matka siedzi przy lampie biurowej, pochylona nad księgą rachunkową. Wzięła znów pracę do domu. Herbata wystygła w szklance, ciemna, cierpka, powleczone sinym nalotem, i konfitury rozmazane na spodeczku. Matka przy liczeniu porusza wargami. Ariadna skrada się na palcach, słyszy: „Trente deux, trente sept”. Matka liczy, jak ją nauczono w Instytucie dla Panien Szlachetnie Urodzonych — po francusku. Palce ma pożółkłe od nikotyny. Nagle obraz zaciera się. Kolory omdlewają. Lekki chłód przeciąga po czole dziewczynki. Powietrze, przecież dla niego tu przyjechała.

Gdy lekarz powiedział, że trzeba przerwać naukę, bo „dziecko musi wyjechać w góry” — Ariadna była przerażona. Właściwie teraz już jest wszystko dobrze, zupełnie dobrze, tak przynajmniej zapewniają dziewczynkę dokoła.

Ale Głuszkowa raz po raz do niej zachodzi, a ona ma instynkt nieomylny... W czarnej chusteczce, czyściutka staruszka, kożuszek, kapce, mnóstwo szarych spódnic, które czynią ją podobną do osiego gniazda. W ręku torba zeszyta ze skrawków skóry, jak z łuski, w niej gruby, wytłuszczony modlitewnik. Między kartkami kolorowe druczki: „Spowiedź wielkanocna Roku Pańskiego” — jakby starannie gromadziła dowody swojej niezmiennej nabożności, nie ufając zbyt kartotekom niebieskim.

Ludzie zazdroszczą Głuszkowej, bo i emeryturę ma, i trzech synów jej posyłają. „Choć udaje bidusie, ma więcej jak kierownik

szoły, mówi Zośka Gardecka. Nie urobi się, tyle co koło siebie, przeprać, ugotować... Nawet niezła kobieta, lubi przy chorych posiedzieć i opowiadać potrafi... Co? A takie różne bajania...“

Ariadna wie, że mimo zapewnień lekarza z płucami jeszcze nie jest dobrze. Ale już nie czuje niepokoju. Miejsce, do którego próbuje ją zwabić Głuszkowa, nie budzi w niej odrazy.

Mogłabym zostać małym ptaszkiem, gilem z czerwoną łatką, albo szafirową sikorką i rozdziobywać wianki, pruszyć na wiatr złotawe łuski z nieśmiertelników.

Już mknie pod ośnieżonymi gałęziami, koralowe pałaki jeżyn, głógów, przywalone śnieżnym dachem. Cieniutka frędzla sopli, przymarzniętych do zeszłorocznych liści, dzwoni lekko, gdy je skrzydełkiem trąci w przelocie. Przed nią jest błękit nieba przemijający zachwytem.

Wyfruwa nagle z cienia, wilgotnego, pełnego szelestów płochliwych, sykań ptasich — w światło, w blask nietrwały, co napełnia serce radością. Wie jednak dobrze, że omija wzrokiem zakłęśnięte pagórki, poprzecyłane krzyże, które śnieg przystroił czapami.

Dziewczynka syci się rozświetloną przestrzenią, między gałęziami świerków już ciemno, zgaduje, że blask omdlewa, przygasa, a przez to jest jeszcze cenniejszy. Już nie jest ptakiem, tylko sobą, ale wolną od ciężaru ciała, leci w ostatnim, zachodzącym blasku. Górą jest rozległa kraina, zarysy miasta z kryształu i złota, a może z różowej piany, bo łatwo ściany przenikać, krążyć po komnatach, tarzać się w seledynowym puchu...

Wie, że już więcej uzyskać nie może — trzeba powracać. Tak jakby ktoś jej szepnął: „No, dosyć zabawy, chyba już się nacieszyła...“ Powoli opada. Pod nią dolina, dachy chałup przywalone śniegiem, długie cienie od drzew. Dymy z kominów wspinają się wiotką przędzą, pachnie paloną świerczyną. Opadając chwytą jeden, owija się nim spiralnie, targa, w nadmiernej radości próbuje go wywlec z komina. Ale dym wysnuwa się niezmiennie, już ją całą omotał jak pajęczyną, coraz ciężiej jest się poruszać. Ariadnie robi się gorąco, iskry tęczowe błyskają pod powiekami a powiew leciutko studzi spocone czoło.

Ariadna otwiera oczy — bez sięgania po termometr wie, że temperatura wróciła. Zziębnięte końce palców wsuwa pod pachę, podciąga kolana. Jest znów w swoim pokoju, na piętrze. Piec stęka,

miele się suchy śnieg z okapu i światło księżyca za oknem zielono rozdmuchuje wiatr.

Trudno powracać do marzeń przemieszanych ze snem. Pokój przebiega ciepłe tchnienie smolnych szczapek, które schną za piecem, to ze stryszku nawiewa wonią nasiennej koniczyny zesypanej po omłocie do worków.

Do Gardeckich dostała się Ariadna przypadkowo. Jak to czasem w życiu bywa, kiedy się już nic nie darzy, nagle od jednego przyjaznego uśmiechu odmienia się wszystko na lepsze. Zapewniała matkę w Warszawie, że da sobie świetnie radę, że zna drogę, a walizka wcale nie ciężka.

Nawet wsunęła na wierzch oprócz niezbędnych rzeczy bluzkę z zielonej lamy. Miała ją włożyć na pierwszy bal szkolny. „Och, możesz być spokojna, że będę się doskonale bawiła, mruczała wygładzając fałdy, niepotrzebnie tak się dla mnie zamęczasz“.

Ale obie nie patrzyły sobie w oczy... Ariadnie po prostu żal było rozstawać się ze strojem, który sobie wymarzyła. „Widzisz — przelewała matka przez palce ciężki jedwab — tę bluzkę nosiłam na przyjęciu u państwa W. Co za materiał... A przecież to ma już swoje lata...“. Dziewczynce majaczyły niejasno obrazy dawnych balów, o których matka opowiadała chętnie.

Przy pożegnaniu na dworcu nerwowo paliła papierosa, zaniepokojona śmiałością córki, jej pierwszą samodzielną wyprawą, a zarazem już ją ciągnęło do domu, gdzie czekała dodatkowa praca, co miała zapewnić dziecku spokojny pobyt w górach.

U znajomych państwa S., gdzie miała się Ariadna zatrzymać, przyjęto ją uprzejmie, powiedziano jednak, że list zaginął, i pokój komuś innemu już odnajęto. Poczęstowali ją herbatą i ciasteczkami, wyszła więc z uczuciem, że to ona wszystkich swoimi kłopotami zadęcza, zawstydzona i niespokojna.

„Przecież u gazdów miejsca dość, jeszcze się sezon nie zaczął — mówił syn owych państwa — więc zaraz coś znajdziemy odpowiedniego, pomogę pani“.

Ale zaledwie wyniósł jej walizkę na drogę, odwołała go matka do domu. Przeprosił układnie i odszedł, zataczając ręką szerokie półkole po pagórach. „Tu gdzieś na pewno pani świetny pokoik znajdzie, ludzie są na ogół życzliwi...“

„Gdyby wysadzić most kolejowy, woda naniosłaby pni i kamieni, sama uszczelniłaby tamę — myślała mściwie Ariadna, wlokąc się pod górę z walizką — struga zatopiłaby całą dolinę...”

Przyspieszyła kroku, zdawało jej się, że wstępując na wzgórze podnosi poziom zalewu, dopełnia słusznej kary. Nie chciano jej nigdzie, oglądano podejrzliwie, żądano, żeby ktoś za nią poręczył, stawiano niemożliwe wymagania lub zwlekano z odpowiedzią, odwołując się do decyzji nieobecnych gospodarzy. Ariadna miała wiele pieniędzy, matka obiecała jej przysłać jeszcze jakąś kwotę w drugiej połowie miesiąca.

— Jeżeli mnie tu nie przyjmą, to wracam — szeptała zrozpaczona. Chałupa świeciła świeżymi belkami. Za dachem sterczał grzebień świerków przypruszonych śniegiem. Ariadna szła powoli podmarzłą ścieżką.

Walizka miała popsuty zamek, otwierała się łatwo, więc dziewczynka przewiązała wieko sznurkiem. Na tym sznurku od razu zatrzymywały się czujne oczy wiejskich gospodyń, i Ariadna milkła, czerwieniła się, zawstydzona ujawnionym ubóstwem.

Zośka Gardecka wydała jej się od razu brutalna i niechętna. Jedną ręką podtrzymywała małego chłopca, drugą wpychała mu smoczek do ssania.

— Baśka, chodźże tu, nie widzisz, że gościa przyniosło! Myśmy nie żadni gazdowie, tylko chłopcy. Brat mnie spłacił, to się pobudowałam, trochę się gratów przywiozło z zachodu. Ale pokoju na razie nie ma, może go się dopiero na lato wyrychtuje...

Bukiet ujadał za oknem. Łańcuch z pierścieniem zgrzytał po drucie. Dziecko zapłakało przez nos.

— Władys ma polipa — objaśniała Basia, rozrosła piętnastoletnia dziewczyna — ale teraz nie można operować, nie przetrzyma, za mały jeszcze...

Ariadna ciężko podniosła się z ławy, podeszła do drzwi. Nagle walizka zaczęła o wysoki próg, sznurek pękł i wysypały się wszystkie sukienki.

Dziewczyna miała łzy w oczach. Baśka rzuciła się z pomocą, podniosła bluzkę z zielonej lamy.

— O, jakież to śliczne — powiedziała ze szczerym zachwytem i poniosła siostrze pokazać.

— Teraz już takich materiałów nie ma, dawniej to się stroili, ho, ho... No, nie płaczcie, choć Baśka jest latawiec, u nas czyste deski, nie wybrudzą się wam szmatki...

I każda część garderoby szła do przeglądu, była żywo komentowana. Ariadna musiała opowiedzieć im szczegółowo o pochodzeniu każdego materiału: a to chustka ze Zjazdu, sukienka z amerykańskich darów, broszka z kaukaskiego srebra. Rozmowa stawiała się coraz serdeczniejsza i prostsza, nawet rubasznosc Zośki zamieniała się w szorstką życzliwość i Ariadna nie zdziwiła się wcale, że sukienki zamiast do walizki powędrowały do szafy na piętrze, gdzie był mały, nie wykończony jeszcze pokój.

Worki z omłotem koniczyzny przeniesiono na podstrysze, zgarnięto szuflą kupę łubinu. Baśka posprzątała gruntownie. Pokój poweselał. Pachniał sianem, kurzem i bieloną gliną. Nad gankiem był balkonik, między narożnymi słupami przeciągnięto sznur, bo barierki brakowało jeszcze.

Ariadna mogła werandować na foteliku plecionym z wikliny, w otwartych drzwiach, skąd oko sięgało ponad dachami zabudowań, poprzez dolinę, na grzbiet skalny, czarny, porośły borem, groźny w zimowym świetle jak ściągnięta brew. Chmury kłębam kurzawy staczały się ze skalnego czoła.

Wyzwierały się sobie. Ariadna, pierwsza, musiała wyjaśnić, skąd przyniosła takie niezwykle imię. Mówiła więc o matce, o Leningradzie i rewolucji... Zośka skarżyła się na kłopoty z mężem, młodym, rośłym chłopakiem, którego zachód i łatwe zarobki byłyby zmarnowały: — „Gdybym go pijanego w nasze strony nie przywiozła, i to na ostatnią chwilę, bo tamtych jak raz zawarli do kryminału. Teraz to już go odeszło, ale przedtem ino się rwał do rajzy...“.

Gdy Ariadna opowiedziała, jak ją znajomi matki przyjęli, Zośka parsknęła tylko: „Cholerne chytrusy, więcej im tamten zapłacił, to mu pokój podnajęli“. I żeby wykazać swoją wyższość, nawet nie kazała sobie z góry zapłacić. Ale dziewczyna wcisnęła jej pieniądze, Zośka broniła się chwilę: „Nie pali się przecie, jak wam matka dośle, to oddacie...“ Ale ostatecznie przyjęła zapłatę, a stanowczość Ariadny była niemal poręką wypłacalności.

Dziewczyna miała śnadanía i kolacje u Gardeckich, na obiady chodziła do Gospody, czasem gdy zadymka kurzyła śniegiem, Zośka

zastępowała drogę Ariadnie i mówiła prosto: „Co się będziecie mordować, pojemy sobie zacierek na mleku, jak nie pogardzicie poczęstunkiem“.

Basia miała uprzątać pokój „panienki“. Tak zaznaczono honor gościa. Dziewczyna zamiatała niedbale, ale lubiła pogrzebać w rzeczach Ariadny, przymierzała bluzki, wachała jej bieliznę, skrapiała się wodą kwiatową. Chłopcy już jej byli w głowie, marzyła, że zostanie urzędniczką w młynie parowym, ale szkoły podstawowej nie udało jej się ukończyć.

Ariadnę wkrótce u Gardeckich uznano za swoją i Zośka często mówiła jej po imieniu, ale nigdy przy obcych, bo to by obniżało powagę domu.

— Ho, ho — mruzczała Głuszkowa — jak to się Gardecy teraz puszą, że się dorobili kuracjusza... A to bidula, zdechłak, jak inni suchotnicy... Nie odkują się na niej, to pewne... A jeszcze im chorobę w nowy dom zapuści... Już ich ten mały tak dyszy, choć kręć, że to z polipa, ale ja mam swoje oko, a co, polip nie może dzieciaka udusić? — Splatała ręce i potoczywszy pogodnym, niebiesciutkim okiem dodawała nabożnie: — Wszystko w ręku Pana Jezusa! A nasz stary cmentarzyk już się zapełnia, ludzie się pchają na wyprzódki... I miejsce nad podziw piękne, widok na całą dolinę... A nowy, patrzcie, gdzie wytyczyli, aż pod lasem, he... Jak dla jakich obwiesiów...

Światło księżyca bielało zmienną plamą na podłodze. Ariadna długo nie mogła zasnąć. Czułaby się ogromnie osamotniona, gdyż nawet i wyobrażenia męczy nawrotami tych samych postaci, ale już pochłaniania jej uwagę conocny ruch, jaki zaczyna się w pokoju.

Zaskrobało coś lekko pod komodą, przemknęło w zgęszczonej ciemności wzdłuż ściany, ale gdy tylko uniosła głowę, cisza sypała się monotonnym szelestem śnieżnego pyłu po szybach. Milczenie było tak nieznośne, że nawet westchnienia Ariadny gubiły się i bolała w uszach czujna gotowość na przyjęcie każdego dźwięku. Chciała więc szepnąć błagalnie: „No, zaczynajcie, czego się lękacie, przecież jesteśmy sami“.

Niespodziewanie szmer się wzmógł, usłyszała, jak mysia gromada sunie w stronę szafy. Chrobot, brzęk talerzyka, szelesty papieru, piski, w których rozróżniała zdziwienie, przestרח i zachwyty.

Księżyc świecił jasno, zielony blask wisiał w powietrzu. Poznana Gryziołka, kulka sierści z ciemniejszą pręgą wzdłuż grzbietu, wkroczył śmiało w kałużę księżycy. Podniósł przednie łapki, poruszał osrebrzonymi wąsami, oczy świeciły mu jak dwie kropelki, zapiszczał cicho: „To my, Ariadno, starzy znajomi!”

Dziewczynka uśmiechnęła się lekko. Polubiła już myszy. Gdy tylko zamieszkała w pokoiku, gwałtowne zmiany, nowe porządki, musiały zaniepokoić dawnych lokatorów – noce były rozległe, trudne do przebrnięcia, białe od księżycowego światła. Podpływały do warg jak morze grysiku, który zbierany z brzegu talerza, rozlewa się, przybiera kleistą falą — walczyła z nimi bezsenna.

Myszy zaczęły pojawiać się kolejno, witała je z wdzięcznością, wreszcie któregoś wieczoru wyroiły się całą gromadą, widać uznały ją za nieszkodliwą. Ariadnę zaczynała już bawić rola dobrej wróżki.

Gdy pierwszy raz zobaczyła w szafie ślady ich pobytu, rozgniewała się i strzepując z talerza mysi kminek, przysięgała sobie, że zaraz pójdzie do Spółdzielni po sprężynową pułapkę. Ale już wieczorem, o szarówce, gdy słyszała ich pisk i harce pod podłogą, zrobiło jej się żal. Włożyła jedzenie do blaszanego pudła, wędlinę między okna, a dla myszy zostawiła okruszyny.

Od tego dnia zaczęła przygotowywać im niespodzianki, wsadzała do pudełek z zapalek wędzone skórki z kiełbasy, uchylała trochę wieczka, by z trudem mogły się dostać do przysmaków pachnących z daleka. Wyobrażała sobie, jak się napracują, pomęczą — wreszcie brzęk blaszki, trzask pudełka i radosny pisk oznajmiał, że gromada dopadła ucztę.

Gdy w długim liście opisała matce swoją przyjaźń z myszami, wymieniła ich imiona, matka w odpowiedzi przysłała jej paczkę czerwonej, zatrutej pszenicy z dokładnym przepisem użycia.

„Błagam cię, wytruj to paskudztwo — pisała — przecież tyś całkiem na głowę upadła, żeby w domu dogadzać szkodnikom“.

Ariadna z oburzeniem odrzuciła myśl o złamaniu przymierza. Nie pisała więcej o myszach i na kilka natarczywych zapytań — odpowiedziała matce, że „z myszami wszystko w porządku“, co zresztą odpowiadało prawdzie. Pudełko z zatrutym ziarnem zamknęła starannie na dnie walizki.

Jedno trzeba przyznać myszom: gryzły książki i strzępiły papiery tylko wtedy, gdy zapomniała podłożyć im jedzenia. Traktowała to więc jak słuszną naganą.

„Wydzierają kawałeczki papieru na podanie z zażaleniem, że stolówka nie dopisała“ — szeptała, sprząając nacięte skrawki. Doszło do tego, że sama zacierała ślady ich wybryków, bo raz Baśka nadąsana wymiotła śmieci na środek pokoju i zawołała: — Co u panny Ariadny myszy repecą, że tyle trotów... Pożyczę kotkę od sąsiada, bardzo łowna, zaraz je poskromi...

— Nie, skąd myszy... To ja podarłam list... A wiatr z balkonu rozniósł po kątach, bardzo Basię przepraszam...

— Zamiast drzeć — powiedziała poważnie Baśka — jak już list taki, to lepiej spalić... Nie trzeba drzwiczek otwierać, żeby się żar nie wysypał, tu między kaflami szpara, wystarczy wsunąć, tylko fuknie i nikt się już nie dowie o chłopcach.

Wsparta na miotle przez chwilę oczekiwała zwierzeń, ale gdy Ariadna zabrała koc i powlokła pleciony fotelik, Baśka urażona, pociągając nosem, mokrą szmatą przecierała podłogę.

Ariadna długi czas nie mogła odgadnąć, jak myszy dostają się do szafy, wreszcie odkrywszy ich szlak, musiała podziwiać odwagę i pomysłowość. Wprawdzie w drzwiach, przy zawiasie, był otwór wyrobiony łebkiem wystającego gwoźdźcia, ale szafa miała wysokie nogi, myszy nie mogły podskoczyć do wejścia. Ariadna widziała, że tamtędy o świcie powracają, ale dostawały się inną drogą. Musiały sunąć po tylnej ścianie, zaczepiały pazurkami o każdą drzazgę, grzbietem wsparte o belki, pięły się powoli w górę, aż do miejsca, gdzie wypadł sęk. Była to karkołomna wyprawa, słyszała nieraz, jak obsuwają się z piskiem i miękko stukają o podłogę. Wkrótce jednak powracały, zachęcały się, nawoływały do wytrwałości.

Przeniknąwszy w głąb szafy, węszyły, rozglądały się, zbiegały po sukienkach. Następowała cisza.

Ariadna słyszała ich lekkie stąpania, radosne odkrycia, chroboty, skoki i piski. Gdy dobrały się do jedzenia, gwałt był w całym pokoju.

Dziewczynka wyobrażała sobie, że jest mysią opatrnością. W głębi szafy ku niej wznosiły się pyszczki, składały łapki, może nawet modliły się w podzięce... Ariadnę aż dławiła własna dobroć. Wychodząc z Gospody zgarniała ukradkiem skórki zestrugane

z oszczypków, tłusty ser owczy był największym mysim przysmakiem. Syte już, rozpoczynały figle, nadchodziła pora na popis zręczności, odwagi i akrobacji. Dziewczynce aż oczy zachodziły łzami, próbowała pochwycić ich skoki, odgadnąć pravidła zabawy.

Starszyzna szła za piec, długo wspinała się po smolnych szczapkach, aż natrafiwszy na drzewo bukowe, zaczynała piłowanie. Ostrzono sobie zęby, czy też używano twardych drzazg po jedzeniu jako wykałaczek.

Jeden z młodych — Ariadna nazywała go Chrobotkiem — wspinał się po sznurku, który zwisał wzdłuż futryny, aż się trzęsła batystowa firaneczka. Była to czysta sztuka dla sztuki — przecież mysz wiedziała dobrze, że nie ma tam nic do zjedzenia, a jednak pięła się krótkimi skokami, poświstując z uciechy.

Dziewczynka czuła, że maleństwo wprost roznosi radość i siłą.

Pewnej nocy Chrobotek wykonał wspaniały skok: z haka nad drzwiami na półeczkę, gdzie stały małe czerwone jabłuszka; pachniały cierpko, zwłaszcza gdy piec przygrzewał. Mysz pokręciła się, zbadała rozmiary balkonu, wlaźła na jabłko, rozkołysała owoc i zepchnęła z półki. Zadudniło po podłodze, potoczyło się z chrzęstem.

Mysz stała na samej krawędzi, zachwycona popłochem, jaki się wszczął na dole. Poruszała kpiąco wąsami, przykladała skulone łapki do wydętego brzuszka. Wyraźnie widać ją było na bielonej ścianie — Ariadna mogłaby przysiąc — mysz szczerzyła zęby w uśmiechu.

Ale po chwili znowu pod szafą zaczęło się krzątanie, Chrobotek obiegł półeczkę, przewieszony, po samej krawędzi, pomagał sobie w utrzymaniu równowagi młynkując ogonkiem. Jednak zejścia nie było, zapiszczał więc zatrwożony.

Odpowiedziały mu głosy spod szafy. Ariadna nadśluchiwała ciekawiona, była w każdej chwili gotowa pójść mu na ratunek. Widać jednak otrzymał wskazówki, bo ostrożnie, zawracając kilka razy, ruszył wzdłuż belki, z trudem utrzymywał się na pochyłości, wreszcie nad łóżkiem dziewczynki zdecydował się na skok. Plusnął we wzburzone kudły baranicy, ale nim przeczesala je palcami, mysz z radosnym piskiem zesunęła się na podłogę.

Wybita ze snu dziewczynka śledziła odgłosy nocnego życia, rozszerzone źrenice chwyciły przemykające się cienie, resztę dopełniała wyobraźnia.

„Ciekawam, ile ich wszystkich jest“ — nieraz zastanawiała się Ariadna, tarły drewno, zgrzytały, szeleściły w ciemności. Zapadała w krótką drzemkę i znowu budziła się na odgłos toczonej kostki cukru. Ostra pomarańczowa smuga zajaśniała na szybie. Switało. Niebieskawy pył wypełniał kąty pokoju. Myszy ostatni raz tej nocy posilały się w szafie.

Nagle pod wyszczerbionymi drzwiami pokazał się ruchliwy pyszczek — mysz rozejrzała się, wysunięta do połowy, rozpląszczona, krytycznie oceniała wysokość — szafa stała na klockowych nogach. Cofnęła się zatrwożona. Ariadna usłyszała piski, karcono mysz za opieszałość, podskubywano, zmuszając do zejścia. Ojciec rodziny — zwany Łysoniem, zeskoczył pierwszy. Przyczajony za nogą szafy czekał, aż wszyscy ukryją się na stryszku. Może wraz z Ariadną liczył umykającą gromadę: jedna, dwie, trzy... Gdy dziewczynka doszła do czternastej, osunęły jej się powieki i zasnęła twardo.

Za oknem pobielonym od mrozu jaśniało błękitem zimowe niebo. Miliardem iskier zapalał się na szybach słoneczny dzień.

Mijały tygodnie, rósł stos listów od matki, na które odpowiadała opieszale. Niemal w każdym donosiła, że czuje się dobrze, a lekarz z Sanatorium pozwala jej wracać. Jednak matka odpowiadała niezmiennie: „Zostań, póki mogę sobie na to pozwolić, łykaj górskie powietrze, korzystaj na zapas, krzep się...“

Dziewczynka uczyła się trochę, ale nie za dużo, była pewna po-błażliwości profesorów po tak długiej chorobie. Godzinami przesiad-
dywała na balkonie wpatrzona w błękitną, dymną czeluść doliny. Góry na horyzoncie, zjeżone borami, groźne; ośnieżone szczyty za-
palały się w zachodzącym słońcu.

„Nic nie robię i nic się dokoła mnie nie dzieje“ — myślała Ariadna — „a jednak zmieniam się, dojrzewam“.

Kiedys Zośka Gardecka powiedziała jej z właściwą wiejskim lu-
dziom przenikliwością:

— Arusia, ty masz takie oczy, jakbyś się dużo modliła.

— Ale skąd — zaprzeczyła gwałtownie Ariadna — zachwycam się tylko, popatrz, jakie się dziwy na niebie dzieją, mogłabym cały dzień tam się wpatrywać.

Ale Zośka pomachała tylko ręką, że na jedno wychodzi. Kładła dyskretnie na środku stołu parę świeżych jajek, bo kury właśnie za-

częły się nieść. Skarżyła się na młodszą siostrę, że wieczorami poza domem przepada, chłopcy ją odprowadzali gromadą. Krowa się miała cieleć, i Jaśkowi w tartaku spuścili kloc na nogę. Kostka mu spuchła, buta nie mógł wzuć i z kwaśnej wody robił okłady. Więc co dnia działo się coś ogromnie ważnego, nie dla świata, tylko dla Gardeckich, ale i Ariadnę obchodziło, bo już wliczono ją do grona najbliższych.

Choć przeczuwała rychłe nadejście odmiany, wiosna zaskoczyła Ariadnę.

Mgły dymiły ze śniegu, cała dolina wypełniła się gęstym kożuchem.

— Idzie na zmięk — mruczał Jasiek masując udo przestrzelone w 39. — W nodze mnie rwie, dyszcze zbierają...

Słońce wstawalo żółte i słabe, sunęło w chmurach ślepa żrenicą. Mokry ziąb ciągnął szparami. A jednak pod tą burą zasłoną Ariadna czuła wyraźnie niepokój przebudzenia.

Z metalicznym brzękiem łamały się ryjąc w śniegu lodowe brody. Grube krople cykały ciężko z dachu, jakby w zapadającym zmierzchu szły niezliczone zegary, przynaglać czas zimowy. Syczał strumyk za stodołami, prując zaspy, potok wezbrany w dole zagadał basem. Gdy wracała z Gospody, każdy ślad podchodził wodą, buty miała przemoczone, ale nie czuła chłodu, woda, co się wlała górą i przemoczyła pończochy, elektryzowała świeżością. Na samym progu kropla trafiła ją w odsłonięty kark i paliła jak iskra. Ariadna szła do domu z zawrotem głowy, mąciło jej się w oczach, czad wiosenny mrowił się w ciele znużeniem. Serce jej biło gwałtownie, gdy otworzyła balkon i odetchnęła głęboko, aż do bólu w piersiach. Powietrze pachniało topniejącym śniegiem, zielonkawą bielą pierwszych wątych kwiatuszków, których naskubany pęczek przyniosła jej Baśka.

Stała ze zsuniętą chustką, krople świeciły na czarnych włosach, wargi miała nabrzmiałe i popękane. Wnosiła ze sobą woń zwierzęcą i polną. Opowiadała o zabawie w świetlicy, o chłopcach, którzy ją wyściskali, o Tadku, co miał włosy kręcone, pod słowem, bez ondulacji. Wymawiała jego imię chropawo, przymykając powieki... Zlepione rzęsy, jak po płaczu, rzucały jej cień na policzki.

— Znowuśmy się dziś nic nie uczyły — westchnęła z żalem Ariadna.

— Taki czas — powiedziała Baśka niskim głosem i zapatrzyła się w okno. Ręce jej czerwono spierzchnięte płonęły w świetle lampy. Nad dachem zakrzyczały sówki, jakby się dziecko rozplakało.

— Ach, jesteś, latawico — powiedziała Zośka, stając w uchylonych drzwiach — wcześniej zaczynasz, zobaczysz, ty się doigrasz...

— A tyś inaczej łapała swojego Jaśka? — obruszyła się siostra.

— Cichaj, ja ci nie żałuję... Ino cię robię ostrożną — powiedziała ciepło i przygarnęła Baśkę ramieniem. — Idź, wydój krowę, idź... A popłucz skopek...

Popatrzyła na Ariadnę pochyloną nad książkami, westchnęła współczująco:

— Smutno ci tak, Arusia, co? Jakoś od ludzi stronisz, bo Głuszkowa nie dla ciebie towarzystwo. A przecie z samym niebem niewiele się nagadasz, jeszcze cię planetnicy urzekną.

Któregoś dnia Bukiet się zerwał z łańcucha i pognął światami. W południe u Gardeckich wybuchła kłótnia, słychać było szamotanie, razy i przekleństwa. To Jasiek się upił z samego rana, mądre koniska wróciły na podwórze po obrok, ale przy wjeździe koło zawadziło o bramkę i zwałił się kawał płotu.

— Znowu cię na rajzowanie zbiera — krzyczała Zośka jasnym głosem --- ale wiedz, krokiem się za próg nie ruszysz! Wiosna idzie, a ja nie będę za ciebie pola orać! Dosyć się już ze mnie naśmiali sąsiedzi. Dziecku trza operację robić, ale ciebie to nie obchodzi, tylko wódkę chłasz...

— Zośka, oj, Zośka — w głosie pobrzmiwała czułość z przybijającym gniewem — przecie ty wiesz, jak mnie tu gniecie — i pięść dudniła po szerokiej piersi.

Ariadna słuchała zdrętwiała odgłosu lepkich pocałunków, wymamrotanych usprawiedliwień. Mały Władysław zapłakał przez nos.

Po chwili Jasiek przysiadł pod szopą i rozdzwonił się wesoło, w potrójnym echu z doliny, poklepywany lemiem.

Po południu przywłókł się Bukiet. Kawał łańcucha zabrzączał po kamieniach, więc Zośka wyjrzała oknem i powiedziała półgłosem mściwie:

— Złap sobakę, a skuj mu mordę, niech wie, że ma przy domu warować!

Pies ze skudloną sierścią, zaślinionym pyskiem chleptał lodową wodę, co ściekała z rynny, czasami schrupał ze smakiem kawałeczki lodu, paliło go pragnienie.

Jasiek wyszedł z batem w ręce, pochwycił koniec łańcucha, pies robił bokami. Dawał się spokojnie przywiązać, z rozdartego ucha ciekleła kropkami krew, znacząc cętki na śniegu.

Jasiek przytrzymał biczysko kolanami, zaciągał drutem ogniówka łańcucha. Pies czekał tępo na ciągi, podnosił nos i węszył zapachy, które wiatr nanosił z dolin.

— Aleś się zlumpował — powiedział ze zrozumieniem Jasiek i sam ciężko westchnął. Chwilę stali obaj spoglądając na domy w dole; dachy świeciły wilgocią, wrony z wyskubanymi skrzydłami polatywały ciężko, chwiejne dymy pięły się w żółtawe niebo.

Bukiet dotknął gorącym językiem zwieszanej ręki pana.

— No, idź, łazęgo — trącił go chłop grubym końcem biczyska — dały ci radę suki...

Na zgiętych łapach polazł Bukiet do budy, zaturkotał łańcuszek wleczony o deskę, uwalil się na słomie i zachrapał jak chłop.

Jasiek pobił palik siekierą, naprawił złamany płot i długo, zsunawszy okrągły kapelusz, spoglądał ku dolinie. Wezbrany potok gnał między drzewami, przesadzał kamienie pogarbioną falą. Obok stajni drobnutkie muszki wyroiły się nad parującą mierzwą. Cały świat dygotał i mrowił się chłopu w oczach. Trzeba się było mocno płotu uchwycić, żeby go nie poniosło podsychającą ścieżką w dół, ku stacji.

Ariadna stała w uchylonych drzwiach balkonu, wspierała policzek na framudze. Kling, kling, klang — rozżalił się dzwonek w kaplicy cmentarnej, zobaczyła ponad krzewami, pochylone żałobne chorągwie, kondukt pogrzebowy przesunął się pośpiesznie, a wiatr przyniósł słowa zawodzonej pieśni. Zdawało się dziewczynce, że słyszy cienki głos Głuszkowej: „U drzwi Twoich stoję, Panie, czekam na Twe zmiłowanie...“

Drzewo pachniało wilgocią, krople żywicy zastygły na krawędzi białym naciekiem. Dalej, jednoroczne pędy jesionów świeciły niebiesko, pnie wyrąbanych buków czerwieniły się, nabiegłe świeżym

sokiem, wśród łachy przybrudzonego śniegu. Jakiś ptak pisał na szczycie domu. Nie była pewna: kos czy szpak — zaniósł się nagle trylem tak słodkim, że poczuła łyżę wdzięczności pod powiekami.

— Podaruj mi ten świat — szeptała patrząc w niespokojne obłoki.

— A co z nim zrobisz? — zdawało jej się, że słyszy pobłażliwe pytanie.

— Tak chciałabym się nim nacieszyć — zawahała się, czując, że innej oczekiwał odpowiedzi. — Zrobię, co będziesz chciał — powiedziała ufnie — przecież mnie znasz...

Ptak gwizdał jak szalony, obłoki wzdymały się pełne mocy, wydało jej się, że uzyskała przyzwolenie.

— Będę zdrowa — szeptała oddychając głęboko — na pewno wyjdę z tego...

Policzki piekły ją, jak muśnięte płomieniem, ale termometr, po który kilkakrotnie sięgała, wskazywał niezmiennie 36,6. Długo tej nocy nie mogła usnąć.

Syte myszy harcowały po podłodze, w ciszy nocnej ziarno grochu przetaczane z kąta w kąt grzmiało po deskach.

„One chyba grają w piłkę nożną“ — pomyślała rozbawiona, uniosła się na łokciu i śledziła zabawy piszczącej gromadki.

Nad ranem spadł pierwszy deszcz, grube bryzgi ściekały po szbach, rozpuściła się resztką śniegu. Jak okiem sięgnąć, fioletowiały na stokach ubogie zagony spragnione siewu.

Ariadna siedziała na foteliku w cieniu kwitnących jabłonek. Drzewka były pięcioletnie, liści miały niewiele, tylko gałązki oblepiała bladoróżowa piana kwiecica. Słońce przypiekało, ale wystarczyło twarz odchylić, by w cieniu poczuć rzeński chłodek, lekki powiew przeciągał od gór, strącał pierwsze płatki, które spadały na szary koc, na otwartą książkę, upuszczoną w trawę.

Niebo porywało głębią, rozkwitały w nim wędrujące obłoki, cienie chodziły po pagórach muzycznymi nutami, struga w dole łaskotała oko srebrnym skrzętem. Z sadów niebieskich jak otrząśnięte płatki osypywały się białe skrzydła gołębi.

Na lewo za wzgórzem orał Jasiak Gardecki. Czasami pokazywał się łeb koński stromo, jakby z ziemi wyrastał, to znów, gdy zawrócili, zdawało się, że podbiegającego oracza wciągają rozprute skiby.

Głos jego zadzierzysty niósł się szeroko, rozsadzała go siła, improwizował śpiewki, Ariadna mimo woli słyszała natarczywą melodię:

*Zośkę ja całuję,
całowałbym jeszcze
ino tamtą drugom,
co jest w burym swetrze, hej!*

To „hej“ staczało się w doliny i odbite powracało szeroką nutą przekornej tęsknoty.

Ariadna drzemała z termometrem wsuniętym w usta. Słońce czerwoną plamą żarzyło się pod zamkniętą powieką.

„O Boże, Boże—myślała leniwie—jakież nieludzko piękny czas“.

Nieliczne pszczoły grały słabo grzęznąc w puchu na wpół otwartych kwiatów.

Przepełniała ją głęboka wdzięczność. Dla tego dnia warto było żyć, nigdy mocniej nie czuła świata.

Nagle cień padł jej na twarz, myślała, że od obłoku i zaraz się przesunie, ale zapachniało nagrzanym kozuchem, wilgotny koniec chusty połaskotał ją w policzek.

Niechętnie uniosła powieki. Głuszkowa nachylała się nad nią, jakby chciała odczytać temperaturę z termometru, który dziewczynce wystawał pomiędzy warg.

— To niezdrowo, panienko, zdrzemać tak w słońcu — skarciła Ariadnę — no, zobaczmy teraz, ile naciągnęło gorączki...

Dziewczynka wyjęła pośpiesznie termometr, otarła o koc i spojrzała pod światło, ale pawie kolory mąciły jej źrenice, nie potrafiła dojrzeć słupka rtęci.

— Na pewno nie mam temperatury, ostatnio czuję się świetnie.

— Tak mówi każdy chory — zamruczała wyrozumiale — a potem zaczyna z sił opadać... Leci z góry na pazurki, ani uwidzi, jak się skula do dołka.

Stała nad Ariadną, spłotła cienie, suche rączki. Biała chustka rzucała zimny odbłask na żółte policzki, wydłużała linię nosa. Suta szara spódnica wspierała się na czubkach bucików zapinanych na guziki. Pszczoły krążyły nad głową Głuszkowej, płatki kwiatów spływały lekko, dotykały kozucha i odlatywały daleko w trawę.

„Mysz kościelna — pomyślała dziewczynka — na pewno mysz“.

— A choćby ten Białowas, cośmy go przedwczoraj pochowali, słyszała panienka, bo dzwonek się niesie. Do ostatka mu głupoty były w głowie. Dopiero jakim trzy noce przy nim przesiedziała, posłał po księdza. A jakże, słowa pocieszenia mu proboszcz powiedział, a tak pięknie, że się ludzie popłakali. Choć Białowas zadziora, nikomu z drogi nie ustąpił, kiedy na niego przyszło, złapał księdza za szyję i chciał na drugą stronę ze sobą pociągnąć, aż stula pękła... Ta z perełkami, pięknie haftowana na atłasie...

Popatrzyła na dziewczynę z troską. Błękitna pogoda załśniła jej w siwych oczach.

— Ach, życie, życie — westchnęła ciężko — ani się człowiek obejrzy, jak przeleci... Najlepiej tak, jak panienka. Niby kwiatu-szek, co się ledwie do słońka rozchyli, rosą upoi, a kościarze idą i szach-mach. Bo cóż panienka wie o życiu?

Zakołysała torbą uszytą ze skrawków, jakby w niej kryły się dowody jej wiedzy, przepisy, jak w życiu unikać zasadzek.

— Trzech chłopaków na ludzi wy kierowałam, a samotnej nie łatwo, o nie... Od ust sobie odejmowałam, a do szkół poszli, dziś co — panowie — nie żałuję, że wszystkie soki ze mnie wyciągnęli. Dziś w nich najlepsze zabezpieczenie na starość, pamiętają o matce, każdy grosz przysła.

Pierwszy mnie przyjął ten sam naczelnik, co koło niego mieszkam, przyjął niby z dobrego serca, a właściwie ze złości, bo go odpa-liłam, jak zabiegał o moją rękę... Trzy razy na dzień wołał, kiedy się więcej ludzi przy okienkach zeszło: „Głuszkowa, zobaczcie na kościół, która godzina“ — a wiadomo, że się tam kawki na wskazówkach hojdają, więc się godzina z naszym nie zgadzała. Kazał mi wtedy na krzesło wlaźć i w naszym wskazówkę przesuwając. A potem dzwonił do Jordanowa o dokładny czas i znowu godzinę przemieniał. A ludziska się śmieli, że ino łydki na krześle pokazują, tak mnie tym zegarem poniewierał...

Zmilkłam raz, drugi, aż powiedziałam — dość. On na urzędnika mruga: „Głuszkowa, no jak tam z godziną?“ — a ja nic. Chciał mnie krzykiem brać, a ja nic. I zwolnił mnie — „bo jak trzymać na poczcie taką urzędniczkę, co się nie zna na zegarze“. Wszystkich

ich brał na fałszywe świadectwo, pośmiali się, przytaknęli, nikt się za biedną wdowę nie ujął!

Ech, co panienka o życiu wie... Dziś go męczą wrzody w żołądku. Mieszkam obok, przyglądam się... Choćby jadł najśłodsze ciastka, wszystko mu zółcią smakuje. Darowałam mu, dawno ręką machnęłam... Modłę się czasem za niego — zacisnęła wąskie wargi — bo w Piśmie jest — kto zamiast złorzeczyć, modli się za krzywdziela, to tak, jakby mu gorące węgle na głowę sypał...

Jasiek właśnie nawrócił końmi, rozkroczony szeroko, powiał błazeńsko kapeluszem:

— Głuszkowa, ej! Głuszkowa! Poczmistrz się wam pięknie kłaniał i jużby do was posyłał swatów, ino mu się tej wiosny widzicie coś za sucha...

Starej krwiste wypieki wystąpiły pod oczami.

— Cicho ty, szkaradniku! — pogroziła pięścią.

Ale Jasiek już zawracał i nucił na całą dolinę:

*Głuszkowa, Głuszkowa,
ożeńże się, ożeń,
ino z takim gdowncem,
co ma zdrowy korzeń!*

Kobieta stała ze splecionymi palcami, wpatrzona w kapelusz, który zapadał się w bruzdach, wargami poruszała szybko.

„Modli się“ — pomyślała Ariadna i wstrząsnęła nią dreszcz. Sięgnęła po termometr: było 38 bez dwóch kresek.

— Jest gorączka — nachyliła się chciwie stara — dużo narosło?

Pszczóły mruczały w kwieciu, wiatr pachniał młodą trawą. Ariadna otarła dłonią spocone czoło.

— Wróciła — szepnęła bezradnie — chyba się pójde położyć.

Głuszkowa pomogła jej poskładać koc, powlokła fotelik, ale zobaczywszy Zośkę na progu, zawróciła i zaczęła schodzić ścieżką po stoku. Sunęła drobnymi krokami, szare spódnice nakrywały jej stopy, falowały, jak woda wbiegająca na brzeg.

— Czego ona tu chciała? — zapytała Zośka, przysłaniając coś fartuchem na piecu — tłucze się jak gacek koło domu. Ale ty, Arusiu, zdrowo wyglądasz, opalona, rumieniec na gębusi...

— To z gorączki — szepnęła. Zatrzeszczał pleciony fotelik, na którym się wsparła.

— Idź! Leń cię ogarnął na słoneczku. Popatrz ino — uniosła fartucha: w przetaku, grzęznąc w naskubanych piórkach, suszyły się świeżo wyklute pisklęta. — Masz, zobacz, jaki śliczny kogutek — postawiła Ariadnie na wyprostowanej dłoni kulę żółtego puchu, czarne oczko spoglądało bystro, zakwilił i skubnął dziobem cieniutki, dziewczęcy pierścionelek.

I wtedy Ariadna pomyślała: „A może termometr rozgrzał się w słońcu, pod drzewem było zacisznie, prawie przypiekało“.

Wszedłszy do swego pokoju, przysiadła na łóżku i strzepnąwszy wsunęła go sobie pod pachę. Nigdy jeszcze minuty tak jej się nie dłużyły. Dobyła wreszcie i krzyknęła uradowana: temperatura była normalna. Zbiegła do kuchni, pomagała Zośce odbierać kurczęta. Do wieczora przetak był pełny i nastroszoną, gniewnie bijącą kwokę przeniesiono do potomstwa, na świeżo uścielone gniazdo, w kącie sieni.

O zmierzchu wpadła Baśka, chustkę miała zsuniętą na ramiona, kosmyki włosów włożyły jej do oczu, podgarniała je niecierpliwie. Zacierała ręce, zdrowy chłód ciągnął od pól.

— Wiecie — przygarnęła siostrę i Ariadnę, szeptała zadyszana: — Spółdzielnia otwiera kiosk przy stacji! Tadzik się zajmie dostawą, a ja będę bufetową. Kupię sobie biały czepek, nakrochmalony fartuch, zobaczycie, jak się interes poprowadzi, kwiatków nastawiam w gliniaki.

— To już nie będziesz z nami mieszkała — zasmuciła się Gardecka — szkoda cię, Basiu...

— Raz na tydzień wolny dzień, przylecę do was, nie bój się. Władysiovi przyniosę czekoladkę, bo u nas w bufecie będzie wszystko...

— A kiedy się pobierzecie?

Baśka zatrzepotała rękami, zaczęła grzebać w kieszeniach:

— Och, to się samo musi ułożyć... Mam do ciebie list, Arusia.

Dziewczyna z daleka poczuła okrągłe pismo matki, zgięła kopertę i schowała list do kieszeni, ale już Zośka podniosła krzyk:

— Przeczytaj zaraz, przecie myśmy ciekawi, co u ciebie w domu.

Matka zapowiadała swój przyjazd.

Ariadna ucieszyła się, ale zaraz ogarnęła ją troska na myśl o zamieszaniu, jakie musi ten przyjazd sprawić, matka była nieznośnie

energiczna i wszystkich lubiła uszczęśliwiać na siłę. Na pewno dom wyda jej się brudny, a pokój nieporęcznie zastawiony gratami, zażąda zmian, będzie przesuwała meble. Gdyby tylko mogła, poprawiłaby cały świat. Zacznie się od tysiąca zapytań: „Dlaczego nie zamieszkałaś u państwa S., przecież to tacy mili ludzie, znamy się jeszcze z L.“.

— Kanapkę spod okna damy na górę — powiedziała Zośka. — Władek może spać między nami — pokazała na szerokie małżeńskie łóżko. — Tylko ty, Baśka, nim się bufetową zrobisz, posprzątaj u Arusi, żeby nie było wstydu przed obcymi...

Nocą myszy chrogotały jak zawzięte. Ariadna uśmiechała się sennie; ciekawa była, co matka powie na tę menażerię.

Po północy zbudził ją blask księżyca. W pokoju wisiał świetlisty, zielony pył. Nagle zobaczyła myszy na podłodze ustawione w wielki krąg. Siedziały na tylnych łapkach, poruszały wąsami w milczeniu, kłaniały się sąsiadom w prawo i w lewo i znowu przebiegały parę kroków, by powtórzyć ruchy pełne powagi. „Taniec mysi — pomyślała zachwycona — one witają pełnię, pierwszą pełnię prawdziwej wiosny“. Podniosła się na łokciu, łóżko skrzypnęło, a myszy prysnęły w ciemne kąty pokoju. Rankiem, gdy wstała wesoła i wypoczęta, nie była pewna, czy taniec mysi przysnił jej się, czy widziała go naprawdę...

Mijały dni szybkie jak cienie obłoków, co suną po zielonych pagórach. Ariadna zrywała się z leżaka, z posilnej drzemki i szukała w szafie jedzenia.

— Niedługo braknie nawet okruszyn — mruczała karcąco, wbijając zęby w zeschniętą kromkę chleba, dobytą z dna blaszanego pudła — trzeba się będzie tłumaczyć przed myszami.

Wieczorami uczyła się pilnie. Czas był gwałtowny, naglił — przechadzka nie wystarczała, więc dziewczynka biegła ścieżką, rozkładała ręce na wiatr, prawie ulatywała. Krew jej niespokojnie tętniła w skroniach.

W drodze do Gospody kilka razy zaczepiali ją chłopcy, przechodziła ze sztuczną obojętnością, ale gdy ich minęła, uśmiechała się zadowolona. „Jednak podobam im się — myślała — jestem zdrowa, naprawdę zdrowa“. Oglądała w lusterku Zośki swoją drobną twarz, pociemniałą od słońca, brunatne, miękkie oczy, w których pojawiły

się teraz zaczepne błyski — wiedziała, że w żrenicach świeci powracająca siła młodości. Przyglądała palcem łuki brwi lekkie jak skrzydło jaskółki.

— Oczy ci się palą jak u kotki — mówiła Zośka — czekaj, czekaj, zobaczysz, że się zaczną pod domem zbierać kawalerowie.

— Ech, głupstwa pleciesz — oburzyła się Ariadna, ale w gruncie była zadowolona.

Matka, chociaż zapowiedziana, spadła niespodziewanie. Zamiast jak miejscy goście wziąć na stacji dorożkę, rozpytała się o drogę i przysła od pola ścieżkami. Zastała Gardeckich przy wieczerzy. Z listów Ariadny знаła całą rodzinę. Pohuśtała Władysia na kolanach, wydzieliła mu cukierka, a torebkę oddała Zośce pod opiekę. Skrzyczała Jaśka, że zwleka z operacją, namówiła, by dziecko powiódł do szpitala. Mrużąc oczy, sceptycznie obejrzała fotografię Baśki i Tadeusza, pokręciła nosem nad jego kędzierzawymi włosami. Prztyknęła palcem w kartonik.

— Nie lubię mężczyzn z baczkami, fałszywi... U nas mieszkał na dole jeden taki, zawsze mi się na schodach grzecznie kłaniał, a potem się pokazało, że konfident... — Widząc zdziwienie Gardeckich wyjaśniła dosadnie: — No, kapuś... Na ludzi donosił. Ten może nie taki, ale zawsze z baczkami trzeba ostrożnie...

Poszły z Ariadną do Gospody, ścieżką przez pola, świeciły piórka młodych zbóż. Dziewczynka śledziła czujnie grymas zniecierpliwienia na twarzy matki, oglądała całą okolicę, raz jeszcze jej krytycznym okiem. Na zabloconym progu wygrzewał się kot. Bardzo by chciała, żeby tego dnia zmieniono na stołach papierowe serwety, żeby jedzenie podawano szybciej, a podpity chłop mógł już wsiąść na furę i odjechać. Matka, gdy wyszły, powiedziała tylko jedno słowo: — Dziadostwo. — Córką szła za nią urażona, milczała, przecież dotąd było jej tu tak dobrze.

Poszły drogą koło cmentarza. Echo od murku podwajało kroki, górą złociły się na bukach lepkie miotełki liści. Powiało ciemnym zapachem jedliny, a struga głośniejsz zagadała pod przepustem. Matka przystanęła nagle i szepnęła: — O jak tu ładnie...

Krzyże zupełnie nikły w opłotach zeszłorocznych jeżyn, świerki rozpostarły swoje ciemne łapy, ponad ich czubami sunęły obłoki zmienne w kształcie, świetliste, pełne wewnętrzznego wrzenia.

Smiałym krokiem przeszła matka po mostku z ruchomych dyli i pchnęła zardzewiałą bramkę. Ariadna widziała, jak kark matki poczerwieniał od słońca, wiatr stroszył siwe włosy zaczesane wysoko.

Wystarczyło wejść w pierwszą aleję, aby zaznać ciszy. Turkot pobliskiej drogi, zgrzyt obręczy, klekot kopyt i poświstywanie woźnicy odbijały się echem od muru, ale nie przenikały w głąb cmentarza. Tu nawet gałązki świerków, młode, zieleniutkie igły pachniały inaczej. W gęstwie, w cienistych niszach fioletowymi lampkami dopalały się ostatnie krokusy. Kos przebiegł pod gałęziami, użalił się jak wilga i demonstracyjnie wytarł żółty dziób w zeszłoroczne liście, aż zaszeleściło szeroko.

Z blaszanych tablic na drewnianych krzyżach szły ku nim nieme błagania: „O Pozdrowienie Anielskie, o wieczne odpoczywanie, o nabożne westchnienie“ ...

Przeszły parę kroków w milczeniu, zatrzymały się zaskoczone, w gęstwie jałowców kipiała świeża, tłusta ziemia. Kopczyk rósł w oczach, z niewidocznego dołu wylatywały grudy próchnicy, splątane kłębki korzeni, nadbutwiałe gałęzie, aż ku ścieżce toczyły się kamyki. Było coś niewymownie groźnego w otwierających się wnętrznościach ziemi, głucho dudniły uderzenia kilofa. Na odsłoniętej ścianie widniało przyczajone, sprężyste pogotowie roślinne. Tryskały zwinięte różki liści konwalii, wyginały się skręty paproci, wisiała ruda broda korzeni świerkowych.

Na dnie dołu kuł kilofem stary góral. Słońce plamkami obsypało mu białą koszulę. Na chojaku z odrąbanymi gałęziami, których krótkie sęki zastępowały szczeble drabiny, wisiał serdak i kapelusz z jastrzębim piórem. Siwe włosy, gdy nabierał zamachu, spadały mu na czoło. Wyrzuciwszy łopatę szutru z dna, gdy cienie kobiet dotknęły go lekko, rozprostował się i przypatrzył uważnie nadchodzącym.

— Niech będzie pochwalony. Nie macie ognia czasem?

— Na wieki — odpowiedziała matka, rzucając mu pudełko, i z właściwą sobie żywością zapytała — ciężka robota? Dużo na takim dole da się zarobić?

Stary powoli wyjął fajkę, zachrząścił macherzyną z tabakiem i krzywiąc usta pykał nikłym dymkiem.

— To honorowa robota, ostatnia posługa. Dawniej był tu gróbarz, ale pijanica nie szanował zmarłych, teraz się bractwo zajęło smentarzem...

— Pan tak sam, bez pomocnika, nie szkoda się mordować?

— Wolę sam, po co mi ma kto brzęczeć za uszami. Jak tu kopię, to ze zmarłymi rozmawiam, bo z tego miejsca całe życie jak na dłoni.

— Pewnie, żeśmy wszyscy grzeszni — westchnęła matka — winy człowieka gniotą...

— O grzechy mniejsza, złe nie jest silne, trzeba żałować i zdać się na boskie miłosierdzie. Strach ino, jak się człowiek obejrzy, a tyle dobrego mógł zrobić i tak letko, aby się schylić — i nic. Poszło mimo... To dobro nieprzyczynione najbardziej straszy i gniewa...

Jak se tak ziemię tutaj drążę, widzę, ile się ludzie nauganiają, namęczą — a to wszystko proch i marnota... O, choćby ten Wawrytko Michał, co leży obok. Dulary składał, papirek do papirka, a puszył się, a nosa zadzierał... Myślałbyś, że nimi sobie drogę do nieba wymości. I co? Leżał na tych dularach, jak go niemoc chyciła. A przez zimę myszy pod nim, wszystko na trot ścięły, więc mu na umysł padło i obwiesił się...

Ej, niesie nas to życie, niesie... A wszystko piana i szum, prawda siedzi w człowieku i trzeba jej dojść, choćby cały świat drogę zastępował... Ale trzeba śmiało natrzeć, przepuści, panienko, — zwrócił się nagle do Ariadny — nie ma na świecie takiej siły, co by prawdę przysłonić mogła. Ludzie się tego miejsca boją — tupnął w rozrytą ziemię — a tylko stąd na obie strony widać i każda rzecz ma swoją przyrodzoną miarę, nie może zmamić człowieka.

Dziwicie się tej drabinie, choć tu smentarz, tylko taka się ostoi. Inną żywi wyniosą. Złodzieja nie posiejesz, a wyrośnie.

— Idźcie z Bogiem — zachrypiał — a jak już was tu umarli zwabili, to pocieszcie ich paciorkiem.

Wsparł nogę na dolnej gałęzi, patrzył zadumany w kłacza wiszących pędów. Świeciły siwe włosy nad ciemną twarzą, pobrużdżoną, drewnianą. Wycofały się więc na palcach. Widziały, jak z głębi dołu unosił się niebieskawy dymek machorki.

Obłoki sunęły ponad wierzchołkami drzew, niezmiennie, niezmiennie od wieków, przerażały świetlistą bielą i kamiennym spokojem.

— Czy wiesz — powiedziała do matki Ariadna — że to ostatnie miejsce... Uważałam je prawie za własne...

— Dostyc głupstw — potrząsnęła ją matka za ramię. — Jutro pojedziesz ze mną na przeświecenie. Ja chcę wreszcie znać całą prawdę... Dlaczego matka o wszystkim ma się dowiadywać ostatnia... Co ty przede mną kryjesz?

Wzburzone w milczeniu szły po szosie, lekki kurz z niej się zrywał i matowym złotem świecił roztarty, wysuszony koński nawóz.

Ledwie dzień minął od przyjazdu matki, a dziewczyna poczuła się zmęczona jej obecnością. Pod pozorem, że przegotuje mleko, zeszała na dół do kuchni, szukała samotności. Tępo zapatrzyła się w ogień błyskający między fajerkami, nadśluchiwała, jak trzeszczą gałązki. Pod sufitem twardo stukały kroki, w pokoiku miotła się matka porządkując szafę.

— Ja ci zrobię takie gniazdko, że w ogóle stąd nie będziesz chciała się ruszyć — wołała przed chwilą. Wyciągnęła z walizki bluzkę z zielonej lamy, przyglądała palcami. — Trzeba ją nareszcie spruć i przerobić na ciebie. Ariadno, Ariadno — powiedziała z wyrzutem — czym tyś się wieczorami zajmowała? Kisłaś, po prostu kisłaś tu z lenistwa. Nie dziwię się już, dziewczyno, że przy takim trybie życia można się wpędzić w chorobę.

Stukanie obcasów, które niosło się pod powałą, drażniło Ariadnę. Przywykła do ciszy, dojrzewała gwałtownie, chciała odzyskać pokój znowu dla siebie, stanąć w otwartych drzwiach, modlić się spoglądając ku obłokom.

— Młodą masz matkę, Arusia — schlebiała jej Zośka, zapędzając kury do sieni. Kwoka gdakała swarliwie, rozglądała się niespokojnie, gdy popiskujący drobiazg żółtą strugą przelewał się za próg. — Siedzieć, siedzieć, nie złoście się, stara.

Gospodyni zastawiła kąt wywróconą ławą: — Wiesz, tak nas twoja matka ochrzaniła, że jutro jedziemy z dzieciakiem, to i was się podrzuci furką do szpitala.

W otwartych drzwiach do sieni zaciemniała sylwetka Baśki. Kwoka zaskrzeczała, podniósł się pisk kurcząt, tłukła skrzydłami po gnieździe.

— Dobry wieczór. Skoczyłam do was na chwilę. Jutro bufet zamknięty. Robimy remanent.

— A witaj... Tylko drzwi przymknij, bo się kury popłoszą, dopiero co zegnałam z podwórza. Jak ci tam leci?

— Chwalić Boga, ruch jest. Przyszłam, żeby mi Arusia książkę rachunkową podliczyła... Trzeba sprawdzić...

— Już ci się kasa nie zgadza?

— A już... Coś mi się widzi, że mnie Tadek podbiera... Ale jak to wyjdzie, wywalę na zbity łeb i sama poprowadzę.

— O, co cię tak odmieniło? Chłopca stracisz...

— U mnie wesoło, co wy tam wiecie... Nie będzie ten, będzie inny. A wiesz, dziś bociany osiadły na zbiorniku z wodą przy samej stacji i zaczęły gniazdo klecić, wszyscy je oglądali, ale zawiadowca kazał pospędzać, to się obraziły i poszły...

— Ej, Baśka, nie zagaduj, żebyś ty się tylko nie ważyła psuć — pogroziła jej z powagą starsza siostra.

— Coś ty — wzruszyła ramionami dziewczyna — a wiecie — doskoczyła — że Głuszkowa kipnęła. Masz tu księgę, Arusia.

Podeszły pod okno. Ariadna nachyliła się nad kolumnami rachunków, serce jej biło gwałtownie. Czerwonawy odbłask rozlewał się po kartkach.

— Drugi dzień już nie wychodziła, więc się pocztmistrz zaciekał, obszedł od podwórza, zagląda przez okno, a ta leży na środku izby. Jutro pogrzeb. Tyłu naodprowadzała, patrzcie, przyszła i na nią kolej...

Zagadały się tak, aż nagle zaskwierczało po blasze i matka zbiegła ze schodów: — Trzy was jest i nie widzicie, że kipi, swąd, że się udusić można.

Szybko mokrą szmatą zgarnęła mleko z pieca, otworzyła drzwi do sieni. Niebo już pociemniało, Zośka zdjęła szkło z lampy nafkowej, obrównała knot nożyczkami.

Leżąc w łóżku matka zapaliła papierosa, surowym głosem pouczała Ariadnę. Ale przerwy w odpowiedziach dziewczynki stawały się coraz dłuższe, wreszcie matka zapytała szeptem: — Śpisz już? — I sama odwróciła się na bok, zaskrzypiały deski wbrew zapowiedziom, że na nowym miejscu trudno jej wypocząć, zasnęła niespodziewanie.

Ariadna tej nocy nie spała wiele. Myślała o Głuszkowej, usiłowała przypomnieć sobie wyraz jej oczu i teraz dopiero przekonała się, jak pamięć jest nietrwała, obraz zarysowywał się fragmentami, niejasno, to nabierał ostrości, ale straszył zniekształceniami wyobraźni. Spod białej chusteczki zamiast kobiecej twarzy szczyrzył żółte siekacze ryjkowaty pyszczek mysz. Odpędzała widzenie modlitwą za dusze zmarłych.

W pokoju, gdzie z wieczora słyszała jeszcze szelesty przebiegającej gromady, teraz groziła rozrastająca się cisza. „Czują obcego — myślała Ariadna — dlatego się pochowały“. Bukiet krótko zaszczekał, psy z wioski odpowiadały mu, byle zbyć... Zośka zbiła dzieciaka, bo się złał do kołyski. Kanapka była za krótka na Ariadnę. Właściwie ta noc miała już smak pożegnania.

Usłyszawszy lekkie chrobotanie, myślała ze wzruszeniem: „Czy one będą pamiętały o mnie? Tak im dogadzałam, taka byłam dobra dla nich“.

— Żegnajcie, myszuniu — tchnęła — żegnajcie, bo już się nie zobaczymy.

Nad ranem usnęła z ogromną czułością w sercu.

Dzień pojawił się od razu w pełnym blasku. Jasiiek wyprowadzał konie, podkowy zadzwoniły na kamieniach i Bukiet odprowadzał go szczekając pochlebstwa. Zośka krzykliwie popędzała Władysia, który to nagłe ubieranie uważał za świetną zabawę.

— Zostawcie pościel, tak jak jest — wołała do Ariadny — Baśka ma wolny dzień, to posprząta. Rzuć miotłę i chodźcie na kawę, musimy się śpieszyć, bo się chorzy napchają do lekarza.

Tuż przy progu Ariadna zobaczyła martwą mysz. Leżała z podkurczonymi łapkami, oczka miała zasze niebieskawym dymem. Był to Chrobotek, poznała go od razu. Zagryzając wargi, wsunęła mysz do pustego pudełka z papierosów i postanowiła pochować, gdy powrócą. Pełna złych przeczuć wyruszała w drogę.

Kiedy wracali, strzępiaste obłoki przysłoniły słońce. Sypnął się gruby deszcz. Wjechali pod drzewa, ale młode liście nie dawały osłony, tylko się płochliwie rwały jak do lotu. Mały spał zaryty w poduszkę. Trzeci migdał, który go dławił w gardle, lekarz wyłuszczył łatwo, Władys raz tylko zachłysnął się krwią i było po wszystkim. Zośka trzymała nad śpiącym dzieckiem grubą chustkę,

krople deszczu cykały głośno. Z końców włosów ściekały jej na policzki tęcze krople.

— Schowajże się — zawołała matka, wpychając głowę Ariadny pod rozpięty płaszcz. — Jeszcze mi się przeziębisz...

— Słyszałaś, co doktor mówił — wzruszyła ramionami zuchwale — jestem zdrowa... Jestem zdrowa jak koń.

Słońce na zboczach pagórów wybuchało już złotymi plamami, jaskrawo paliło się świeże listowie. Wzmagaly się zapachy. Chwiejne tęcze wisiały w bryzgach ulewy. Kto by się chciał przed takim deszczem chronić? Sierść na koniach pociemniała, zapachniało wierzbowymi gałązkami, zmoczonym kocem, raz i drugi dobrotliwy grzmot przetoczył się po górach.

— Będzie latoś urodzaj — pokiwał głową Jasiek i przeżegnał się — aż słyhać, jak zboża piją deszczówkę.

Koleinami, skrajem drogi szorowała woda, w brzdach błyskały strumyki, dokoła słyhać było świergotliwe ciurkanie, ziemia ssala wody strząśnięte z błękitów. Niezliczone kielki wysuwały chciwe dzioby, każdy liść ugiął się pod ciężarem kropli, ale ją podtrzymywał, przelewał, studził jak ognistą perłę i powoli wysączył. Woda upajała, miała w sobie moce błyskawic, drzewa ulatywały, trawy syczały zielonym płomieniem, z podmuchem wiatru wbiegały na wzgórze, zboża ciągnęły się, wspinały na palce, po prostu rosły w oczach.

Oplukane niebo przyzywało ptaki. Ariadna zapatrzyła się w ostatni obłok.

Zośka z czułością nachyliła się nad synem, wracały mu już kolory, w oddechu drgał jeszcze niedawny płacz. W rączce trzymał pusty, rozmiękły wafel po wylizanych lodach. Zaciskał powieki, bo przez gałązki wierzbowe słońce łaskotało go po nosie, jakbyś wodził kłosem.

Kiedy mijali cmentarz, zobaczyli chwiejące się ponad murem czarne chorągwie bractwa, śpiew załamany echem dudnił między świerkami.

— Chowają kogoś — powiedział Jasiek ściągając konia — pójdziemy, Arusia, popatrzeć...

— Pewnie to będzie Głuszkowa... Idźcie, ja tu przy dzieciaku zmówię paciorek.

Ludzi zebrało się niewielu, proboszcz kończył modły, a grabarze stali już w rozkroku ze sznurami w garściach poplamionych żywicą. Jałowce żałobnie dymiły ostrą wonią.

Ariadna nachyliła się nad grobem, sięgając po garstkę ziemi, chłodnej, zdeptanej od niedawnego deszczu. W głębi dołu niebo świeciło błękitem, wydało jej się, że trumnę opuszczają w kłujący blask, światła chodziły po ścianach grobu. Dopiero gdy ludzie zaczęli ciskać piasek, usłyszała pluskanie wody, co się zwierciadliła na dnie.

Pocztmistrz już wkładał czapkę, podkręcał wąsa. Rumieniec mu wystąpił na zapadnięte policzki.

— O, tu ją czułem — gładził się po żołądku — ale była jędzusia... Jakby mi od trzech dni kamień zdjęto.

Ludzie już się rozchodzili pośpiesznie. Jakaś dziewczyna, tuż za bramą, wyskubywała z trawy pierwsze fiołki.

Tylko synowie stali nad grobem do ostatka. Trzech wysokich, z miejska ubranych mężczyzn, w twarzach mieli dziecinny wyraz zawiedzionego gniewu, jakby ich skrzywdził ktoś dużo silniejszy, komu nawet we trójkę nie daliby rady.

Bukiet z daleka powitał gospodarzy radosnym jazgotem. Czułość grała mu w zdławionym gardle.

Mały, przeniesiony do izby, rozbudził się w ciszy, zapłakał, ale zaraz zapatrzył się na motyla, co rozkładał pawie oka na ramie okiennej.

— Wszystko w porządku — zapytała Zośka — bydło napojone?

— Pewnie, a coś myślała — krzyczała Baśka — nie wydziwiał, tylko siadajcie jeść.

— A tej co się pomyliło? — zafrasowała się gospodyni, przykucając nad nastroszoną kwoką. — Trudno ją wieczorem zapędzić, a tu już jej się zebrało na spanie!

Kura dziobnęła ją słabo w wyciągniętą rękę. Zakwiliły kurczęta zaszyte pod skrzydłami.

— Przecie ona je zatarasi! O, Jezu kochany, cóż im się stało?

Dobylała jedno po drugim, piskłeta nie mogły już ustać na nogach, kładły się, przebierały bezradnie łapkami.

Plącząc Zośka poila je śliną, włożyła do przetaka i wsunęła w szabaśnik, myślała, że im ciepło przywróci siły.

— Coś ty im dała, cholero, popatrz, zobole mają jak kamyki... O Jezu, taki śliczny kogutek — łkała, widząc, jak czarne oczka zachodzą niebieską błonką, a żółty dzióbek otwiera się bezgłośnie.

— O, Jezuniu, kurczęta moje malusie — jęczała klęcząc, a kwoka wtórowała jej bolesnym skrzeczeniem.

Ariadnie ścisnęło się serce, pobiegła na górę.

— Mamo — szeptała przez łyzy — coś się kurczętom stało, nie mogą już na nogach ustać...

— Co ty mówisz? — zdziwiła się życzliwie — zdarza się czasem pomór na ptactwo... Zajmij się swoją robotą, trzeba rzeczy spakować, pamiętaj, że wieczorem jedziemy.

Układała starannie bieliznę do walizki.

— Tę bluzeczkę z lamy to już ci przerobię w domu, dobrze, że jej myszy nie ścięły. Jakem zajrzała do szafy, aż mnie strach ogarnął, pełno mysich kupek, gospodarzyły tu bezczelnie! A tyś nawet nie raczyła otworzyć pudełka z trucizną, znalazłam je na samym dnie walizki... Ty nazywasz to sercem, a ja — głupotą. Ale już koniec z myszami, wczoraj rozsypałam całe pudełko po kątach, nie będą się tu więcej panoszyć.

— Coś ty zrobiła! — przycisnęła Ariadna dłonie do serca i wybuchła głośnym płaczem — ty nawet nie wiesz, coś zrobiła...

— Jak to co? Każdy rozsądny człowiek przyzna mi...

— Jeszcze nie rozumiesz — łkała dziewczynka — nie dotykaj mnie, słyszysz! Przez ciebie całe to nieszczęście...

Zośka Gardecka przywabiona płaczem pokazała się w drzwiach.

— Nie płacz, Arusia, no, trudno... Tak już bywa, że jak się człowiek najbardziej cieszy...

Ariadna siedziała na łóżku przygięta, z twarzą w dłoniach, wstrząsał ją głęboki płacz. Palił ją wstyd za matkę, poczuła się nagle wszystkiemu winna; przecież tak była dumna, że pozyskała przyjaźń płochliwych zwierzątek, tak jej ufały...

Stanęli nad nią kręgiem — Gardeccy i Baśka z rozwichrzoną głową.

— Co tam, Arusia, cichaj... I tak by się je posprzedawało na zarznięcie — pocieszał ją Jasiek — nie rozpaczaj...

— Ale byłyby już podchowane, nacieszyłyby się nimi człowiek, wydałabym je po jednym — żaliła się Gardecka — wtedy serce nie boli...

— To ja jestem wszystkiemu winna — podniosła głowę Ariadna, objęła nachyloną Zośkę i przywarła do jej twarzy zlanym łzami, rozpalonym policzkiem. — Wybacz, mi droga...

— Ariadno, przestań — powiedziała matka, zatrzasnąwszy wieko walizki i opasując rzemieniem — nie ma o czym gadać. Zatrute ziarno ja sypnęłam myszom i nie widzę powodu, żeby się z tym kryć. Ale zapewniam cię, że kwoki u nas na górze nie było, więc nie można łączyć tych dwóch faktów bezmyślnie.

— Nie ma o co rozpaczać — pogładziła Ariadnę Baśka — nasadzimy drugą kwokę, nie jest późno, nawet na podkopki legną się kurczęta... Na mnie czas, poniosę paczki na stację, a wy lekutko zejdzicie ścieżkami, bo koni szkoda, dosyć się dziś zgoniły...

Pochwyciła walizkę i pakunek, zbiegła żywo po schodach.

— A tę co za dobroć naszła? — zadziwił się Jasiek.

— Przeklęty fletjuch — poderwała się Zośka — ona przede mną ucieka... Nie mogła trzech kroków postąpić, bo deszcz lał i za próg wytrzepała zmiecione ziarno... Przecie ona dziś tu sprzątała, och, dałabym jej po łbie...

Zamachnęła się pięścią.

— Zosiu, nie gniewaj się na nią — prosiła dziewczynka — tyle samo i naszej winy.

Matka otworzyła szafę, na ramiączku wisiała mieniąc się zielono bluzka z lamy.

— Och, zapomnieliście, co najładniejsze — poderwała się Gardecka.

— A może ją chcesz — ucieszyła się Ariadna — to ją weź, Zosiu!

— Ale te kurczaki tyle nie warte...

— To za serce, za opiekę nad Ariadną — powiedziała matka — niech pani śmiało bierze.

— Dziękuję ci, Arusia — ucałowały się gwałtownie i uściśły mocno.

Zośce już się oczy śmiały, choć rzęsy miała lepkie od łez. Przy mierzyła bluzkę pospiesznie.

— Popatrzcie, leży jak ulana — głaskała dłonią śliski jedwab. — Ale chodźmy jeść, bo przestygnie... I trzeba na odjezdnym kropnąć sobie kielicha.

Zatłoczyli się w stromym zejściu.

— Wiesz, Arusia — obejmowała ją Gardecka — pobeczałam się o kuraki, a teraz mnie znowu na płacz zbiera, bo ty jedziesz... Wolałabym nawet, niechby mi padła cielisia, tylko żebyś ty została, całkiem cię przybraliśmy za swoją...

Władys się rozkrzyczał przy pożegnaniu, więc Zośka musiała zostać w domu. Gardecki odprowadził ich kawałek, uniósł drąga, co zagradzał przejście na łąki. Bukiet spuszczonej z łańcucha sadił długimi susami, kosmata kita obciążonego ogona sterczała mu triumfalnie. Nie zważał na czajki, które kwiląc miotwały mu się przed nosem, odwodziły od gniazd. Wreszcie i on zaszczekał krótko: „dalej nie mogę“ — i zawrócił ku domowi.

Matka szła szybkim krokiem, mrużyła oczy pod słońce. Milczały przyjaźnie. Dzień już się przechylił, powietrze poróżowiło.

Ścieżka wiła się skrętami po stromym stoku, Ariadnie wydało się, że stąpa po ciele czarnego węża pełzającego wśród traw.

„Pół roku minęło — pomyślała — przeleciało pół roku... Właściwie nic się ważnego nie stało, a jestem zupełnie odmieniona. Może to robi zdrowie, ale chyba nie... Stałam się innym człowiekiem“.

Zadumana kroczyła lekko.

„Każdy przechodzi próby na miarę swego serca, a moje jest małe... Podarowałeś mi świat i byłeś ciekawy, co z nim pocznę, a ja — uśmiechnęła się z czułą chytrą — chyba go Tobie oddam“.

— Szkoda tej bluzki — odezwała się matka — teraz o taki materiał trudno, ale ty się zawsze pospieszysz, nie wypadało mi protestować...

— Ach, mamo, przecież ja i tak bym jej nigdy nie włożyła. — Właśnie dochodziły do muru cmentarza, zapachniało nagrzanym igliwem, szpaki zachłystywały się od śpiewu, a potoczek mruczał przyjaźnie. — Czy byłabyś bardzo zaskoczona, gdybyś nagle została sama?

— Nie mów głupstw, złe już za nami... Nie ma co wspominać. Musisz się teraz uczyć, trzeba skończyć szkołę, a potem pchać się na studia... Jak tylko wrócimy do domu, wezmę cię krótko, braknie ci czasu na roztkliwianie się nad sobą...

Ale Ariadna nie myślała o śmierci. Nigdy nie była bardziej wychylona ku życiu. Nie śmiała wymówić słowa „powołanie“. Przystanęła na chwilę i zapatrzyła się w błękit omdlewający w szparze różowych obłoków. Odpowiadając na wezwanie, szepnęła tylko:

— Och, jak dobrze jest kochać...

Przeniknęło ją ogromne szczęście, właściwie już wypowiedziała słowa ślubowania.

Matka przygarnęła ją ramieniem.

— Tak, malutka, dobrze, że się tak kochamy...

Ariadna nie śmiała sprostować. Przytulone do siebie, pojednane, schodziły po trawiastym stoku w stronę stacji.

Wrocław, 50.

TRAGICZNA HISTORIA FRANKA RAKOCZEGO

I. W a l k a

1

Historyk literatury jakże często stwierdzać musi słuszość orzeczenia Norwida o przyszłości - korektorze. Wieleż to razy przychodzi mu dostrzec, jak gruntownie w ciągu niedługiego czasu zmieniają się perspektywy sądu i odwraca ustalona hierarchia wartości. Co wczoraj było na wyżynach uznania, otoczone ponętą poczytności, blaknie i obniża się dzisiaj, i na odwrót. Syn mija pismo a wnuk je wspomina z szacunkiem. Nierzadko zaś nie jest ciekaw tego, w którym tamten był sobie upodobał. Za daleko by nas wiodło dochodzenie przyczyn tego zjawiska, wcale skomplikowanego. Dość będzie je stwierdzić i dość pokazać na jednym przykładzie.

Od pogranicza wieków XIX i XX minęło 50 lat, a jakże odmiennie szacujemy tamte sprawy, tamtoczesny układ uznania. Ileż to z owoczesnych bezspornych wartości nie wytrzymało próby czasu! Któż dziś bez przymusu sięgnie po którąkolwiek z książek Przybyszewskiego, ongiś bożyszcza dnia? To samo by powiedzieć o tzw. „psychologicznych“ romansach współczesnych K. Tetmajera. Odeszły one w przeszłość i nie potracają w nas żadnej lub prawie żadnej struny wzruszenia. A były kiedyś wydarzeniami doby.

W przeciwieństwie do tego niejeden z twórców podówczas wcale nie czołowych obchodzi nas dziś żywo, jest przedmiotem uwagi, nawet sporów, polemik, nie stracił więc na świeżości zainteresowania, owszem, wzbudza żywsze może niż ongiś. Doskonałym przykładem może być twórczość Wł. Orkana. Węzły życia pochwycone w jego powieściowych ujęciach ukazują się nam dziś jakże żywe, jakże aktualne, aktualniejsze niż przed półwieczem.

Zajmie nas tu na chwilę jeden zwłaszcza jego utwór, co prawda najznaczniejszy, powieść „W roztokach“, dzieło 26-letniego podówczas autora. Ono mu zjednało sławę, ono go postawiło w przednim

szeregu naszych powieściopisarzy, i nie zbladło po dziś dzień. Rzeczywiście jest to przejaw zdumiewającej erupcji twórczej. Tak oczywiście odbiega ono od tego, co Orkan dał w doowoczesnym dorobku, i tak nieodparcie ciąży nad późniejszymi drogami jego twórczości. Wejdźmy do wnętrza tej budowli.

2

Powieść Władysława Orkana „W roztokach“ ukazała się jako książka dopiero w r. 1903, ale jest dziełem znacznie wcześniejszym.

Autor tworzył ją długo, budował rozważnie. Jesienią 1899 r. przystąpił do pisania z całą pasją twórczą. Dn. 8. X. t. r. donosił E. Bobrowskiemu: „Powieść szkicuje“. Jest to najwcześniejsza wzmianka w korespondencji o tym utworze. Szkicowanie musiało być już daleko posunięte, skoro w tydzień później autor mógł zapowiedzieć Wysłouchowej nie tylko rozmiar powieści (liczył, że będzie trzytomowa), ale i wiązania treściowe: „... Od powieści trudno mi się oderwać, bo mię gorączka pali... Poruszam w niej kwestie piekące jak: sprawy agrarne, wybory, sądownictwo etc. Treść: walka postępu z konserwatyzmem wiejskim“¹⁾.

Liczył, że się z nią upora jeszcze tego roku, atoli w grudniu przerwał pracę, żeby wykończyć dramat „Ofiara“. Przerwa nie była wprawdzie długa, ale rozmiary pracy bardzo się rozrosły. Powieść wzbogacała się w nowe wątki. Mimo różnych wahań i przejściowych zwątpień Orkan wytrwał wszelako w rozpędzie twórczym i na Boże Narodzenie 1900 r. donosił — przedwcześnie zresztą i tym razem — Wysłouchowej: „Roztoki“ prawie skończone; pozostaje żmudne przepisywanie, z którym chciałbym się jak najprędzej uporać“.

Ostatecznie jako daty ramowe zanotował sam autor pod gotową już powieścią: 1899—1901, ale wiemy, że nad rozdziałami końcowymi pracował jeszcze nawet w r. 1902. Nie czekając zresztą dokończenia drukował drobne jej fragmenty po czasopismach już od r. 1900²⁾, całość ukazała się w r. 1902 w odcinkach dzienników: warszawskiej „Gazecie Polskiej“ (od nru 2) i w „Kurierze Lwowskim“, w roku następnym zaś w dwóch tomach nakładem lwowskiego Towarzystwa Wydawniczego.

¹⁾ Do M. Wysłouchowej z Poręby dn. 13. X. 1899 r.

²⁾ W krak. „Młodości“ (nr 4—5), w „Wędrowcu“ (nr 50), w „Krytyce“ 1900 i 1901 r.

Lata 1899 i następne wypełnia jednakże praca nie nad samą tylko tą powieścią. W tymże czasie Orkan poprawił „Pomstę“, kończył „Ofiarę“, kończył „Komorników“, przymnażał nowel i obrazków do tomu „Nad urwiskiem“, napisał poemat „Z tej smutnej ziemi“, a nie obyło się też bez artykułów i poezji drobnych, wysyłanych do czasopism.

Wyznaczywszy w ten sposób jakby kalendarz synchronistyczny, jakby mapę plonów owoczesnej twórczości, łatwo zdamy sobie sprawę z szerokości i natężenia rozmachu twórczego, ocenimy zarazem urodzajność gruntu, bujność miazgi twórczej, z których się wywiązała i z których wyrastała niniejsza powieść. Widać stąd najoczywiściej, że „W roztokach“ jest owocem lat wielkiego urodzaju w dziejach twórczości młodego Orkana.

Owocem okazał się, najwspanialszym. W dorobku 26-letniego autora pierwsza to powieść na wielką miarę. Wznosi się ona ponad tworzone poprzednio i współcześnie obrazki, nowele i szkice powieściowe, jak potężny dąb wyrasta ponad okolną krzewinę. Jest to utwór, w którym autor postawił sobie wysokie, ambitne zamysły i ambicjom tym sprostał, który też — ogłoszony — zajął od razu jedną z bezsprzecznie czołowych pozycji w owoczesnym polskim powieściopisarstwie, ważąc zarazem niemało (po trosze jak „Ludzie bezdomni“) w rozwoju ideologii naszego życia społecznego i w naszej uczuciowości.

Rozejrzawszy się zaś bliżej w charakterze zarówno tworzywa jak i wyrazu owoczesnego plonu literackiego, zauważymy łatwo, że powieść „W roztokach“, będąc punktem szczytowym młodzieńczego okresu twórczości Orkana, stanowi zarazem jego zamknięcie i przekroczenie. Powstała ona w tym momencie, w którym burzliwa, pulsująca rodzajność wiosny przechyła się już w spokój lata, skąd już się otwierają perspektywy na okres nowy. Jest to więc pozycja jakby graniczna. Toteż wyda się rzeczą słuszną, że zechcemy jej tu poświęcić uwagę więcej szczegółową.

3

Wiele się mówi o niciach wspólnych wiążących tę powieść z wcześniejszymi „Komornikami“; wiadomo, że sam autor uważał tamten swój utwór za rodzaj prologu. Tak jest rzeczywiście. Waż-

niejszą atoli będzie sprawą uprzytomnić sobie, w jakiej mierze utwór główny z prologiem się nie wiąże, o ile od niego odchodzi. To nam da zarazem pojęcie o kierunku i tempie przeistoczeń postawy twórczej autora.

Jeżeli wziąć pod uwagę świat przedstawiony w obu powieściach, ich środowiska społeczne, uderzyć musi, że „W roztokach” szczupło stosunkowo uwydatnił się krąg komorników. Oczywiście są tam oni: jest Tekla wyrobnica, towarzyszka doli Margoški i Jagnieszki, jest Bekac i Chudomięt; z życia ich komorniczego odsłonięto strony nowe, w pierwszej powieści nie traktowane. Niemniej prawdą jest, że sprawy ich zesunięto tutaj na margines. W szczególności nie od stworzył autor ani jednego ośrodka domowego ich bytowania, ich życia na codzień w chałupinie własnej, czy „na komorze”. Co ważniejsza, nie ujął on sprawy proletariatu komorniczego w jej oglądzie społeczno-politycznym, nie pokazał — jak spróbował w tamtej powieści — kolizji powszednich interesów komorniczych z gazdowskimi, nie związał ich w konflikt stanowy. Nie zainteresowali go zupełnie jako siła społeczna. Natomiast kładzie on nacisk na sprawę inną: na uciążliwość porządku prawnego, państwowego, nieznośnego dla najbiedniejszych, a więc np. na bezwzględność egzekutora podatkowego, zabierającego ostatnie ciele, czy strażnika rzecznego, grożącego aresztem za złowionego pstrąga. Ale nawet sprawa ograbienia przez wójta komorników z praw wyborczych dotknięta została w powieści zaledwie mimochodem, nie stanowi ona znaczniejszego atutu Rakoczego w walce społecznej.

Musi to uderzyć, kiedy pamiętamy, że sprawa chałupników i komorników na wsi galicyjskiej to, jak wiadomo, sprawa $\frac{1}{3}$ części mieszkańców, sprawa społeczna o dużym ciężarze gatunkowym. Wygląda bowiem tak, jakby ognisko zainteresowania uczuciowego u autora „W roztokach” przesunęło się nieco. Ale przesunęło w sposób bardzo znamieny.

Zainteresowanie to jakby zeszło o jeden stopień niżej. Ognisko uwagi przeniosło się z komorników na ostatecznych już pasierbów losu: na biedotę bezdomną, tudzież na najnieszczęśliwszych, na połamańców i pomyleńców wyrzuconych właściwie poza obręb społeczności wiejskiej. Tych zwłaszcza jest w stronach rodzinnych Orkana stosunkowo dużo. Są to okolice o wodzie niedostatecznie najejodowanej, co powoduje u wielu zniekształcenie tarczycy, wole,

a częstokroć też upośledzenie umysłowe. Dużo się tam pląta takich niewydarzonych ciemraków, niedorozwiniętych sietniaków — istności ludzkich zepchniętych na samo dno nędzy. Nie dość rozgar-nieni, żeby zarobić sobie na życie, z ojcowizny wypchnięci przez rodzeństwo, żyją na łasce (raczej niełasce) losu, żarci przez zimno, głód i robactwo.

Autor „W roztokach“ spojrział i na to dno bytowania wiejskiego. Pragnąc ogarnąć ciasny swój świat w całej jego złożoności i w całym zróżnicowaniu psychicznym i społecznym, włączył w krąg uwagi i te sfery bezmownej tragicznej doli.

Takie skierowanie uwagi artystycznej nie odbiegało zasadniczo od programu powieściopisarskiego naturalistów, którzy odtwarzając zło istnienia wchodzili chętnie i w tę dziedzinę najbardziej upośledzonych odpadków społecznych, odślaniali ogniska ich krzywdy i cierpienia. W wykonaniu atoli tego programu tryumf Orkana-artysty zabłysnął w całej pełni. Przybliżył on oczom naszym cały ten świat Cyrków, Drozdów, Diabłów z miłościwą uwagą, ujawnił z najbardziej współczującą wnikliwością i odtworzył z nieodpartą sugestią wyrazu. Jest to osiągnięcie artystyczne jedno z przednich, a dla Orkana najznamienniejsze. Ono to uwydatniło w jego obliczu literackim rysy najbardziej charakterystyczne, te, które najwyraźniej uwypuklają jego osobowość twórczą.

4

I ten świat wszelako — acz w powieści najbliższy sercu Rakoczego — nie stanowi wyłącznej odskoczni dla jego zapędów reformatorskich. Nie on to w głównej mierze daje podstawę operacyjną do jego walki o przeistoczenie wsi.

W ogóle trzeba przyznać, że ta podstawa operacyjna nie od razu została w powieści sformowana w sposób dostatecznie jasny. Nie zawsze da się określić, w czym imieniu Rakoczy podejmuje walkę. Że są mu nienawistne rządy Suhaja i wszystkich tych „rodowych“ jego popleczników — to jasne. Ale dlaczego?

Nie brak takich oświadczeń, że występuje on w imieniu młodych, którym obmierzła gospodarka osędziałych ojców. Powie on to w oczy Suhajowi: „Wy ino z rad się wyśmiewacie i zawdy trzymacie się swoich starych praktyk... Ja się nie dziwię, że bojaźliwi jesteście, bo starzy. Ale i młodzi staną za waszym powodem,

a jak nie, to ich naprzód przepuście, bo młodzi!“ Jednym słowem, wygląda tak, jakby chodziło o konflikt pokoleniowy.

Częściej i wyraźniej atoli ujmuje Rakoczy sprawę tak, że pragnąłby sformować front upośledzonych społecznie przeciwko możnym, ubogiej biedoty przeciwko bogatym. „Wierzę — powiada Suhajowi — że dobro gminy tak wam leży na sercu, jako i mnie. Jenó zrozumienia krzywd tysiącznej nierodowej rzeszy — tego wam, niestety, brak. A baczyć trzeba, że to jest pień gminy, choćby rody były nawet szyszkami na tym drzewie. Szyszki oblecą, pień zostanie...“

Wież zaś, patrząc na jego utarczki w gminie, zrozumiała te sprawy po prostu. „Opowiadają, że Rakoczy stara się na posła, zwołuje do gromady samych komorników, bo nastał — powiadają — czas, że komornicy będą światem rządzić, a gazdowie zaś, jako że ich mniejsza liczba, muszą cicho siedzieć“. Mamy więc najwyraźniej klasowe „ostrze na ostrze“.

Istotnie to ujęcie konfliktu jako walki nie pokoleniowej, ale klasowej przeważa w powieści zdecydowanie. Co więcej, jesteśmy w stanie stwierdzić, że tu właśnie, że w takim ujęciu współdziałał impuls realny, życiowy. Cała koncepcja powieści „W roztokach“ sformowana została, jak się zdaje, w wymiarach fikcji artystycznej, jest konstrukcją wyobraźni twórcy, a nie odbiciem konkretnej rzeczywistości, jak nim byli w znacznej mierze „Komornicy“. Ale w tym jednym właśnie wypadku wiemy dowodnie, że w budowie pomysłu współdziałało życie.

Orkan bawiąc na wsi brał czynny udział w jej życiu politycznym, zwłaszcza w akcjach wyborczych. Tak było w r. 1895, kiedy jeszcze jako uczeń ostro agitował za kandydatem Str. Ludowego a przeciwko hr. Wodzickiemu, tak pod jesień 1900 r., właśnie w okresie pracy nad powieścią. Tu go spotkała porażka, którą opisał w liście do przyjaciela:

„Odbyły się tu już prawyборы i napsuły mi krwi niemało. Te łajdaki z dołu, razem z księdzem, nie dali wsi znać i uwinęli się po cichu... Naturalnie poobierali siebie (ksiądz, wójt, usłużni). Co będę robił, kiedy nawet informacji zebrać czasu nie mam, by za-protestować. Już przygotowałem Zagronie i Koninki, miałem upatrzonych ludzi — diabli z tego, kiedy się w trzy dni po wyborach

dowiedziałem o nich. I nikt tu wokół nie wiedział. A no, niech ta! Jeszcze to do czasu będą uchodzić takie sztuczki!“³⁾).

Jak widzimy, wypadek to, którego odbicie żywcem znajdzie się w powieści. I tutaj przecież ciągnie się sprawa takich prawyborów, przy których starszyzna wsi, ograniczając czy unicestwiając prawa wyborcze biedoty, przeprowadza swoich kandydatów, właśnie „wójta i usłużnych“. A obrońcy komorników nawet do głosu się nie dopuszcza.

Także refleksja Rakoczego po analogicznej porażce prawie taka sama. „Niech radzą — jątrzy się w sobie — niech ostatni raz wybierają swoich, bo ich harenda prawie długo nie potrwa!“

Niemniej i tutaj trzeba powiedzieć, że ten wątek walki o prawa wyborcze dla komorników, o ich współudział w rządach wsi, nie został wprowadzony w główny nurt powieści. Odgrywa on w niej rolę raczej uboczną. Klęskę przy prawyborach przeżywa Rakoczy stosunkowo bezboleśnie, nie czyni on z niej przesłanki głównej w dumaniach swoich nad przebudową wsi.

Pobudką główną, z której się wywinał naszkicowany w Hucisku plan nowego ustroju rolnego, była dawna i natarczywa wizja „urwiska“. Było uprzytomnienie sobie krytycznego położenia całej wsi, a nie tylko jakichś jej odłamów szczególnie upośledzonych, nie tylko małorolnych, komorników, czy wreszcie bezdomnych. W obowiązującym porządku, przy malejących wciąż gospodarstwach — nad całą wsią zawisło widmo nędzy i zatury. Po raz któryś tam już Orkan-Rakoczy z przerażeniem odtwarza grozę przyszłości, przeżywa prześladowający go uporczywie koszmar wsi jutrzejszej:

„Oto obszar pokrajany na wąskie zagony. Te nagle poczęły mu się w oczach zwięzać, zamieniać na ledwo widoczne smugi i ponikły. A miedze doszły ku sobie i stanęły. I cały obszar długi stał się polem miedz, bez płatka zaginionej czarodziejsko roli. Gdzie okiem dojrzał — miedze wysokie i niskie, pozwężane i szersze, o różnym wyglądzie. Stały zwarte jak skiby na mokrzej odorane. Rdzawiło je słońce czerwone... i zdały się krwią oblane, przepotwornie straszne“.

³⁾ Do E. Bobrowskiego z Poręby dn. 20. XI. 1900 r.

Przy takim rozdrobnieniu ról nie dziwota, że i nędza rozciągnie swą władzę nad całą wsią, nad każdą izbą, jako wspólna wszystkich złowroga dola:

„Ujrzał niezliczony drobiazg na raczkach pełzający po ciemnej podłodze, gazdów ponuro siedzących na ławach, kobiety załzawione i dzieci w kołyskach śpiące. Wśród tych ujrzał na przypiecku przy-czajoną nędzę, popod ławy snujący się głód o wilczych zębach, i z podchyłonych drzwi ze sieni patrzący zarazą pomór“.

Jak widać, Rakoczego przerażają bliskie perspektywy całego stanu chłopskiego, chce być rzecznikiem wsi w całym jej zespole, całej tej „ziemi łez i wiecznych cieni“. Pod tym impulsem obmyśla on zasadniczą reformę, przerzucenie wsi w inny system gospodarowania. Rozumiemy więc, dlaczego liczy, że plan jego może trafić do przekonania wszystkich, komorników zarówno jak gazdów, że uda mu się zjednać dlań nawet starego Suhaja. To przecież, że on „o rodach myśli więcej, to tu nie przeszkadza, bo tu i rodom nie stanie się krzywda; każdemu będzie lepiej niż obecnie...“

Orkan umyślnie i niejednokrotnie zaznacza łączność tych medytacji „dumacza“ — Rakoczego z własnymi niedawnymi przemyśleniami i wizjami, którym dawał wyraz w utworach poprzednich. Solidaryzuje się tu ze swym bohaterem w całej pełni. Ma go za jednego z tych wymarzonych przez się w młodzieńczym poemacie apostołów nowego porządku przyszłości.

*Zielona Gwiazda jaśniej przed nimi,
Rosy poświęceń dają laury głowie.*

Ta symboliczna Zielona Gwiazda zabłysła także przed oczyma Rakoczego, pogrążonego w przeraźliwych wizjach: „Aż w chaosie ciemnych myśli błysnęła mu zielona gwiazda...“

Co oznacza ten symbol? Jakąż wyraża on ideę?

5

Rakoczy wydumał w swej leśnej samotni plan wsi o gospodarce zespołowej, socjalistycznej. Ona właśnie ma wywieść wieś znad urwiska, odwrócić widmo zatury. Plan ujęty został w rysach ogólnych, niemniej występuje dość wyraźnie. Znamy go z medytacji w Hucisku, znamy z przemówienia na Radzie gminnej.

Według tego należałoby całą ziemię gminy złączyć w jedną wspólnotę i na całej prowadzić jednolitą, racjonalną gospodarkę: zasiewy stosować do natury gruntu, nieużytki obrócić na wspólne pastwiska itp. Miedze poznikają. Praca miałaby być wspólna, a plon dzielony między wszystkich. Według jakiej zasady? W miarę potrzeb: „Każdy otrzymuje tyle ze wszystkich darów ziemi, żeby mógł ślebobnie przez cały rok, bo aż do przyszłych zbiorów, rodzinę swoją wyżywić“.

Co pozostaje z podziału, „chowa się w spichrzach — na czas nieurodzaju“ jako zapas gminny. Do podziału na równych prawach dopuszczeni być mają nie tylko pracownicy rolni, ale także rzemieślnicy wiejscy dla wszystkich pracujący, kowal, kołodziej i in. Gmina prowadziłaby wspólne większe przedsiębiorstwa przemysłowe, np. cegielnie. Objęłaby jednolitą opiekę nad dziećmi, kierując je według uzdolnień do zawodów czy na wyższą naukę. W ten sposób miałaby z nich z czasem własną, tubylczą inteligencję: „dla swoich fabryk — techników, dla oświaty swej — nauczycieli, dla chorób dusz — swoich księży i dla chorób ciał — lekarzy. Cały zastęp ludzi swoich, którzy będą znać przyczyny niedoli i zła!“ Zarząd wspólnoty spoczywałby w rękach Rady Mądrych, składającej się z 12 członków wybieranych co parę lat.

W jakiej mierze miałaby tam istnieć własność prywatna obok zbiorowej? W projektach Rakoczego nie wychodzi to zupełnie jasno, niemniej i o tym można coś powiedzieć. Pastwisko będzie wspólne, ale bydło na nim paść się będzie raczej indywidualne, tyle że dla racjonalnej oszczędności sił dozorowane zbiorowo przez kilku pasterzy. Wnosić stąd trzeba, że domostwa i gospodarstwa domowe pozostaną także w indywidualnym władaniu. Gospodarka rolna tylko i przemysłowa oraz kulturalna byłaby objęta wspólnotą, reszta zostanie w trybie dotychczasowym.

Tak przeorganizowany ustrój wsi stałby się, według głębokiego przeświadczenia Rakoczego, podstawą dobrobytu gromady, ale co ważniejsze, spowodowałby wspaniały rozkwit etyki społecznej. Jeżeli bowiem — jak on pojmuje — zło w stosunkach ludzkich jest jedynie wytworem nędzy, to z jej usunięciem zostanie ono podcięte u korzenia.

„Zło stopnieje w sercach ludzkich jak bury śnieg ku wiośnie. I zapanuje dobroć w naturze człowieczej... Bo któż by dobrowolnie chciał pozostać złym, jak nie ma przyczyn ku temu? Człęk nie będzie się turbować, co dzieciom da jeść... nie będzie się łamał głowy, skąd wypłat wydobywać córkom, jak synów podzielić gruntem, którego nie staje — stąd i zjadłość na ludzi odejdzie go od razu. Jak płaszcz zmorą duszący opadnie z niego złość i wstanie inszy. Ani się sam nie pozna po niedługim czasie, jak się w naturze swojej przeinaczył. Nastanie spokój, do którego każdy, jak z czyścica z dzisiejszych dni, wyciąga chude ręce. Ludzie dobrzy, — sprawiedliwość, — ponad wszystkim spokój. I to będzie prawdziwie chrześcijańska gmina“.

Jak łatwo spostrzec, plan Rakoczego jest konglomeratem, w którym elementy utopistyczne splatają się z realnym programem reformy społecznej. Narzucić się musi pytanie, skąd Orkan na progu w. XX doszedł do takiego pomysłu wspólnoty rolnej jako komórki przyszłego idealnego ładu międzyludzkiego? Rakoczy zapewnia, że plan wywiódł z nagła sam z siebie: „Ani głowy nie natężał, ani znikąd nie słyszał o czymś podobnym“.

Czy mógłby tak zapewniać również i jego twórca?

Zagadnienie źródeł więzby ideologicznej powieści „W rozto-kach“, w szczególności zaś tych planowań reformistycznych Rakoczego, jest trudniejsze niż w analogicznym nieco wypadku: przy komunistycznej gospodarce Bodzanty w „Dziejach grzechu“ Żeromskiego.

Wspomniało się tu o elementach utopistycznych. Nie bez powodu. W ten sposób pojęło ten wydźwięk powieści wielu nawet po jej ukazaniu się drukiem. Schyłek w. XIX lubował się w tego rodzaju utworach, rzutujących w dalszą przyszłość pożądany, doskonały ustrój społeczny. W szczególności nie brakło powieści utopijnych, poczętych w duchu socjalistycznym. Dość wymienić W. Morrisa „Nowiny ze współczesności“, E. Bellamy'ego „W 2000 roku“. Ta ostatnia powieść zwłaszcza cieszyła się u nas dużą popularnością. Ogłoszona w r. 1887, już w r. 1890 ukazała się po polsku w dwóch różnych wydaniach, w r. 1891 znowu w dwóch; jako powieść odcinkową przedrukował ją także krakowski „Naprzód“. Zaważyła ona na formacji psychicznej pokolenia. Pamiętamy, że powołuje się na nią Gordon, duchowy wódz „dzieci szatana“ Przybyśzewskiego.

Poczytność tych utopij była uzasadniona w epoce, kiedy wielkie idee reformatorskie zaczęły coraz obcesowiej podbijać uwagę ludzką; torowały one im drogę, „ukonkretniały w przyjemny sposób abstrakcyjność tamtych systematów, przyzwyczajały myśl do swobodnego obracania się poza obrębem kategorii świata burżuazyjnego“⁴⁾, wtórowały owemu buntowniczu kuciu, którego echo dochodziło z podziemi. Zrozumiałe więc poniekąd mogło być takie przyszeregowanie tu również i tej w przyszłość rzutującej powieści Orkana⁵⁾.

Zrozumiałe, ale i zbyt pospieszne. Tym powieściom utopistycznym nie przyznamy większej roli w powstaniu koncepcji rozwiązania utworu Orkana. Nie dlatego nawet, że tamte utopie zajmują się prawie wyłącznie perspektywami przeistoczenia stosunków przemysłowych, miejskich; spraw agrarnych natomiast nie dotyczą. Ważniejsze jest co innego. Różnica między obchodzącymi nas utworami tkwi w sposobie traktowania zagadnień. Tamte powieści utopistyczne z założenia programowego chętnie zaciekają się w szczegóły, drobiazgowością opisu przyszłych instytucji i urządzeń usiłują wywołać w czytelniku wrażenie realności tego świata fantastycznego. Orkan o taką szczegółowość się nie kusi, jego Rakoczy tworzy sobie tylko zarys zasadniczej budowy, której szczegóły wypełniać będzie życie. Kreśli, by tak rzec, program ramowy. Elementów utopistycznych tam nie brak, ale zaszyły się one w innych pokładach; niebawem je także wydobędziemy. Na razie trzeba skierować uwagę gdzie indziej.

Nie jest całkowicie wyłączone, że niejaki impuls do planowań Rakoczego mógł przyjść Orkanowi od strony rzeczywistości. Może doszło do jego wiadomości, że nieopodal jego stron, na Słowaczyźnie,

⁴⁾ E. Vandervelde, *Kolektywizm i ewolucja przemysłu*, Kraków 1906, s. 93.

⁵⁾ Między powieściami Bellamy'ego a Orkana zachodzi rzeczywiście pewna zbieżność sytuacyjna w zakończeniu. Bellamy'ego bohater, przebudzony ze snu, w którym poznał idealne stosunki społeczne z r. 2000, znalazł się w domu ojca narzeczonej, w licznym gronie bogaczy i usiłuje wzruszyć ich sumienia obrazem nędzy, kryjącej się w najbliższym sąsiedztwie ich bogactw. Płomienna przemowa apostoła sprawiedliwości społecznej spotkała się atoli z obojętnością i z drwinami słuchaczy, a skończyła się wyrzuceniem z domu „buntownika“ i „wroga porządku społecznego“. Złamano go. „Znalazłem się wśród nocy, samotny i opuszczony“. Wszystko to dość jest bliskie losowi Rakoczego.

istnieją po dziś dzień wsie, które samochcąc utrzymują u siebie system gospodarki kolektywnej i — przy wysokim poziomie etyki społecznej — wzorowo go przeprowadzają. Są to, jak się zdaje, pozostałości gmin komunistycznych, organizowanych tam w w. XVI przez sektę Braci Morawskich.

Ta podnieta jest tylko domyślna i może być wątpliwa. Natomiast niewątpliwa jest ta, co przyszła autorowi ze strony przemysłanych i w druku rozwijanych programów i doktryn ekonomiczno-społecznych, a poznanych przezeń dzięki lekturze.

Przedewszystkiem pamiętać należy, że pomysł przebudowy gospodarki wiejskiej w duchu socjalistycznym nie był u nas nowością u schyłku w. XIX. Orkan oczywiście o tym musiał wiedzieć. Już w r. 1384 starał się Sz. D i k s z t e j n dotrzeć na wieś z takimi ideami ⁶⁾). Intensywną działalność w tym kierunku rozwinął zwłaszcza E. A b r a m o w s k i w kilka lat później ⁷⁾). Ale to były zaledwie impulsy, dość zresztą ogólne.

Planując powieść musiał autor mieć dość wyraźnie wytyczoną w wyobraźni drogę Rakoczego, a więc nie tylko perypetie jego walk z Suhajem, ale i zarys celu tych walk, mówiąc wyraźnie: pomysł gminy komunistycznej jako zawiązku przyszłego doskonałego ustroju agrarnego. Pomysł opierał się widocznie na teoriach ekonomistów-reformatorów XIX w. W teoriach tych ogólnie mogło zorientować Orkana dzieło L i m a n o w s k i e g o ⁸⁾). Nie zadowolili się on atoli tym zarysem podręcznikowym; szukał informacji szczegółowych.

Wśród różnych notatek poczynionych przez autora na brulionie ostatniej części powieści „W roztokach“ spotykamy też nazwiska pisarzy i tytuły dzieł, ku którym wtenczas zwracało się jego zainteresowanie. Wśród nich widnieje tytuł: L. K u l c z y c k i, Anarchizm współczesny. Wiele przemawia za tym, że w tej to właśnie

⁶⁾ W broszurze: Stach Bruzda.

⁷⁾ Zob. jego broszurę anonimową: Jan Skiba, Opowiadanie. Warszawa 1892, i wydaną pod nazwiskiem żony: St. M o t z - A b r a m o w s k a, Dobra nowina robotnikom wiejskim. Londyn—Paryż 1892, w dwu częściach; wreszcie książkę wydaną pod pseudonimem Z. R. W a l c z e w s k i e g o, Społeczeństwo rodowe. Jak się rządzą ludzie w dawnych czasach, 1890.

⁸⁾ Historia ruchu społecznego w XIX stuleciu. Lwów 1890.

książce szukał Orkan podniet do ostatecznego skonstruowania planu reformy Rakoczego.

Dzieło to (wydane z początkiem r. 1902)⁹⁾ zawiera w jasnym przedstawieniu obraz doktryn anarchistycznych rozwijanych w ciągu w. XIX, od Godwina aż do E. Abramowskiego. Autor szczegółowiej traktuje poglądy Proudhona, Bakunina, Kropotkina i in., nie pomijając także ich orzeczeń o przebudowie stosunków rolnych w przyszłym porządku społecznym. Orzeczenia te nie są jednolite; różni różnie planowali reformę tej dziedziny życia gospodarczego. Między Godwinem, który zmierzał do „sprawiedliwego podziału bogactw bez zniesienia prywatnej własności“, a np. Cornélissem, który projektował całkowite wywłaszczenie drobnych producentów ziemskich i obrócenie ich w robotników rolnych, zachodzi odległość bardzo znaczna.

Rozejrzawszy się w tym wachlarzu programów i poglądów nie trudno stwierdzić, że plany Rakoczego najbliższe są stanowisku Kropotkina. Kolektywizm ustalał dla poszczególnych członków wysokość udziału w zyskach, zależnie od ich wkładu w dobro zbiorowe, orzekał, że „każdemu powinien być wydzielony z bogactw społecznych ekwiwalent jego pracy“¹⁰⁾. Tymczasem w przetworzonym Przysłopię plon uzyskany wspólnie miał być dzielony nie według tego, ile kto miał poprzednio gruntu, czy ile i jakiej kto włożył pracy w jego uzyskanie, ale tak, żeby każdy członek gminy mógł wyżyć spokojnie z rodziną do nowych zbiorów.

Spośród działaczy komunistycznych europejskich zetknął się Orkan, jak się zdaje, bliżej z poglądami przyjaciela Kropotkina, Elizeusza Reclusa. Wspomina o nim imiennie w „Listach ze wsi“¹¹⁾. Ten wybitny geograf był zarazem gorliwym propagatorem idei komunistycznych, które popularyzował szeregiem broszur i odezów. Z tych jedna: „A mon frère le paysan“¹²⁾ mogła być znana Orkanowi. Między rozwiniętym w niej zarysem przyszłej chłopskiej komuny rolnej a planem Rakoczego dałyby się wskazać zbieżności na-

⁹⁾ L. Kulczycki, *Anarchizm współczesny*. Lwów 1902.

¹⁰⁾ Tamże, s. 226.

¹¹⁾ W. Orkan, *Listy ze wsi*, Warszawa 1935, II 100.

¹²⁾ Paris 1899. Publication des „Temps Nouveaux“, nr 11.

wet w szczegółach. Reclus także uznaje indywidualną gospodarke domową chłopą przy wspólnocie pól. I on mówi o podziale plonów według potrzeb, podkreślając konieczność rewizji nadziałów w miarę, jak potrzeby (rozrost rodziny itp.) wzrastają. Nawet sprawę pasienia bydła rozwiązał Reclus, jak i Rakoczy: spędzone z całej wsi paść będzie jeden, a wieczorem krowy rozejdą się każda do swego obojścia i do swej obory.

Poza propagandą idei broszurami patronował Reclus próbom wprowadzenia ich w życie. Założono w latach 1892 i 93 we Francji z jego impulsu falanster komunistyczny pod nazwą Montreuil, ale próbę spotkało niepowodzenie. Orkan o tym właśnie wspomina w „Listach”¹³). A więc wiedział, a wiadomość zawdzięczać mógł właśnie książce L. Kulczyckiego.

Nie jest to wszelako jeszcze wszystko, co Rakoczy, rozwijając swą myśl, zawdzięczał czytaniu Orkana. Na tej samej karcie brulionowej „W roztokach”, na której znaleźliśmy notatkę o książce Kulczyckiego, widnieje jeszcze dalsza: „Ruskin, Tołstoj”. Nazwiska te przywołane tu zostały tą samą niewątpliwie potrzebą, co i poprzednia. Autor szukał w nich pomocy przy szczegółowym zarysowaniu swej idei.

Przy Ruskinie chodzić mogło o książkę, która świeżo wtedy wyszła w przekładzie niemieckim i zawierała rozprawy o podstawach gospodarki narodowej¹⁴). Zwiedziony tytułem, niewiele z niej wszelako mógł Orkan do swego celu skorzystać; dzieło zawiera rozważania o bogactwie i ubóstwie, o sprawiedliwości społecznej, o szacunku dla pracy, o słusznej zapłacie itp., ale w przedstawienie stosunków rolnych, w pomysły ich przekształcenia autor się nie wdaje, w stosunku zaś do idei socjalistycznej zajmuje stanowisko wyraźnie odporne.

¹³) L. c.: „I gminy komunistyczne Elizego Reclusa z tej prostej przyczyny padły”. — Jeszcze inna podobna relacja mogła dojść do wiadomości Orkana na drodze lektury. W r. 1898 mógł on przeczytać w „Słowie Polskim” (a wiemy, że je czytywał) wiadomość o takimże falansterze komunistycznym w Clousden Hill w Anglii, założonym przez Czecha Kappera pod wpływem właśnie opowieści Bellamy’ego, a również pod bezpośrednim patronatem Kropotkina.

¹⁴) John Ruskin, *Diesem letzten. Vier Abhandlungen über die ersten Grundsätze der Volkswirtschaft*. Lipsk 1902, Werke, B. V.

Do Tołstoja natomiast pragnął sięgnąć zachęcony zapewne rozdziałem poświęconym mu w dziele Kulczyckiego. Chodziło tu niewątpliwie przede wszystkim o jego książkę o niewoli naszych czasów („Rabstwo naszego wriemieni“), gdzie poglądy społeczne autora zostały rozwinięte szeroko. Tołstoj również był zwolennikiem zbiorowego władania ziemią i jej wytworami, sprowadzając prawo własności prywatnej jedynie do granic „naturalnych“. Za wzór ustroju stawiał starorosyjskie gminy komunistyczne, których członkowie uprawiali ziemię wspólnie, a brali z niej tylko tyle, ile wymagały ich potrzeby użytku i spożycia, nie myśląc o gromadzeniu bogactw. Stojąc na gruncie ewangelicznym, Tołstoj głosił potrzebę nawrócenia do pierwotnego chrześcijaństwa, wolnego od naleciałości narzuconych przez Kościół. W myśl tego nawoływał do dobrowolnego zrzeszania się w chrześcijańskie gminy komunistyczne. Na tym bowiem gruncie dopiero zakwitnąć może w pełni to, co Tołstoj uważa za najwyższe prawo chrześcijaństwa, oczyszczonego z żądzdy posiadania: nakaz miłości bliźniego.

Echa tego tołstoizmu podzwiekają rzeczywiście wyrażnie w nakazach i nadziejach Rakoczego. I jemu przyświeca nadzieja restytucji pierwotnego chrześcijaństwa, urządzenia stosunków gromadzkich „do znaku jak za czasów Chrystusowych gmin“. I on, jak widzieliśmy, zapędza się w utopistyczne marzenia o przyszłej doskonałości moralnej, jaka zakwitnie w słońcu powszechnej miłości, ogarniającej wszystkich członków wspólnoty gminnej. Rozwiążą się wszystkie trudności, usuną wszystkie krzywdy, ramiona szczęścia ogarną komorników i bezdomnych.

„Zmieszczą się wszyscy... I ten ptak wodny osierocony, i ten pustelnik leśny, i ci samotnicy wieczni, których nędza ukochała... ci pokaleczeni w sercach, których niemiłosiernie życie stłukło i odrzuciło na bok...“

Ta perspektywa Tebaidy doskonałego współżycia opierała się oczywiście na dawnych założeniach światopoglądowych Orkana, znanych nam choćby z „Komorników“. Jeżeli człowiek jest z natury dobry i jednako dobry, jeżeli zło jest wytworem li warunków materialnych, owocem nędzy bytowania — to oczywiście szcześnie ono razem z nędzą. „Któż by dobrowolnie chciał pozostać złym, jak nie ma przyczyn ku temu?“

Jeżeli jest dobry i jednak dobry... Jeżeli poziom jego etyki zależy od poziomu jego materialnego dobrobytu...

Nie trudno dostrzec, że w pierwiastkowym założeniu tym kryła się zdradliwie perspektywa klęski Rakoczego.

6

Zresztą współczynników klęski było więcej.

Najznaczniejszy z nich chyba tkwił w samej naturze szermierza. Natura ta, charakter Rakoczego wyszedł tu, a wyszedł z woli autora, dziwnie skomplikowany, sam przez siebie stanowi on osobny problem artystyczny. Czas bowiem powiedzieć, że powieść „W roz-tokach“ nie jest utworem jednoogniskowym. Prócz tego że jest społeczna, jest ona także powieścią psychologiczną. Unia personalna łączy oba te jej aspekty.

Po tym, co się tu już rzekło, nie trzeba dowodzić, że postać Rakoczego ukształtował Orkan w znacznym stopniu na swego sobowtóra, że naładował ją własnymi swymi kompleksami uczuciowymi. Powieść wskutek tego stała się poniekąd „lirycznym pamiętnikiem duszy“ samego autora.

Psychika Rakoczego nie została zbudowana z monolitu. Ma on momenty intensywnej, choć raczej wybuchowej aktywności, ale zarazem i chwile melancholijnej refleksji, a nawet prostracji. Z tej dwoistości swojej zdaje on sobie sprawę, próbuje ją sobie uzasadnić, a nawet szuka zapobieżenia.

„Bo widzisz, Hanuś — spowiada się raz swej dziewczynie — mnie od jakiegoś czasu dziwny niepokój prześladowe... Bronię się temu jak mogę, nie daję przystępu, ale zwalczyć nie porada. Chodzi jak cień z daleka i nie ustępuje.

„Pytasz się, co to takiego? Czy ja wiem? Zmora jakaś... Może to i nazwy nie ma, bo nie widać nikany, a jest. Jakby człek nie odganiał, to by się na śmierć zadumał. Taka ciężka chmura zwali się i obsiedzie myśli. Zlatują się nieraz chwile po cichu jak sowy i taki czynią postrach w sercu, jak żeby już śmierć wnet nadejść miała. Tak trwożą, tak niepokoją, tak mnie z jarmarku życia wywołują...

Skąd się w nim bierze ten smutek i to rozdarcie? Z przyrodzenia? Mówili o nim na wsi, że pod taką się już „planetą“ urodził. Ale

on sam tłumaczy to sobie po swojemu. I on jest ofiarą warunków, w jakich mu przyszło formować młodość swoją. Jest jak młode, wybijające drzewko, któremu nadłamano czub. Czyż on za to odpowiada?

„Powiadają: wolna wola... Wierutne zmyślenie! Gdzie jest człowiek, który by mógł powiedzieć: sam idę... Gdzie jest ten wolny człowiek? Wszystko nim rządzi, kieruje, począwszy od przypadku. Szczęśliwszy okwiat ostu, który wiatr obrywa i miota nim na wszystkie strony świata... Wszystko szczęśliwsze od człowieka, który nieporównanie mocniej czuje tę niewolę życia.

„Tak i mnie ona zmaga jak tę skałę rzeczną, jak ten kwiat ostu, jak to drzewo, jak to zwierzę leśne. W paściach bolących od mała wyrosłem, i nie wiem, gdyby mi dano swobodę, czybych w niej umiał dziś chodzić. Tak członki moje w paściach zakostniały, tak się duch pogiął, zgarbił i skaleczył... a rwał się, rwał przez moc do życia!”

Z tej postawy deterministycznej usiłuje się on wyrwać przez zawziętość uporu (a więc przecież „woli“). „Ale paręnaście diabłów zjadł, kto nie udoła dojść do wierchu! Raz trzeba pocuć, kto mocniejszy: ja czy wszyscy ino... Nie ulegnę i nie dam zwątpieniu przystępu!” Nie da ... do czasu.

Przeciwko tym immanentnym, nawrotnym zwątpieniom i rozdarciom szuka zaś Rakoczy ostoji w miłości do Hanki. Ostoi jakże kruchej!

Zamotany w tym swoim dramacie wewnętrznym popada on w osobnictwo, w romantyczny indywidualizm. Najlepiej się czuje sam, poza ludźmi, w swym świecie marzenia. Właściwie nie widać w nim materiału na przewodnika, reformatora, jest natomiast — na zbawcę. Kocha on nie tyle ludzi, zwłaszcza ludzi zwyczajnych, powszednich, ile idee.

„On ich — sam przyzna — tych biednych, razem wzięwszy, ogromnie kocha, serce by wyjął z piersi i uraczył własną krwią; a przecie... Każdy osobiście z tych chałupników nędznych, każdy z tych komorników lamentujących głośno — jest mu co najmniej obojętny. Bo to są ludzie głupi, o swoim żołądku nieustannie myślący, łakomi i zazdrośni, mało co różniący się od zwierząt innego rodzaju”.

A więc po staremu:

Kochać świat, sprzyjać światu — z daleka od ludzi...

Powiedzmy tedy ogólnie: Rakoczy jest naturą skomplikowaną, hamletyczną. Wyposażony został w czujne pogotowie altruizmu, wrażliwość wewnętrzną na krzywdę i niedolę ludzką, w myśl bystrą i w zapał — nie tyle ciągły, ile wybuchowy. Słaby natomiast jest przez swe samotnictwo, marzycielstwo, przerost wyobraźni i ową właśnie melancholijną problematyczność. Toteż w szturmie do ostępu zacofaństwa odpadnie on odbity i okaleczony na duchu, odpadnie wskutek własnej w znacznym stopniu winy. Chciał zakreślić nurt życia, rozwiązać konflikt społeczny, osadzić na ziemi nową formę ustrojową — sam jeden, w oparciu nie o zorganizowane siły zbiorowe, ale o swój intelekt i własny, jednostkowy rozpęd uczuciowy. Szanse rozgrywki nie były równomierne. Rakoczy jest może „najwyższym z czujących“ na przysłopskim padole, ale nie jest organizatorem siły skrzywdzonych, nie nadałby się też do nieefektywnej pracy powszedniej.

Z takiego romantycznego ujęcia bohatera i problemu powieści przez Orkana zdamy sobie lepiej sprawę przez zestawienie. Tak się fortunnie złożyło, że mamy w naszej literaturze utwór powieściowy zbudowany na takim samym zasadniczo pomyśle konstrukcyjnym, jak „W roztokach“, mianowicie Dygasińskiego „W Swojczy“¹⁵⁾. Niech nas to nie płoszy, że dzieła te jako osiągnięcia artystyczne nie są sobie równe; nie o to w tej chwili chodzi. Interesującą jest sprawą, jak toż zagadnienie poprowadzili dwaj pisarze z dwóch sąsiadujących pokoleń.

W powieści Dygasińskiego sytuacja jest podobna. Również młody syn chłopski wychodzi na jakiś czas poza wieś, kształci się w świecie, praktykuje, nabiera szerszego rozglądu, a potem wraca. Zostaje uderzony niskim poziomem społecznym, oświaty i dobrobytu swej wsi rodzinnej, zostaje więc w niej, by się jąć dzieła naprawy. Ale Szymek Grzybowski obrał zupełnie inną drogę niż Rakoczy. Powoli, drobnymi przysługami i pouczeniami przełamuje zastój i nieufność, skupia koło siebie młodych i bardziej rozgarniętych gospodarzy, okazując na każdym kroku uczynność i bezinteresowność, roztrop-

¹⁵⁾ Pierwsze wydanie: Warszawa 1899.

nie i umiejętnie sobie radząc z uprzedzeniami, z ciemnotą i ze złą wolą. A ma przeciwko sobie wójta wsi, także coś w rodzaju Suhaja. Tą drogą skłania powoli wieś do przeprowadzenia melioracji rolnej, do zakładania sadów, do wysyłania dzieci na naukę do miast, do założenia sklepu itp. Planuje on nawet analogiczną sprawę jak Rakoczy: założenie spółdzielni produkcyjnej na zakupionych gruntach dworskich i — podobnie jak Rakoczy — przegrywa wskutek opieszałości i nieufności wsi. Nie daje się wszakże załamać, zadowala się częściową przynajmniej realizacją projektu i ostatecznie stawia na swoim.

Oto dwie metody postępowania: posybilizm i maksymalizm, oto dwaj wyraziciele dwóch pokoleń: Syzyf i Prometeusz.

Że Orkan w ten a nie w inny sposób zorganizował konflikt centralny swej powieści, że koło takiego ją zgrupował bohatera, przez takie go przeprowadził porywy prometejskie, na to złożyły się różne czynniki, i to natury raczej subiektywnej niż obiektywnej. Tak właśnie ujmując dramat Przysłopia, siedł on bynajmniej nie za nakazem realizmu. Realizmu, i to przedniego, starczyło na obraz wsi, na odtworzenie aktorów dramatu, ale na uruchomienie obrazu, na przedstawienie w prawdzie motorów działania — już go zabrakło.

Przeżycie to zaś, wolno mniemać, podyktowane było osobistą sytuacją psychiczną autora. Obok żywego odczuwania otaczającej go zbiorowości i jej cierpienia działał w owoczesnej psychice Orkana wewnętrzny ferment różniczkowania i wykryształania się jednostkowej jaźni, i to w kształt dość osobliwy. Nie można było bezkarnie przynależeć do pokolenia Młodej Polski.

Rakoczy nie jest jednostką zaobserwowaną na wsi, realną, ale przede wszystkim liryczną transpozycją samego autora-poety. Jest on, jak na działacza ludowego, osobistością zbyt skomplikowaną, wielopostaciową, proteuszową, w sobie rozdartą, przy tym wszystkim obciążoną dużym balastem kultury inteligenckiej. Proces zaszczerpienia wyrafinowanego subiektywizmu na surowej płoncy ludowej odbył się w nim szczególnie trudno i boleśnie.

Mając na uwadze problematykę społeczną powieści „W rozto-
kach“, a zwłaszcza biorąc w rachubę zakrój psychiczny jej boha-

tera naczelnego, można dać się pociągnąć pokusie i mówić o zbyt może wielkiej uległości pisarza wobec czy to kompleksów ideowych, czy też poszczególnych formacji literackich przeszłości. Zapewne. Czytając powieść Orkana czujemy się raz po raz potrąceni jakimiś znajomymi skojarzeniami wyrazu czy postawy literackiej.

Wystąpienie Rakoczego na zebraniu Rady gminnej z projektem przebudowy gospodarki wiejskiej, a zwłaszcza szczytowy moment konfliktu sformowany został artystycznie poniekąd na miarę Konradową: z tymże samym rozpędem lotu i z tym samym załamaniem. Rakoczy również stawia sprawę tak, że w perspektywie staje przede wszystkim jedno z dwojga: pójść albo za wolą wodza-reformatora, albo w zatrąę:

„Jeżeli ma być życie, to niech będzie życiem! A nie — to niech się wszystko zatraci! Miast powolnego konania — niech będzie raczej śmierć!“

A więc znowu:

Jeżeli się sprzeciwią — niechaj cierpią i przepadną!

Oto postawa romantycznego rządcy dusz, oto uraz rozgorzałego subiektywizmu. Cóż dziwnego, że przy takim ujęciu sprawy klęska reformatora-marzyciela była nieunikniona.

Lub dalej. Struktura duchowa Franka Rakoczego, bohatera pojętego jako samotny i jedyny zbawca zbiorowości, a zarazem człowieka o duszy rozdartej, oscylującej między ofiarniczym umiłowaniem rzeszy upośledzonej i cierpiącej a strapieniami kochanka, związanego uczuciowo z istotą zbyt poziomą; między heroicznymi porywkami wodza i reformatora, stającego do walki ze zmurszałym porządkiem, a chwilami zwątpienia, błyskami poczucia, że do dokonania dzieła brak mu dostatecznego hartu wewnętrznego, że i jego gryzie tajemny „robak smutku“, cały ten skomplikowany ustrój psychiczny może istotnie przypomnieć nam któregoś z bohaterów naszych romantycznych, powiedzmy: Kordiana. Czyż nie brzmią nam znajomo słowa wielkiej przemowy Rakoczego:

„Całą istotę swoją pokazuję wam dzisiaj przed oczy. Ale chcę jeszcze bardziej być szczerym... We mnie nie to tylko jest, co się słowami ujawnia. Jest tłumna ciżba pragnień, których wysłowić

nie zdołam. Są nienazwane moce, którym czynów za mało na ziemi. Dajcie mi ludzi, a stworzę dla nich świat tak piękny, że raju nie będą pragnąć!...”

Sąże to słowa do radnych przysiópskich, czy też do Podchorążych w podziemiach katedry św. Jana?

Osobna może być sprawa o pokrewieństwie Rakoczego z Judymem. Powieść Zeromskiego *Orkan* poznał najpewniej zaraz na początku r. 1900. Dn. 19 II t. r. pisał do brata na bilecie: „Nic nie piszę (do ciebie), ani litery. Proszę tylko bardzo, jeżeli można, o przesłanie „*Ludzi bezdomnych*“ Zeromskiego“. O to samo pisał był dwa tygodnie wcześniej do Wyslouchowej, dodając sąd o autorze: „Jest on mi z młodych pisarzy najsympatyczniejszy, bo szczery, ogromnie szczery, i taki w pismach, jaki jest“. Wnosić stąd wolno, że mu zależało na rychłym poznaniu powieści, której szukał na prawo i na lewo, i że na urok jej był dobrze przygotowany.

Jakoż lektura tego utworu nie przeszła chyba bez śladu. Utwierdziła ona *Orkana* w obranym typie powieści, a może ten typ nawet zaostrzyła. „W roztokach“, podobnie jak „*Ludzie bezdomni*“, przedstawia rodzaj powieści silnie nasyconej życiem uczuciowym samego autora, powieści o bogatym ładunku lirycznym. Zbieżność zachodzi też w typie tej uczuciowości: głębokiej i nasilonej częstokroć aż do przesady. Bohaterzy powieści reagują ekstatycznie na krzywdę wokół siebie, na cierpienie nie tylko wszelkiego człowieka, ale i wszelkiej żywiny, ptaka, nawet drzewa. Między samym Judymem a Rakoczym nie trudno wskazać węzły niejakiego braterstwa. Są to altruści spalający się w żarliwości służby społecznej i załamujący się na „zdradzie marzeń“, „sosna rozdarta“ jednego i „złamana całkiem biała płacząca brzoza“ drugiego — to ich bratnie symbole.

Ta romantyczna tonacja powieści *Orkana* musi zadziwić. Po nowelach, po naturalistycznych „*Komornikach*“ występuje ona tutaj tak niespodziewanie. Myliłby się wszelako, kto by w niej widział przejaw jakiegokolwiek reproduktywności, upodobania autora w odbitkach, zbytnią podatność na cudze uroki. O romantyzmie *Orkana* można mówić, ale w sensie dość swoistym.

Zbiorowość w swym życiu duchowym nie przeskakuje form rozwojowych, co najwyżej skraca je, przyspieszając krok pochodów. Wieś polska zbyt późno weszła w okrąg ogólnego życia kulturalnego

narodu, toteż w pospiesznych skrótach i wzmożonym tempie nadrabiać musi ubiegłe stadia rozwojowe. Jest trochę jak wiosna sybirska: spóźniona, a więc nadpędzająca czas, zakwitająca po prostu w oczach. W ten sposób przez nowiznę duszy ludowej przejść musiała orka pospieszna także i romantyzmu; zasiew tego żywotnego prądu musiał tu upaść i wzejść. Że się to stało poniekąd za sprawą naszego modernizmu — szczegół to ostatecznie uboczny.

Rzecz charakterystyczna: ilekroć ze wsi w zeszłym pokoleniu wybiła się, wyższym rozwojem i samowiedzą tego rozwoju wyróżniła się spośród masy jakaś jednostka gorętsza, zapalniejsza, taki — dajmy na to Zawada czy Sawczuk, zawsze tam w uczuciowości jego dosłuchać się można było tonów, a w postawie duchowej dopatrzeć się kształtów — romantyzmu. Był to widać etap rozwojowy nieunikniony.

Orkan, zwłaszcza w pierwszym wielkim swym dziele, „W roztoinach“, jest tego zasiewu romantycznego sam najwyraźniejszym dowodem, okazałym wykwitem i plonem.

W ten sposób powieść ta staje się w dziejach twórczości naszej, w dziejach kulturalnego życia narodu, zjawiskiem podwójnie cennym. Najpierw jako obraz rzetelnie pokazanego życia wiejskiego, dojrzanego od dołu, i to w takiej formie, która szybko cofa się w przeszłość i zanika. Obraz tej wsi ujęty został nie statycznie, ale dynamicznie, nie w spoczynku, ale w konflikcie, który aczkolwiek podany w ujęciu niewłaściwym, „konradycznym“, niemniej jest konfliktem, zacychem przemiany, przejawem dążności do unowocześnienia społecznego ustroju wiejskiego.

A po wtóre, powieść ta jest osobliwym przejawem dziedzictwa kulturalnego w przeradzającej się Polsce. Wykazuje ona w tworzywie swym jakby warstwy formacji duchowych przebytych i przewzwięzionych przez pokolenia poprzednie, a teraz w jednym stopie niejako ogarniętych na nowo z całą świeżością ujęcia przez spadkobiercę — pisarza, który wprost ze wsi szturmem wziął wysokie miejsce w literaturze.

W obrazie ukształcającej się osobowości twórczej Orkana jest ta powieść również pozycją centralną, wytyczną wielkiego zakrętu. Niespokojna w swym tworzywie, wybuchowa i pełna rozdarć — nie miała w sobie smaku zwycięstwa, nie była wyzwoleniem, nie przy-

niosła twórcy swemu ulgi wewnętrznej. Przeciwnie, dała mu impuls do długiego i bolesnego przetrawiania klęski.

II. Klęska

1

Zakończenie powieści „W roztokach“ mogło być zwieść pierwszych czytelników. Rakoczy poniósłszy porażkę w gminie i zostawwszy się ostatecznie z Hanką, wyjechał do Siedmiogrodu na zarobek. Ale do Siedmiogrodu nie jeżdżono spod Turbacza na osiedlenie. Rakoczy jest młody, płonie pasją życia czynnego, a więc zarobi, przeczeka, aż się rana serdeczna zablizni, odboleje klęskę, weźmie nowy rozmach — i wróci. Można było spodziewać się drugiej części utworu, nie mniej niż pierwsza okazałej. Tymczasem autor takiej drugiej części nie napisał, nigdy jej nawet nie planował.

Ale wątku jej głównego, problemu Rakoczego, przecież nie poniechał, raz po raz do niego wracał, najwyraźniej pragnąc się z nim — jakby z jęczącą raną — uporać i z siebie go wyrzucić. Ta natrętna perseweracja wątku dowodzi, że był on najwyraźniej głęboko zakorzeniony w doznaniach samego autora, że był także i jego problemem, po prostu jego kompleksem długo przetrawianym. Ujmował go też w coraz to nowy wyraz literacki, traktując go już to bezpośrednio, już też w sposób zamaskowany.

Na problemie Rakoczego wspierają się cztery utwory z lat 1904 do 1909: nowela „Herkules nowożytny“, epilog dramatyczny „Frank Rakoczy“, ironiczna opowieść „Wesele Prometeusza“, tudzież obrazek rodzajowy „Jaś znad brzegu“, a echa tego problemu zagrają jeszcze w opowieści o Kostce Napierskim. Wydzźwięk tych utworów jednaki. Wszystkie one są przetrawianiem klęski przysłópskiej i rozpatrzone bliżej pozwolą nam rozejrzeć się szczegółowiej w naturze tamtej katastrofy.

2

Do zwiedzionych czytelników „W roztokach“ należał też Jan Sten, przyjaciel Orkana, inteligentny i bystry krytyk wczesnej jego twórczości. Rozumiał on powieść tę jako likwidację pewnego etapu rozwojowego i jako odskocznnię autora na nowe drogi. Dotych-

czas, zdaniem krytyka, Orkan był zbyt niewolnikiem swojej ziemi, przytroczonym do niej pętami serca. Niewolnictwo to atoli — mnie — „nieraz zdaje się Orkanowi ciążyć jako rzecz obca, którą trzeba odrzucić i w sobie przemóc. W twórczości jego dotychczasowej było dużo dziwnie naiwnej tkliwości, jakieś stale dziecięce, zbyt łatwe może rozrzewnienie przenikało jego słowa“¹⁶).

To się skończyło, twórca poddał serce swej ostrej, hydropatycznej kuracji, oczekiwać zatem należy odbicia się skrzydłami na nowe loty. „Teraz dopiero — pisał krytyk w r. 1905 — rozpoczyna on więc może twórczości swojej wiek męski“.

Przesłanką dla podobnych nadziei stał się krytykowi m. i. zbiorek „Herkules nowożytny“, narzędzie i objaw takiego właśnie zabiegu hydropatycznego. W nim mianowicie autor swoje niedawne płacze „zagłuszał wybuchami hałaśliwego śmiechu“. Było tak niewątpliwie. Można by wszelako mieć wątpliwość, czy krytyk trafnie pochwylił uczuciową tonację owego śmiechu. Poza hałasem było w nim coś więcej jeszcze, co i na otwierający się „wiek męski“ rzuciło niejaki cień.

„Herkules nowożytny“, tytułowa i reprezentacyjna nowela zbioru¹⁷), przynosi jakby reinkarnację literacką Rakoczego. Kurzawa z Jurgowa to wyraźny jego sobotwór. To także człowiek, co walcząc o sprawiedliwość na świecie, uderza o niespodzianą przeszkodę i na niej się załamuje. Tylko że ujęty on tu został w innej perspektywie. Autor się z nim już niby to nie utożsamia, w tym przynajmniej sensie, że nie użycza mu, jak użyczał Rakoczemu, ogni z własnych piersi; patrzy nań przez odległość z ironicznym przekąsem. Dworuje sobie kostycznie ze zbawicielskich zapędów swego osiłka, który chodzi po drogach, jarmarkach i sprawnia sądy; traktuje go wyraźnie jako rodzaj pomyłka. Rzecz jasna, ironia ta — której aby zażyć, autor jak gdyby staje na stanowisku powszechnego mniemania ludzi pospolitych — ma bohatera podnieść na tęż wyżynę wartości, na której stał Rakoczy. To także człowiek, który „prostuje świat“.

I to oszacowanie intencjonalne uderza nas przede wszystkim. Bo widać przecież wyraźnie, że Kurzawa odszedł od Rakoczego w pew-

¹⁶) Jan Sten, Szkice krytyczne. Lwów 1906, s. 118 n.

¹⁷) Pierwodruk w warsz. „Ogniwie“ 1904.

nym punkcie zasadniczym. Oto nie ma on nikogo przy sobie, w czyje imię by walczył; znikli z pola widzenia i komornicy, i bezdomni, za nikim konkretnie się nie ujmuje. Zwalczałby zło samo w sobie a bronił sprawiedliwości. Z ludźmi jednak, z wszystkimi ludźmi, „nie umiał żyć“, bo „nie umiał kraść, cyganić, przewijać się, podłazić, pochlebiać, być ślepym, głuchym, niemym, gdy tego trza było, — no, jednym słowem: nie był do życia sposobny“.

Już ich rozeznał wszystkich, ubogich i bogatych, już nie ma co do nich złudzeń, są jednakowi, jednako źli i moralnie obrzydliwi. Kurzawa stoi sam. Mamy do czynienia już nie ze społecznikiem, ale z indywiduum wyosobnionym, ze zbawcą, co gotów walczyć o sprawiedliwość... dla nich — bez nich. Co w Rakoczym było przysłonięte, tu stoi w całej nagości.

Otóż indywiduista ten ukazany został właśnie od strony humorystycznej. Silny w marzeniu, gotów do walki ze smokiem — w życiu powszednim, w zwykłym splocie zła i dobra się nie wyznaje i płata się w kolizjach żałośnie komicznych. Jest w takim ujęciu sprawy ironia potęgi drugiej.

Nie trudno bowiem dostrzec, że Kurzawa jest sobowtorem nie tylko Franka Rakoczego, ale w wyższym jeszcze stopniu samego autora.

Alegoryzuje w nim Orkan jakby skrót swego własnego życia, I on stał jakoby kiedyś na rozdrożu, miał do wyboru życie filisterskie („przyżenić się do gruntu“), kuszone go do wysługiwnia się światom zastoju i wstecznictwa („żebyś pozbył się przesądów i ostał kościelnym dziadem“), ale wybrał perspektywę jazdy po dalekich krajach, służbę wyobraźni i Sławie, obrał pisarstwo pojęte jako misja („niby: Furmaństwo — Państwo — Hetmaństwo“). Przy bliższej praktyce poznał przecież jak Kurzawa, co warta ta służba, ta furmanka po dalekich krajach, kuszących wyobraźnię, ile w niej kłamstwa, kompromisu, „gałgaństwa — cygaństwa“. Po takich zawodach, posiniaczonemu przez życie pozostało rzeczywiście tylko otępieć, cofnąć się w siebie i czekać na śmierć. Może go choć po śmierci ukanonizują?

W świetle ironii rozpoznamy łatwo, że bicz autora siecze w obie strony, że odbywa się tu biczowanie i samobiczowanie. Postawa indywiduального zbawcy jest twórcy droga, bo własna, acz śmieszna

zarazem, bo światu nieprzydatna. Przy takim zabiegu „leczniczym“ trafia się, że spoza brawady i hałaśliwego śmiechu doleci czasem szloch rozpaczy. Nie łatwo na tej drodze sprężyć skrzydła do nowego lotu.

„Ta książeczka jest weselsza, niż się Orkanowi zdaje“ — pisał o „Herkulesie“ Sten. Jest ona chyba smutniejsza, niż się zdawało krytykowi. Smutek jej był ugruntowany w antynomiach wewnętrznych autora, i to wcale nie przejściowy.

3

W dwa lata po wydaniu „Herkulesa nowożytnego“ Orkan wrócił ponownie do swej zmory i znowu podjął wątek Rakoczego. Tym razem bez zamaskowań i bezpośrednio.

O epilogu dramatycznym „Franek Rakoczy“ osobno należałoby mówić jako o dziele sztuki; tu jest miejsce na parę słów o nim jako o wyznaniu osobistym i o osobistym osądzie. Sam autor wszak nazwał go „poniekąd autosatyra“.

Rzecz dziwna: z utworów poświęconych kompleksowi Rakoczego jest to najdłuższy, na nim właśnie opiera się jego konstrukcja dramatyczna — a tymczasem samej postaci tak mało tam udzielono miejsca, tak niewieloma rysami zaznaczono sytuację duchową Rakoczego. Bohater tytułowy mówi w całym dramacie tych kilkanaście zdań, które zamykają akt drugi, a poza tym odzywa się kilkoma zaledwie lakonicznymi półsłówkami. Dostyc jednak i tego, żeby sobie jego sytuację wewnętrzną wyraźnie uprzytomnić.

W rysunku tej postaci zjawia się ujęcie nowe. Jeszcze przy Kurzawie, obejmując postać ostrym światłem ironii, autor kierował strumień tego światła na niego, ale w wyższym jeszcze stopniu na jego otoczenie, na te czynniki życiowe, które stanęły zaporą i skrzywiły działalność „Herkulesa“. W dramacie tymczasem nie ma już tego zupełnie. O przeciwieństwach, które załamały Rakoczego w owym Siedmiogrodzie, nie dowiadujemy się ani słowa. Oczekiwany i wytęskniony „zbawca“ wraca jako rozbitek życiowy, jako ruina tak oczywista, że nie trzeba słów, by się w niej zorientować. Czekaający — z samej postaci, z samego spojrzenia, z samego zgarbienia się rozeznają tę jego całkowitą, definitywną już klęskę.

Sprawa jest przesądzona, nie wzbudza w autorze nawet potrzeby jej uzasadnienia. Stało się i nie ma co do tego wracać. Przyczyny klęski nie zewnątrz były, widać, lecz wewnątrz; nie siła wroga je spowodowała, tylko własna słabość. Reformator potknął się, upadł i osunął się na dno. W tej klęsce podsuwa mu rozpacz tylko jedno wyjście: w zatrąkę. Błyskała mu ta ponura wizja już w Przysłopiu, teraz ona jedna tylko została:

Więc niechaj-że się wszystko zwali...
Niech się na miał, na popiół niech się spali!
Zgorzelisko dymiące na stypie:
Zręby wiar, — ściany gmachów
Niech się wala, — niech trzaskają od dachów,
Zanim płomień pożarów wyblęśnie.

Co ta apokatastasis przyniesie, co wyrośnie z popieliska — mniej-
sza o to. Rozbicie wydaje się kompletne. Jednakże nie. Zostało
z rozbicia jedno. Kiedy zbuntowanym mieszkańcom przytułku
ksiądz proboszcz zagroził wydaleniem, Rakoczy w litosnej trosce
o nich podejmuje się umocowania krzyża na spróchniałej wieży,
byleby tych nędzarzy uchronić od ostatecznej tułaczey nędzy. Nie
trudno powiedzieć, co ten jego krok znaczy, jaką to cenę on płaci.
Kurzawa odrzucił pokusę, by zostać „kościelnym dziadem“, Rakoczy
i na to zejdzie, przekreśli całą swą drogę, pójdzie i na tę wysługę,
byle wyświadczyć ludziom odrobinę dobra. Myśl jego się rozplotła,
wola zbawcza szczęła, wiary runęły, zostało serce, tklivość ku lu-
dziom i rozrzewnienie nad nędzą. Serce nieporadne.

Słuchając rozpaczliwej spowiedzi Rakoczego pod koniec II aktu
— musimy przystanąć, z nagłą uderzeni. Nie obcy nam ten „kruczy
ton“. Ktoś już w Polsce prawil raz podobnymi słowy o tej stypie
i o takim zaprzepaszczeniu się w zatrącie, w pożarze światów. Było
to w Bronowicach, na Weselu:

Ach, kresu — ach, kresu lotom!
Niechby się raz wszystko spali,
Zetrze się, na proch się zypie,
jak kolumny, na gruz się rozwali,
byśmy padli potruci
jadami w pogrzebowej stypie!
Niechajby się raz wszystko spali!

Na to wyszło reformatorowi przysłopskiemu! Z Dziennikarzem po bratersku „pod rękę — będzie szedł na Ucztę — mękę“, w jakimś rozpaczliwym herostratyzmie. Jeżeli postać Rakoczego w „epilogu“ ujęta została autosatyrycznie, to widzimy, do czego doszła zapalczywość satyry. Rakoczy, na równi ze swym druham z „Wesela“, staje się literackim wykładnikiem bankructwa, które się uprzytomniło pisarzom, co zechcieli być sumieniem tamtej generacji.

Po pogromie życiowym, z którego zdaje sprawę „epilog dramatyczny“, Rakoczy zostaje w położeniu, które najlepiej określić słowami z tejże samej rozmowy weselnej:

*W pijaństwie duszę zabili,
a nie mogli zabić serca.
Zostało serce, co woła
słakane u bram kościoła,
skrwawione u wrót świątyni,
i jeszcze w męce okrutnej,
w czulej litości rozrzutnej
samo siebie wini.*

Iście tak. To serce — to ostatnia stawka życiowa Rakoczego. Czy mu pozwoli jeszcze się odegrać? Zaraz zobaczymy.

4

Kiedy w r. 1909 w krakowskiej „Krytyce“ ukazało się ironiczne opowiadanie Orkana „Wesele Prometeusza“, zorientowano się wnet w jego aluzyjnym charakterze. Podobno Tetmajer był zdania, że jest to pamflet wymierzony przeciw niemu. Nie dostrzeżono atoli, iż pamflet zwraca się w inną całkiem stronę, że autor kierował go przeciwko sobie samemu. Tymczasem tak właśnie było. Jest to dalszy utwór, w którym kompleks Rakoczego zostanie literacko rozsządzony i zamknięty.

Podniecie bezpośrednią do tej wersji poddał Orkanowi, być może, impuls natury literackiej. W r. 1901 ukazał się w „Chimerze“, a w r. 1905 w osobnym tomiku przełożony przez Miriama niesamowity trochę utwór A. Gide'a „Prometeusz źle spętany“. Autor sprowadził w nim Prometeusza na bulwary współczesnego Paryża, a z nim także jego orła. W toku najdziwniejszych przygód, które tu do rzeczy nie należą, każe mu (w więzieniu) tego orła pielęgnować

i sownie go karmić; orzeł wyjada mu wątrobę i pięknieje na podziw. Wyrwawszy się z więzienia Prometeusz wygłosił o swym orle publiczną prelekcję. Rozwinął w niej trzy punkty: Trzeba mieć swego orła. Każdy z nas ma jakiegoś. Należy swego orła kochać, kochać to, co nas pożera.

„Nie lubię ludzi — mówi Prometeusz — lubię to, co ich pożera... Jakiś orzeł pożera nas nieodzownie: występki lub cnota, obowiązki lub namiętność. Przestańcie być tylko byle kim, a nie ujdziecie mu. Ale jeśli nie będziecie karmili z miłością swego orła, zostanie on szarym, nędznym, niewidzialnym dla wszystkich, niegodnym mąk, jakie sprawia, pozbawionym piękności — wówczas to ludzie zwać go będą... sumieniem“¹⁸).

Prelegent nie przekonał słuchaczy. Zapewne — mówili — orła swojego ma każdy z nas. „Ale nie nosimy go przy sobie w Paryżu. W Paryżu ludzie źle patrzą na to. Orzeł zawadza“.

Co z nim począć w mieście?

„Jedni mówili: — Dusi się go. Drudzy mówili: — Sprzedaje się go. Toć redakcje dzienników na to tylko istnieją, łaskawy panie“.

Prometeusz (nie przebywa się bezkarnie między ludźmi) rozwiązał sprawę swego orła jeszcze inaczej: zastrzelił go i dla przyjaciół kazał przyrządzić z niego pieczone. Od tego czasu „uśmiech zadowolenia błyszczy na pulchnym jego obliczu“. Nic go nie „pożera“. Po orle zachował pióra i używa ich do pisan... powieści.

Opowieść jest, jak widzimy, ironiczna, a alegoryzm jej wyklada się w sensie nie najprzychylniejszym dla literatów.

Nie będzie chyba nieoględnością krytyczną, jeśli przyjmiemy, że opowieść Gide'a odegrała niejaką rolę w sformowaniu się opowieści Orkana. I jego Prometeusz przeniesiony został w strony bliskie i w nasze czasy. W opowiadanie o jego losach wśród nas wpłótł autor żart, ironię i głębsze znaczenie. Posłużył się nim dla zdyskredytowania pewnej postawy wobec życia.

Z łańcuchów Zeusowych na Giewoncie, gdzie bytował górnice ze swym sępem i z marzeniami o szczęściu ludzkości, wypłatała Prometeusza polskiego urocza panna Irys, córka warszawskiego grosisty kawy. Czasy były dla poetów pomyślne; p. Irys, otulona w szatę

¹⁸) A. Gide, Prometeusz źle spędzony. Tłum. Miriam. Lwów (1905), s. 67.

poetyckiej melancholii, słysząc, że Prometeusz jest poetą, i to poetą smutnym, postanowiła go pocieszyć. Bez większego zresztą wysiłku omotała go więzami miłości i sprowadziła w doliny powszedniego życia. Z początku tęsknił za swymi szczytami i za sępem, bo i on kochał „to, co nas pożera“. Żył niedawną przeszłością.

„Co najboleśniej rani — mówił — to właśnie jest drogim, drogo przez ból kupionym, przez ten ogień. Sto kar niechby podobnych — skradłbym jeszcze! Miłość przemienia... Nieraz, gdy noce czarne przysły i — jak daleko okiem sięgnąć (a ze sępiej swej wyżyny przebiegać mogłem obszar wielki) — nigdzie światelka... wówczas rozpalala się rana mego serca i jak ognisko rubinowe świeciła w pustce zmroczniałej. Czułem się latarnią zbawczą dla pielgrzymów, zawieszoną u wysokiej skały...“

Ale przeszłość ta powoli zaczynała blaknąć. Wieży były jedwabne, lecz silne. Ogień w piersi począł przygasać. Prometeusz sępa również zastrzelił i podjął się nawet napisać o nim poemat, który by zadedykował p. Irys. Powoli dał sobie wyperswadować smutki, w jednym z banków przyjął posadę, wyrobioną mu przez przyszłego teścia, i już dobrze „sytuowany“ poprowadził p. Irys do ołtarza.

Na uczcie weselnej, pod wpływem wina, porwał się na ostatni już odruch buntu. Przygodnemu przyjacielowi-artyście przy szklance, a wszystkim przy stole w odpowiedzi na toast spróbował wyłożyć, w czym była istota jego życia. Ta właśnie jego spowiedź jest w gruncie rzeczy spowiedzią Rakoczego.

Tak, kochał on i marzył tam na szczytach, kochał ludzkość i marzył o jej szczęściu, o ogniu, którym ją obdarzył i darzyć jeszcze pragnął. Ale tych oto gości ze swego wesela, tych kupców i bankierów nie znał, nawet nie przewidywał, że i oni wchodzą w skład „ludzkości“. „Znał tylko ludzkość i bogów“.

A teraz przejrzał. Ludzkości nie ma, są tylko ludzie: mali, płascy, zdyszani w gonitwie za użyciem i wygodą. Wszystko to wyklada teraz swym gościom.

„Kiedy byłem do skały przykuty, wówczas czułem się gwiazdą zawieszoną w przestrzeni... Byłem ja i czas koło mnie, i gdzieś tam morze szumiące ludzkości. Nie wiedziałem, że ludzkość — to wy... Sroga pomyłka, nie prawdaż? Jak ja was wówczas kochałem! We własnej piersi chowałem dla was ogień wykradziony bogom...“

Nie wiedziałem, że wy macie już swoje kominki i że, obaczywszy mnie przychodzącego z ogniem, moglibyście mię nazwać podpalaczem...“

Coś podobnego było już przecież z Rakoczym, kiedy Suhaj i radni rzucili się go wiązać jako burzyciela porządku, gdy ze swej uboczy przyszedł do nich płomienny nowiną o nowym ładzie.

Prometeusz (Promusiem zwany przez tkliwą małżonkę) próbuje się ratować w sposób nieznany ani Rakoczemu, ani Kurzawie. Zrozumiawszy, że ludzie są różni, że są między nimi woły i anioły, czuje się artystą, duchem wyższym od tłumu zjadaczy chleba, i zamyka się w wyniosłej wieży Piękna. Zostaje mu Sztuka, pani i orędowniczka, jedyna — jak to Orkan wywiódł w „Pogrzebie muzyki“ — rozdawczyni i gwarantka nieśmiertelności. Ucieczka w młodopolski estetyzm ma być więc rozbitkowi jedynym zratowaniem.

Ale nie ma co temu wierzyć. Filisterstwo jest chłonne. Prometeusz został dyrektorem banku. „Żyje solidnie, ubiera się podług mody, mieszka przyzwoicie... i myśli o swoim... sępie? ach, nie!... o zdrowiu!...“

W stanie podchmielonym lubi opowiadać o swych szczytach i o sępie, a w chwili szczególnej wylewności „bierze za rękę najszczęśliwszego przyjaciela, prowadzi go na bok i, odchylając gors koszuli, pokazuje mu bliznę na sercu, gdzie była rana. Blizna już mało znaczna. Utył. Wkrótce tłuszcz ją zaleje...“

„Komedia tragiczna“ o Franku Rakoczym, Pogromcy zła, Prometeuszu — skończona.

5

Rodzaj epilogu jej można by widzieć w drobnym obrazku nowelistycznym pt. „Jaś znad brzegu“. Bohater jej — to też coś w rodzaju Rakoczego w miniaturze.

I ten niepozorny chłopina miał za młodu serce pełne miłości do ludzi. Przygarniał ich, częstował, póki miał za co. A kiedy się skończyło i kiedy go, chudobnego, sąsiedzi opuścili — obmierznął mu świat. Jak Kurzawa, narobił sobie wrogów nie chowając pod korzec prawdy o ludziach. Od obecności więc uciekał w marzenie, wyobraźnią wędrował po światach, których nie widział, ale które przecież muszą być od otaczającego nas lepsze.

„Gorycz napływała weń coraz to głębsza. On, który dawniej miał tyle słów przyjemnych dla ludzi, mało się teraz odezwał do kogo. Już i marzyć głośno przestał“.

Ale w głębi duszy chował marzenie najszybsze: wyjechać stąd, uciec jak najdalej.

— „Bo ja — powiedział do dna rozgoryczony — tym ludziom tej przyjemności nie sprawię, coby ja im tu umarł!“

Nie starczyło Jasiowi dla swoich sąsiadów nawet tej reszty serca, jaką Rakoczy chował jeszcze dla Drozda i Cyrka. Zawód, rozgoryczenie, klęska.

6

Przebiegliśmy w ten sposób cały łuk rozwojowy, na jakim się uwydatnił artystycznie jeden wątek, centralny wątek twórczości Orkana. Jest w tej jego twórczości jakaś niepokojąca tajemnica. Jak się to stało, że ten buńczuczny, zdobywczy prometeizm, jaki cechuje jego wejście w literaturę, w pewnym momencie tak zdecydowanie się załamał? W czym była przyczyna tak ostrego zakrętu? Orkan się nigdy bezpośrednio z tajemnicą tą nie wydał, ale pośrednio krąży on koło niej jak urzeczony, buduje na niej coraz nowe „wielkie metafory“; współbrzmienia jej dosłuchamy się w każdym znacniejszym jego utworze.

Jeżeli wolno kusić się o jej odczytanie, można by chyba powiedzieć, że tajemnica otwiera się dwuskrzydłowo. Złożył się na nią zawód doznany wśród bezpośredniego obcowania ze „swymi“ ludźmi, ze sąsiadami wiejskimi, którzy nie byli w rzeczywistości takimi, jakimi ich sobie młody entuzjasta wymarzył. Równocześnie jednak musiało się coś przesunąć i opaść w samej strukturze osobowości pisarza; nie uchronił się on widać w sobie przed jakimś wilczym dółem. Jakkolwiek surowy był później jego sąd o wsi i ludziach wiejskich, fakt pozostaje faktem, że owo załamanie lotu prometejskiego poczytywał on sobie zawsze za winę, za własną winę, za upadek, za przenievierstwo.

W ten sposób istotę twórczości Orkana moglibyśmy określić jako przemaganie się społecznikostwa i indywidualizmu, egalitaryzmu i elitaryzmu. Przemaganie się takie, można powiedzieć, stanowi fundamentalny problem tamtego pokolenia, uformowanego między

pozytywizmem a modernizmem. U Orkana dokonywało się ono chyba najboleśniej, może dlatego że doszło do niego drogą zaszczepienia na tęm organizmie chłopskim surowicy, wyciągniętej z zamętów czasu z tru ego egotyzmem. Organizm reagował długo i silnie, a pisarz badał go w sobie i wyrażał w kolejnych jego stadiach. Można powiedzieć: obnażył go z wyraźnym nawet okrucieństwem prawdy. To przydaje dziełom jego wagi rzetelnego świadectwa czasu.

Przebieg i wynik tego procesu przemagania się zaważy też na późniejszej twórczości autora. Skutkiem tego odegnie on uwagę swą od współczesnej problematyki wsi i skieruje ją w przeszłość. Szerokim kręgiem przejdzie przez tę przeszłość: nieoddalną, z r. 1848, dawniejszą, z w. XVII, i najdawniejszą, z zamierzchłego „drzewiej“.

Aż po latach powróci znowu do swej wsi, by jej rzeczywistość odtworzyć w wiernych realistycznie „Listach“, a dalsze jej drogi wytaczać we „Wskazaniach“. Ale to są czasy dużo późniejsze. Kompleks Rakoczego jątrzył się w duszy twórcy przez całe ćwierć wieku.

Elżbieta Durczyńska

STANISŁAW JACHOWICZ WSPÓŁTWÓRCA POLSKIEJ LITERATURY DZIECIĘCEJ

I

Stanisław Jachowicz (1796—1857) działał współcześnie z Klementyną z Tańskich Hofmanową. Starszy od niej o dwa lata, wydał swą pierwszą książkę dla dzieci w r. 1824, tzn. w pięć lat po ukazaniu się pierwszej książki Klementyny Tańskiej. Działalność pisarska Jachowicza była jednak znacznie dłuższa niż działalność Hofmanowej. Przeżył on ją o lat dwanaście, pracy zaś pisarskiej nie przerywał do ostatnich dni, podczas gdy właściwy okres intensywnej pracy pisarskiej Hofmanowej zamyka się w r. 1831, czyli w roku jej wyjazdu na emigrację, z której do kraju już nigdy wrócić nie miała.

Ta para współczesnych sobie autorów, którzy pracowali niezmiernie płodnie w nowej dziedzinie literatury, których słusznie nazwać można twórcami polskiej literatury dziecięcej, reprezentuje dwa różne typy psychologiczne oraz — mimo licznych cech wspólnych, charakterystycznych dla owej epoki — różne kierunki w twórczości dla dzieci. Już zewnętrzną formą różnią się ich utwory. Hofmanowa pisze wyłącznie prozą, Jachowicz pierwszy w naszej literaturze dziecięcej wierszem przemawia do dzieci w swych bajkach i opowieściach. Zakres tematyki Jachowicza znacznie jest szerszy od kręgu zainteresowań Hofmanowej. Hofmanową n a p r a w d ę interesują tylko dzieci „dobrze wychowanych“ rodzin. Inne tematy pojawiają się albo w związku z koniecznościami wychowawczymi dzieci dobrze wychowanych, albo pozostają w sferze luźno tylko w pamiętniku zanotowanych zamierzeń („Rozrywki niedzielne dla klasy pracujących“, opowieść o Józiu-ślusarczyku). W twórczości Jachowicza jest inaczej: częstym motywem, jednym z zasadniczych elementów jego twórczości, jest opis życia ludzi skromnych, ubogich, w każdym razie niezamożnych. Krawiec, rybak, kowal, szewczyk — to postacie, o których troskach i radościach, wadach i cnotach chętnie opowiada Jachowicz. „Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej“ i „Książka dla rzemieślnika“ są również bezpośrednim dowodem zainteresowań Jachowicza tym kręgiem społecznym, który dla Hofmanowej pozostał całkowicie nieznany. Działalność Jachowicza na polu dobroczynności (od r. 1832 Jachowicz jest czynnym działaczem warszawskiego Towarzystwa

Dobroczynności, od r. 1844 naczelnikiem sekcji sierot tego Towarzystwa) rozszerzyła niezmiernie jego pole obserwacyjne nie pozwoliła mu się zasklepić wyłącznie w tym świecie, który poznawał, ucząc w zamożnych domach, alarmowała wciąż obrazami niedostatku i nędzy dobrośliwe, uczynne serce Jachowicza. Stąd w jego utworach, mówiących o doli ludzi cierpiących, więcej jest uczucia i prawdy niż w zimnych opowieściach Hofmanowej, zalecających dobroczynność.

Stanisław Jachowicz był urodzonym pedagogiem. Po skończeniu gimnazjum w Stanisławowie oraz po studiach na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Lwowskiego, dwudziestodwuletni młodziśnian przybywa w r. 1818 do Warszawy, gdzie otrzymuje pracę jako kancelista w biurze prokuratorii. Wkrótce jednak porzuca biurokratyczną karierę i zaczyna swą pedagogiczną działalność jako nauczyciel języka polskiego zarówno na pensjach żeńskich, jak też i po domach. Jako nauczyciel prywatny zyskał sobie ogromne zaufanie. Talent pedagogiczny, wiedza i sumienność przysporzyły mu mnóstwo wychowanków. Jak bardzo kochanym i lubianym był przez nich, o tym zaświadczy po latach „Wieniec“ (1857), którego trzy tomy nie zdołają objąć wszystkich utworów, poświęconych w hołdzie Jachowiczowi przez „pierwszych w kraju Autorów oraz licznych Jego przyjaciół i wielbicieli“, wśród których jest wielu jego wychowanków. I tu znów uderzy nas różnica, jaka w porównaniu z Hofmanową rzuca się w oczy. Krytyczne i zimne uwagi Narcyzy Żmichowskiej o Hofmanowej jako praktycznym pedagogu, brak jakichkolwiek świadectw przywiązania i miłości ze strony uczennic Hofmanowej — stawiają i w tej dziedzinie wyraźną różnicę pomiędzy tymi dwiema postaciami.

Rozwój pedagogicznego instynktu Jachowicza zapoczątkowany został zapewne w atmosferze domu rodzicielskiego. Wojciech Jachowicz, ojciec Stanisława, pełnomocnik w dobrach Tarnowskich, szlachcic, co w „Silva rerum“ nakreślił pieczołowicie genealogię rodziny Jachowiczów i „explikacją“ ich herbu, przywiązywał wielką wagę do starannego wychowania; a że się do pióra nie lenił (pozostawił wszakże nieco pism po sobie), więc, gdy starszy brat Stanisława, Józef, do szkół do Rzeszowa jechał, pan Wojciech dał wyraz swym poglądom wychowawczym, pisząc dla niego instrukcję. Przykazuje w niej synowi pobożność, poszanowanie rzeczy swoich i cudzych („w szachry na mienianie rzeczy, w gry żadne nie wchodzić“). „W płochości żadne, osobliwie z podrym ludźmi, nie wdawać się, do rodziców regularnie pisywać i do nauki przykładać się“. Oto czego jeszcze oczekuje ojciec od syna, kończąc instrukcję w ten sposób: „A jeślibyś (czego Boże zachowaj) nie brał się szczerze do nauki, tedy wcześniej nam donieś, że chcesz być osłem, abyśmy o tobie zapomnieli,

a pamiętali o Stasiu, bracie twoim młodszym, łożąc koszta na edukację jego, z której pewniejszą mielibyśmy pociechę“.

Stanisław Jachowicz swoje zamiłowania pedagogiczne w różnorodny wyraził sposób. Praktyczna działalność jako nauczyciela, ojcowskie obowiązki wychowawcze w stosunku do własnych synów oraz przybranych wychowanków, utworzenie pierwszych ochron w Polsce i opieka nad nimi, pisywanie książek, mających ułatwić naukę, jak elementarzy, śpiewników dla dzieci, kalendarzyków, wydawanie „Dziennika dla dzieci“, wreszcie układanie wierszyków dla dzieci, które przede wszystkim uczyły go sławnym — oto różne kierunki, w których poszły zamiłowania pedagogiczne Jachowicza, wypełniając jego niezwykle czynne i pracowite życie.

Ambicja pedagoga była jedyną ambicją Jachowicza. Pisząc „Kilka słówek“ jako wstęp do szóstego wydania swych „Powiastek i bajek“, Jachowicz zwierza się swym czytelnikom:

„Piosnka przebrzmi, poemat zachwyci, wielkie drama wzruszy namiętność, ale bajka nauczy, bajka w pamięci zostanie; z pamięci przejdzie do serca, z serca w życie praktyczne i wyda owoc, owoc pożyteczny. Ja też więcej nie pragnę. Nie pragnę sławy, nie chcę być liczonym w rząd poetów, nawet do tytułu literata nie wzdycham; zresztą nic innego pisać nie umiem; co w moich siłach tym służyć, proszę przyjąć łaskawie...“

„Nie piszę dla krytyków, piszę dla dzieci różnego wieku i stanu, dzieci niech mnie sądzą.“

Ale dbając o sąd dzieci, Jachowicz nie zapomina też o rodzicach. Bardzo często w książeczkach swoich zwraca się do nich, uczy ich, jak mają wychowywać dzieci i jak korzystać z książek dla dzieci. Jako pedagog, poucza rodziców, jak podawać dzieciom jego bajki, jak je wyjaśniać, jak podkreślić morał. Na trzech bajkach nawet konkretnie wskazuje, jak to robić. A nawet niektóre wiersze, umieszczone pomiędzy utworami dla dzieci, raczej (jeśli nie wyłącznie) dla rodziców są przeznaczone. W ten sposób Jachowicz przemycia niejako nauki dla rodziców, przede wszystkim o znaczeniu wychowania, o konieczności nadania właściwego kierunku dziecku od lat najmłodszych. Jachowicz uważa, że dla wychowania lata dzieciństwa mają decydujące znaczenie.

Wiersze Jachowicza przystosowane są do potrzeb młodego wieku. Jeśli nawet większości z nich odmówić by nawet trzeba było tytułu do poezji, to jednak ich przydatność wychowawcza była wielka. Przemawiają one do dziecka językiem prostym, jasnym, nawiązują do wydarzeń z życia codziennego, świat dziecka jest ich najczęstszym i najulubieńszym tematem. Toteż popularność wierszy Jachowicza była ogromna. Po stu przeszło latach niektóre z jego utworów zachowały świeżość i niosą radość

dzieciom jakże innej i nowej epoki. Świadectwem trwałych wartości niektórych wierszyków dziecięcych Jachowicza są nie tylko liczne aż do połowy wieku XX sięgające wydania wyborów jego bajek i powiastek, lecz również opinia znawcy naszej literatury dziecięcej I. Skowronkówny, która umieściła kilka utworów Jachowicza w swej „Antologii polskiej literatury dziecięcej” (1946).

Oczywiście ideały wychowawcze i społeczne Jachowicza wiążą się ściśle z epoką, w której żył i działał. Jego książki dziecięce były narzędziami wychowania, wyrażały więc pewną określoną postawę społeczną, reprezentować musiały jakieś konkretne interesy, choćby na pozór było nawet inaczej.

II

Chcąc wniknąć w istotną treść twórczości Jachowicza dla dzieci oraz dać właściwą ocenę jego założeń wychowawczych, trzeba przede wszystkim zapoznać się z poglądami religijnymi Jachowicza.

Nieco ckliwy jego optymizm, pogodny w gruncie rzeczy spójrzanie na świat, łzawy filantropizm (czujemy jednak, że źródłem jego jest miękkie i dobre serce pełnego uczuć filantropijnych, czynnego w miłosierdziu chrześcijańskim człowieka) stają się do głębi zrozumiałe wtedy dopiero, gdy uprzytomnimy sobie, jaka była religijność Jachowicza i jakie były jej konsekwencje w jego społecznych poglądach.

Stanisław Jachowicz wychował się w domu pobożnym i religijnym. Ojciec jego we wspomnianych wyżej instrukcjach dla syna Józefa na pierwszym miejscu umieścił zalecenie pobożności. Matka Stanisława, Wiktoria z Dobrzańskich, była świątobliwą matroną, która dla hr. Tarnowskiej własną ręką pięknym pismem napisała książeczkę do nabożeństwa. Atmosfera, w której upływa młodość Stanisława, tym większe na nim pozostawić musiała ślady, bo wszakże urodzony w Dzikowie, widział rzesze pątników i pielgrzymki do cudownego obrazu Matki Boskiej, słyszał w uroczyste odpusty pieśni pobożne, śpiewane wśród religijnej egzaltacji przez wiernych, brał nie jeden raz udział w gorących modlitwach i adoracjach. Wiara, umocniona w tej atmosferze, towarzyszyć mu będzie przez całe życie.

Jachowicz wierzy w stałą i przejawiającą się w każdym nieledwie zdarzeniu życiowym opiekę Opatrzności. Z tej wiary wypływa niewątpliwie optymistyczny pogląd na urządzenie tego świata. W wyniku opieki Opatrzności, w wyniku stałej ingerencji boskiej — trzeba uznać, że życie nasze toczy się w sposób dla nas najlepszy, chociażby nam nawet nie szczędziło trosk i zmartwień, które dla naszego dobra i zbawienia Bóg na

nas zsyła. W pogodnych słowach Jachowicz maluje dzieciom doskonałość urzędującego tego świata:

Opieka Opatrzności

I dobra myszka kocha swe dziecińki,
Skąd może, dla nich zbiera odrobinki,
Niesie do jamki każdy kąsek mały,
Ażeby biedy, głodu nie zaznały.
Każda ptaszyna, co lata po świecie,
Futerkiem z piórek okryta na grzbiecie:
Zimno nie dojmie, deszcz po piórkach spływa,
Zawsze wesoła, swobodna, szczęśliwa.
Każde stworzenie z łaskawości nieba
Ma co do życia koniecznie potrzeba,
Ma pożywienie, domek i okrycie,
Wiedzie wesołe i szczęśliwe życie.

Jeden z najpopularniejszych wierszy Jachowicza „Dziecię i rybki“ mówi o tym, że każdy pozorny przypadek może być wynikiem troski boskiej o dobro na świecie, w konkluzji zaś z pełnym optymizmem mówi o losie ludzkim:

Dziecię i rybki

Szło dziecię przez rzeczkę
I niosło bułeczkę.
Przez figielki płochę
Rzuca w wodę trochę.
Rybki to spostrzegły,
Do bułki się zbiegły,
O, bardzo się zdało.
Rybkom jeść się chciało...
I jak też myślicie?
Skąd się wzięło dziecię?
Bóg je wiódł przez rzeczkę,
Bóg mu dał bułeczkę,
Bóg rączką kierował,
Rybki poczęstował.
Tak Bóg i człowieka
Pociesza w niedoli,
I ulgi dozwoli,
I z pomocą czeka.

Przyroda jest dla Jachowicza oczywiście dziełem Boga. Co więcej, wskazuje on swym małym czytelnikom na to, żeby w każdym przejawie przyrody widzieli stałą ingerencję Boga i świata nadprzyrodzonego. Ten dobrotliwy i łagodny Bóg Jachowicza, czuwający troskliwie nad porząd-

kiem świata, objawia się codziennie i bezustannie w otaczających nas zjawiskach przyrody. Pogodna, przyjemna, grzeczna przyroda ukazuje się dzieciom z wierszy Jachowicza:

Już ptaszyna do swych dzieci
Z pożywieniem w dzióbku leci:
Dzień dobry wam.

Już kwiaty oblane rosą
Woń przyjemną w dani niosą,
Kogut ranną porę głosi,
Gołąb się w pole wynosi:
Dzień dobry wam.

Wszystko się z poranka cieszy,
Wszystko się do pracy spieszy,
I brat brata wita tkliwie,
Za rękę ściska życzliwie:
Dzień dobry wam.
(Dzień dobry.)

W przyrodzie, jak ją Jachowicz prezentuje dzieciom, nie ma żadnej tajemnicy. Wszystko rozwiązuje się w sposób prosty i łatwy, wyjaśnienie jest jedno — i uniwersalne — poprzez ingerencję świata nadprzyrodzonego. Naturalne i jakże w swoich wynikach — w dalszym rozwoju — owocne zainteresowanie dziecka światem, przyrodą, zjawiskami otaczającymi człowieka, zostają w tej koncepcji, która leży u podstaw twórczości Jachowicza, skanalizowane w sposób bezpieczny. Groźny ładunek ciekawości wobec świata zostaje zawczasu rozładowany, rozbrojony.

Optymistyczna wiara w słuszny porządek świata, wywodzący się z boskiej mądrości i opieki, nie zasłaniała Jachowiczowi faktu, że wszędzie dookoła — a wszakże nie stykał się on tylko z „elitą“ towarzyską, lecz również i z drobnym mieszczaństwem, z biedakami i nędzarzami — wszędzie zetknąć się można z troskami ludzkimi, z ciężką pracą, z biedą i nędzą. Ale odpowiedzi na te niewątpliwe fakty społeczne Jachowicz nie szuka w krytyce panującego ustroju społecznego, nie szuka tych sił i przeciwieństw socjalnych, które w jego oczach wszakże właśnie w pierwszej połowie XIX stulecia u nas rosły i rozrastały się stale. Odpowiedź Jachowicza, którą daje ludziom stroskanym i utrudzonym gwoili pocieszeniu (np. w „Książce dla rzemieślnika“), ludziom bogatym i zamożnym gwoili uspokojeniu i dzieciom gwoili nauce i wychowaniu — szuka przyczyny wszelkich trosk w Bogu, który dla naszego dobra na nas je spuszcza:

Pieśń o trosce

Nikt skarg moich nie usłyszysz,
Z cierpliwością zniosę troski:
Bez szemrania przyjmę w ciszy,
Co mi zesłał wyrok boski.

Bóg na próżno nic nie zsyła,
Mówi rozum i sumienie;
Chociaż troska nam niemiła,
Niesie pokój i zbawienie.

Cierpliwości troska uczy,
Uczy miłości bliźniego;
A czym nam bardziej dokuczy,
Tym więcej sprawi dobrego.

Troska wznosi myśl do Boga,
Zaufanie w sercach nieci,
Wskazuje, gdzie cnoty droga,
Gdzie Bóg czeka swoich dzieci.

Nikt skarg moich nie usłyszysz,
Z cierpliwością zniosę troski,
Bez szemrania przyjmę w ciszy,
Co mi zesłał wyrok boski.

Wśród cierpień, trosk i trudów życia — uczy swoich małych czytelników Jachowicz — czuwa nad człowiekiem Opatrzność boska, czuwa świat nadprzyrodzony:

Chcesz, moje dziecko, wiedzieć, co to Aniołkowie?

I to ci matka opowie:

Gdy nędzarz śle łzę do nieba —
Oni mu przynoszą chleba;
Płacze Matka nad dzieciną —
To z pociechą do niej płyną;
Gdy nieszczęście nam zagraża,
Głód, zaraza nas zatrważa,
Gdy serce jęczy ścieśnione —
W Aniołach mamy obronę.

(Aniołkowie)

Człowiek nie jest zresztą i nie powinien być tylko bierny w obliczu trosk i nieszczęść. Modlitwa i praca — oto broń, w którą Jachowicz uzbroić pragnie dzieci na trudne i uciążliwe życie.

Motyw modlitwy wraca często w wierszach Jachowicza. Jest u niego pewna ostentacja religijna przy dużej dozie sentymentalnej dewocji. Pierwsza rada, którą Mama Stasiowi w dzienniczek wpisała (Nauka w za-

bawce), brzmi: „Skoro oczy otworzysz, westchnij do Boga... Idziesz spać, nie zapomnij o Bogu, uczcij Go znowu modłami“.

Naiwna wiara w skuteczność modlitwy, cikliwy sentymentalizm przy tym niechaj charakteryzują wyjątki z wiersza „Wieśniak pod Krzyżem“:

Krzyż prosty, drewniany, na polu wśród drogi
A przy nim pobożny wieśniaczek ubogi...

„Wieśniaczek“ modli się żarliwie i kiedy panicz go pyta:

Czego się tak modlisz, rolniku kochany?

wyjaśnia, że modli się o deszcz, bo susza niszczy mu plony. Na to panicz:

O! Bóg cię wysłucha, pocieszy w potrzebie.
I mała się chmurka pomknęła po niebie.
A wieśniak się modlił, oczy w niebo wznosił
I spłynął deszcz z chmurki, i ziemię urosił.

Skoro się będziemy pobożnie modlili,
Bóg prośby wysłucha; nie zawsze tej chwili,
Lecz zawsze wysłucha i dobrze rozrządzi:
My ludzie omylni, On nigdy nie błądzi.

III

Pomoc bożą nie tylko modlitwą zyskujemy. Również i pracy naszej Bóg błogosławi. Praca — w optymistycznym na świat poglądzie Jachowicza — to gwarancja pomyślności życiowej, to pewna droga do dostatku, to remedium cudowne na przeciwności życiowe i niepowodzenia.

W „Książce dla rzemieślnika“ wypowiada ten pogląd Jachowicz i w dłuższym opowiadaniu prozą pt. „Błogosławieństwo matki“, w którym chłopiec wiejski Łukaszek „pracą i przemysłem wielkiego dorobił się majątku“, i w wierszach, i w „myślach różnych“.

W swoich wierszach dla dzieci Jachowicz w sposób dobitny akcentuje znaczenie pracy w życiu ludzkim. Jest to jeden z zasadniczych motywów wychowawczych w jego twórczości.

Magdusia

Ze wszystkich stron pochwały odbierając liczne,
Chwaliła się Magdusia, że ma rączki śliczne.
Jakoż istotnie były i szczupłe, i białe,
Chciała więc i ode mnie odebrać pochwałę.
Ale ja, co szczerością zaufania płacę,
Rzekłem: te najpiękniejsze, na których znać pracę.

Wiarę w skuteczność pracy, jako drogi do uzyskania dobrobytu, ilustruje dobrze wiersz „Wieśniak“:

Biedny wieśniak rozliczne wytrwawszy przypadki
Rzekł: „Ja bym tylko pragnął lichej jakiej chatki,
Krowy, owieczki i szkapiny starej.“
Spotkały go te dary

Ale wkrótce kradną mu owcę, ginie krówka, „pada klaczka wynędzniała“, dziedzic „za długi, czynsze, daniny, podatki, że nie miał pieniędzy — wypędza go z chatki“. Ale wieśniak pożycza od sąsiadów siekiery i piły:

Poszedł więc na zarobek do pobliskiej wioski,
Pracował i oszczędzał, przy pomocy boskiej
Niezaślugo założył gospodarstwo nowe;
Znowu ma owcę, konia, chałupkę i krowę.

W „Śpiewach Bartosza“ Bartosz zachęca do pracy i oszczędności:

Kto pracuje a oszczędza,
Nie da mu się w znaki nędza.
Zbieraj, zbieraj choć po trosze,
W dukaty się zmienia grosze.

Gdzie indziej znów czytamy taką odpowiedź kukułce:

Kukaj, zdrowa kukuleczko, nie wierzę ja tobie:
Nie dasz ty mi nic podobno, kiedy nie zarobię;

Ale niechże do roboty zabiorę się żwawo,
I pewniejsze i smaczniejsze, co zarobię krwawo,
Będzie z czego i pohulać i jeszcze zostanie...

(Kukułka)

W prostych słowach swych wierszy Jachowicz zachęca dzieci do pracy. Skoro tak wielka jest wartość pracy i skoro w życiu będą musiały pracować, niech się sposobią do tego już w latach dzieciennych. W ten sposób nauczą się szanować pracę:

Nie wstydź się, moje dziecię, przypasać fartuszek,
Rozniecić w kuchni ogień, przystawić garnuszek,
Nigdy się rondelkowi książka nie sprzeciwi;
Ona pożywi duszę, on ciało pożywi.
Patrz, jak się len zasiewa, jak się płótno bieli;
Nie wstydź się wraz z czeladką zasiąść do kądzieli.
Nie poniża nikogo użyteczna praca,
A zawsze się sówicie korzyścią odplaca.

(Rada)

Jachowicz akcentuje w wierszach dla dzieci, że człowiek, który uczciwie pracuje, zawsze, choćby najniższej był profesji, zasługuje na szacunek. Pochwała pracy, pochwała człowieka pracującego, uznanie uczciwej pracy za walor, który trzeba cenić niezależnie od tytułu, pochodzenia, zawodu, bogactwa czy nędzy człowieka pracującego — pojawia się w naszej literaturze dziecięcej w sposób jasny i prosty po raz pierwszy właśnie u Jachowicza:

R z e m i o s ł a

Każdy człowiek, gdy pracuje,
Skarbi sobie łaskę bożą;
Więc niech kowal w kuźni kuje,
Niech rolnicy w polu orzą,
Niechaj stolarz stoły robi,
Krawiec szyje sukieneczki,
Niech szewc buty przysposobi,
Bednarz niech pobija beczki,
Niechaj mularz dom postawi,
Ślusarz robi zamki, kłódki —
Pan Bóg im pobłogosławi
I odpędzi wszystkie smutki.
Kto pracuje pilnie, szczerze,
Tego Bóg w opiekę bierze.

U Jachowicza — po raz pierwszy w polskiej literaturze dziecięcej — pojawia się pracowity i biedny człowiek jako samoistny i ważny temat. Po raz pierwszy zmniejsza się (pozornie zresztą) dystans dzielący ludzi różnych klas i zawodów. Serdeczny i głęboko ludzki stosunek Jachowicza do ludzi prostych i ubogich przemawia do dzieci w sposób sugestywny i bezpośredni:

K o m i n i a r c z y k

Wszedł do pokoju kominiarczyk mały.
Dzieci w kątki uciekały
I zestarzałym zwyczajem
Straszyły się nim nawzajem.
Ojciec rzecze: „Źle robicie,
On uczciwym sposobem zarabia na życie,
Brzydko wygląda, bo w komin leżeć musi,
Choć się wala, choć się krztusi.
Czyż dlatego nim gardzić i bać się go trzeba?
Lepiej dać kilka groszy lub kawałek chleba“.

Stosunek do cierpiących nędzę i ubóstwo jest w twórczości Jachowicza jednym z zasadniczych elementów wychowawczych. Zgodnie ze swą tendencją i tutaj szuka Jachowicz argumentacji o charakterze religijnym. Oto jak „Dziadek“ poucza dzieci:

Naprzód się, dziateczki, Bóg biednym objawił,
 Najpierw uciechę ubożuchnym sprawił.
 Widzicie, dziateczki, Bóg uczy przykładem:
 Nie gardźcie sierotą i zgrzybiałym dziadem,
 Sierotę otulcie, pocieszcie staruszką,
 Bo wam na to Pan Bóg dał dobre serduszka.

Jachowicz wyraża pogląd, że człowiekowi na świecie bardzo mało potrzeba. Toteż szczęście może być udziałem ludzi ubogich i nędzarzy:

W słomą krytej niskiej chatce
 Przy ubogiej mieszkam Matce;
 Chodźcie do nas, zobaczycie,
 Jakie to tu miłe życie.
 Kołowrotek się obraca,
 Ubóstwo nam słodzi praca;
 A szczęśliwi i weseli
 Pracujemy do niedzieli.
 Dzień nam za dniem słodko płynie,
 Jak niedziela życie minie;
 Minie szybko, niespodzianie,
 Dobroć boska pozostanie.

(Pieśń ubogiej dziewczynki)

Do szczęścia nie są potrzebne bogactwa — uczy Jachowicz. A co więcej — dodaje — wszystkie dobra tego świata, dobra doczesne są przemijającą marnością:

I światłość boska chłopka oświeciła.
 Nie pragnie złota, złoto marność ziemi,
 Jeszcze się swoim dzieli z biedniejszymi,
 Tęskni do nieba, trudy ziemskie znosi,
 Prosi Boga o cnoty, o skarby nie prosi.

(Skarb prawdziwy)

Pogląd Jachowicza na marność dóbr doczesnych, jakkolwiek zaczerpnięty z religijnych i moralnych przesłanek, ma w wychowawczej treści twórczości Jachowicza niewątpliwy swój aspekt społeczny. Argumentacja ta — skierowana do ludzi uboższych, w stosunku do których nie sprawdziła się optymistyczna wiara Jachowicza, że pracą do dostatku coś można, do ludzi zmagających się zatem w pocie czoła z przeciwnościami żywiołowymi, trudzących się o kawałek chleba powszedniego — argumentacja ta ma przekonywać, że mierny i nędzny byt może też dać szczęście, że pieniądze, złoto, dostatki, którymi cieszą się bogaci, są marnością, są czymś przemijającym, czego zazdrościć nie warto. Ale — trzeba to podkreślić — argumentacja ta równocześnie uspokaja sumienia dzieci

żyjących dostatnio, mówiąc im, że i biedni, i nędzarze mogą być też szczęśliwi, że skoro dostatek jest ziemską marnością, więc ubogim nie jest on niezbędnie do szczęścia potrzebny. Ta uspokajająca argumentacja była niewątpliwie bardziej przekonująca dla dzieci bogatych środowisk i ona to w znacznej mierze przyczyniła się do olbrzymiego i jakże długotrwałego sukcesu Jachowicza u klas posiadających, w szczególności zaś u średniej burżuazji, której obłudna, pełna pruderii moralność z satysfakcją widziała w Jachowiczu, właśnie w tym serdecznym, prostym, jasnym, tkliwym, cnotliwym Jachowiczu swego sprzymierzeńca w wychowywaniu dzieci.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że czułe serce Jachowicza, jego czynne i pełne litości miłosierdzie, któremu dał niewątpliwe i owocne świadectwo w ciągu całego niemal swego życia, nie mogły go uchronić od takiej właśnie wyraźnie klasowej postawy społecznej.

IV

Jachowicz stał zresztą wyraźnie, jeśli idzie o jego poglądy na strukturę społeczną, na stanowisku zachowawczym. Nie chciał wielkich zmian ani reform. Chwalił idylliczne patriarchalne stosunki jako ideał właściwego układu społecznego, do którego powrócić należy, bo ludzie go zepsuli. Florian Łagowski, pisząc w r. 1891 entuzjastyczną pracę o twórczości Jachowicza, stwierdza:

„Reformować społeczeństwa pod względem socjalnym nie myśli wcale: pragnie tylko, aby ludzie byli jak najlepsi i aby się zadowaliali swoim położeniem socjalnym. Pan niech myśli o dobru swoich poddanych, sług; słudzy — niech służą panu wiernie nie dla pieniędzy, lecz przez miłość dla niego lub poczucie obowiązku. Rzemieślnik niechaj akuracnością i dobrą robotą zjednywa sobie wzięcie“.

Każdy członek społeczeństwa może być przydatny w swoim stanie. Niech każdy czyni, co do niego należy, niech spełnia obowiązki swego stanu. Struktura społeczeństwa od Boga pochodzi, więc też musi być doskonała. Powołaniem człowieka jest zajmować to miejsce w społeczeństwie, które mu w udziale przypadło i powinien być zadowolony z funkcji społecznych z tym miejscem związanych:

Różnymi dary Bóg nas ubogaca:
Niechaj pracuje, kogo wzywa praca;
Kto pług otrzymał, niechaj ziemię kraje;
Kto ma bogactwo, niech uboższym daje.
Kto ma nauczać, niechaj uczy ludzi;

Kto jest kapłanem, niech ku cnocie budzi,
 Kto został sługą, niech o tym pamięta:
 Ze wiernie służyć — to powinność święta.

(Pieśń o powołaniu człowieka)

Każdy, kto swoje obowiązki sumiennie i dobrze spełnia, doczeka się w rezultacie nagrody, choćby tą nagrodą był... udział panów w pogrzebie.

Na pogrzeb ubogiego dozorca
 moralnie zaniedbanych dzieci:

Nasza Warszawa widziała,
 Jak zasługę wieńczy chwała.
 Panowie za trumną — był to widok tkliwy —
 A w trumnie sługa pocziwy.

Ten zachowawczy stosunek do ustroju społecznego narzuca w konsekwencji — jako ideał wychowawczy — dążenie do wychowania dzieci w duchu optymizmu i miłosierdzia, jeśli idzie o dzieci rodzin bogatych czy zamożnych, oraz w duchu pokory i pogodnego poprzestawiania na małym, jeśli idzie o dzieci ze środowiska biedniejszego. „W Ignasiu z Tamki — pisze Jachowicz we wstępie do „Nowych śpiewów dla dzieci“ — chciałem odmalować typ naszych biednych chłopczyków, przestających na małym, nie narzekających, nie oddanych rozpacz przy niedostatku, nawet pobożnych, za każdy kawałek chleba dziękujących Bogu, a przynajmniej tak, jak pragnę, żeby było. Chciałbym przynajmniej to w nich w m ó w i ć. Jeżeli tak nie jest, to źle, chciałbym przekonać, że tak być powinno“.

Trzeba bowiem stale pamiętać, czytając Jachowicza, że — pisząc w zasadzie dla różnych warstw społeczeństwa, przede wszystkim zaś dla mieszczaństwa — równocześnie stawia on ideały wychowawcze i przepisy postępowania dla tych, w stosunku do których zawiodła optymistyczna wiara w dobroczynny mechanizm pracy i dobrobytu. Tym Jachowicz zaleca cierpliwość, pokorę, wiarę w miłosierdzie boskie i szukanie szczęścia, poprzestając na małym. W ustroju społecznym, który Jachowicz w zasadzie akceptuje i którego bynajmniej zmieniać nie pragnie, dążyć należy do takiego ułożenia stosunków pomiędzy ludźmi na różnych szczeblach społecznych, by dla ich własnego szczęścia wiązała ich miłość chrześcijańska. Toteż wyniosłość, zarozumiałstwo spotyka się u Jachowicza z naganą:

S z y s z k a i g r y b

Nadęta siedząc szyszka na wyniosłej sośnie,
 Drwiła sobie raz z grzyba, że tak nisko rośnie.
 Wiatr wionął, szyszka spadła i rzekła w pokorze:

„Czym kto wyżej wzniesiony, łatwiej upaść może”.
Gdy nas losu igrzysko zrobiło wielkimi,
Nie gardźmy biednym grzybem rosnącym przy ziemi.

Stosunek między ludźmi z wyższych i niższych szczebli drabiny społecznej Jachowicz chciałby ułożyć na zasadach miłości chrześcijańskiej, według patriarchalnych wzorów.

Rzecz osobliwa, Jachowicz, który miał wzrok na biedę i nędzę wyostrzony, który starał się zbliżyć i zbliżył się istotnie do człowieka prostego i potrzebującego pomocy, który w szeregu poszczególnych utworów, pierwszy wniósł do naszej literatury dziecięcej szczere i z serca płynące współczucie dla nędzy ludzkiej oraz ideał czynnego miłosierdzia, chcąc ratować swój patriarchalny ideał stosunków społecznych, stawał się ślepy na prawdę, przestawał widzieć rzeczywistość, pograżał się w uśmiechnięte zakłamanie. Najbardziej jaskrawo występuje to w utworach Jachowicza poświęconych wsi i chłopom.

Okres działalności pisarskiej Jachowicza przypada na epokę, którą w polskiej historii gospodarczej nazwano epoką wielkich reform włościańskich. A jednak w utworach Jachowicza nie odezwie się najsłabszym chociażby echem myśl o tych reformach. Jachowicz widzi i opisuje wieś, dla której reformy społeczne i gospodarcze nie są wcale potrzebne, wieś uśmiechniętą, zadowoloną i szczęśliwą, wieś zasobną, wieś bogatą i bogobojną, wieś kochającą pana. Słowem — wieś nieprawdziwą. Toteż obraz wsi u Jachowicza jest konwencjonalny i sztuczny.

W pamięci tego syna rządcy dóbr hrabiego Tarnowskiego pozostała wieś jego dzieciństwa, wieś spokojnych i cichych dni:

Stoi tam dworek nad Wisłą potokiem
W cichym zakątku; szczyty drzew go kryją,
A z okien przestrzeń niedojrzała okiem
I starożytne szczątki w oczy biją;
Tam wzięłem życie, tam dni pierwiastkowe
Płynęły cicho tak, jak potok płynie.
Aż miło wspomnieć słodko chwile owe
Samotnych zabaw w ojczystej dolinie.

(Z rękopisu cyt. przez F. Łagowskiego)

Ale ten idylliczny obraz i nastrój wsi stawał się kłamstwem, gdy mówił nie o dworku pana rządcy, lecz o życiu chłopą, o codziennym znoju pracy wiejskiej, o dolach i niedolach codziennych.

Praca i wesołość, nagradzająca trudy i mokoły, splatają się w taki oto — jakże daleki od prawdy — obraz wsi i pracy wiejskiej za czasów Jachowicza:

Żniwo i okrężne

Widzisz, dziecię, patrz w tę stronę:
 Te punkciki rozrzucone
 To są ludzie w ciężkiej pracy;
 Sierpem zboże zną wieśniacy,
 Pot strumieniem płynie z czoła,
 Piosnka w ustach brzmi wesoła. —
 Widzisz — Ojciec mówił dalej —
 Ludzie ziarnka w ziemię siali,
 By nie była próżna praca,
 Bóg im w kłosach więcej wraca.
 Ci, posłuszni jego woli,
 Idą zboże zbierać z roli.
 Jak już zbiorą i sprowadzą,
 Na podwórku się zgromadzą,
 Przyjdą z wieńcem do dziedzica,
 A na czole poprzednica.
 Zaśpiewają i poskaczą,
 Poczęstunkiem się uraczą
 I zapomną ciężkiej pracy
 Dobrzy, poczciwi wieśniacy.
 Do pracy człowiek się rodzi,
 Praca ozdobą człowieka;
 Po pracy spoczynek czeka,
 Wesołość trudy nagrodzi.

„Obrazki wiejskie“ Jachowicza — wszystkie bez wyjątku — reprezentują ten sam nastrój, dają ten sam kłamliwy obraz wsi, oglądanej z daleka, tak z daleka, by prawda o nędzy i niedoli chłopskiej nie zdołała zakłócić rozkosznego obrazka:

Cudze chwalicie,
 Swego nie znacie;
 Sami nie wiecie,
 Co posiadacie.
 A boć nie śliczne
 Te wioski liczne,
 Ten kraj kochany.
 Bogate łąny,
 Bujne ogrody,
 Łączka wesoła,
 A na niej trzody
 Widzisz dokoła.
 Z daleka borek,
 Na górze dworek,
 Wkoło topole,
 A tam na dole
 Strumyk jak wstęga
 Ku rzece sięga.
 Tu niskie chatki,

A przy nich działki
Hoże, rumiane,
Jak malowane...

Zachwala Jachowicz stan chłopski i ostrzega, podobnie jak to już przed nim ks. I. Czartoryska w „Pielgrzymie“ czyniła, przed opuszczaniem swej wsi i chłopskiego stanu.

Bartosz zachęca do ukochania stanu chłopskiego:

Jak za zyskiem się puścicie —
Po rozległym świecie,
Marnie pójdzie całe życie,
Niczym nie będziecie.

(Śpiewy Bartosza)

Jachowicz nie jest konsekwentny w swych poglądach, bo na innym miejscu opisuje, jak to można pracą, uczciwością i oszczędnością „w rozległym świecie“ uzyskać dobrobyt i zdobyć majątek.

Rozkosze życia wiejskiego Jachowicz chce malować jak najbardziej jasnymi, sielskimi barwami.

Tę swoją idylliczną wieś zaludnił wyidealizowanymi chłopami, takimi mianowicie, jakich sam chciałby widzieć na wsi: posłusznymi, pracowitymi, litościwymi i nade wszystko kochającymi pana.

Chłopek dobry

W imię boskie orze,
Żywi się jak może
I dziadka wspomóż.
Nieźle w sercu, w głowie,
A w ustach przysłowie,
Pracuje z ochotą,
Bo praca mu cnotą;
Kocha Pana swego,
Umarłby za niego.

Chłopek

Chłopek kocha Pana swego
I dałby zań życie,
Lecz nie kuście go do złego,
On jeszcze jak dziecko.

Jachowicz opisuje chatkę wiejską:

Opuśćmy pyszne miasto. Idźmy, wioska wzywa,
Gdzie wabią polne kwiatki i piosenka tkliwa.

Znowu laszek cienisty, a za nim ujrzymy
Tę chatkę pochyloną, do której dążymy.

Niegrabnie wyciosana, gliną oblepiona.
 Ta strzecha słomą kryta, te okienka małe,
 W nich szybki przepalone, do tego niecałe.
 A jednak, kto by wierzył — w tej chatce tak miło ...

i konkluduje w ten sposób:

Idźcie, pyszne pałace, kolosy znajdziecie,
 Ale duszy tak pięknej, z tylu przymiotami
 W takich szukajcie chatkach, pod tymi dachami.

W usta tych wyidealizowanych chłopów Jachowicz wkłada piosenki przez niego napisane: „Pieśni wiejskie“ Jachowicza, choć tematycznie z wsią były związane, nie zawierały istotnie nuty ludowej. Ludowość ich była powierzchowna, pozorna, sztuczna. Ani „pieśń w czasie nieurodzaju przy dożynkach“ z refrenem „turbować się nie tseba“:

Hej, panice, panice.
 Wróble zjedli psenicę;
 Patsy na nich Bóg z nieba,
 Turbować się nie tseba.
 Turbować się nie godzi:
 Rocek psysły nagrodzi.
 Nieraz Bóg dał bogato,
 Otóż teraz mniej za to

ani pełen optymizmu „Śpiew żonki“:

Nie turbuj się, mój Wojteczku.
 Czym będziewa żyli;
 Pan więcej ma, niż rozdał,
 Szczęścia nam przychyli.
 Nie leńwa się do roboty,
 To będą i woły.
 Dalej, dalej, mój Wojteczku.
 Bądźże mi wesoły

ani Dziadek chwalaćy sobie dobroczynność gospodarzy:

Od wsi do wsi biedny łążę,
 Bóg was żegnał, gospodarze.
 Żytko wam się widać rodzi,
 Bo dziadek próżno nie chodzi

nie są przejawami nuty ludowej. Tym bardziej nieudolna „Pieśń wieśniaków“ o Karpińskim, mająca być hołdem dla ulubionego poety Jachowicza:

Czy znacie wy Karpińskiego, Karpińskiego,
 I piosneczki śliczne jego?
 Był to gęślarz nad gęślarzy,
 Nieprędko się taki zdarzy.

Beztroskie nieliczenie się z rzeczywistością współczesnej wsi polskiej, które znalazło wyraz tak jaskrawy w cytowanych wyżej utworach Jachowicza, pozwoliło mu prawie pochwały na temat patriarchalnych stosunków między panem a chłopem. Kto nie widział albo nie chciał widzieć krzywdy chłopu polskiego, ten zamiast reform włościańskich, które uważał za „kuszenie do złego“ (por. wiersz „Chłopek“), propagować mógł patriarchalizm, wypowiadający się pod pozorem czcigodności i dobroci przeciw reformom, tzn. zgodnie z interesami panów. W wierszu „Ojciec do syna rolnika“ tak poucza Jachowicz:

Piękny zaszczyt dla ziemian
Łączyć miłość z władzą pana;
Królem będziesz na swej roli,
A gdy Pan Bóg ci pozwoli,
Ojcem będziesz kmiotków włości,
Panem będziesz ich miłości.
Ale cicho, ale zgodnie.
A pocziwie, a łagodnie
Żyć z poddanym i z sąsiadem,
Idź praocjów twoich śladem...
Na cóż by się wszystko zdało?
Czy masz dużo, czy masz mało,
Byłeś przetrwał na swej doli:
To cię serce nie zaboli...

Ideał patriarchalny propagował też Jachowicz w rzemiośle:

Warsztat to rodzinna chatka,
Majster to ojciec, majstrowa to matka.
(Książka dla rzemieślnika)

Jachowiczowi wydawało się, że nie tylko w rolnictwie, rzemiośle, w domowym gospodarstwie, ale nawet w przemyśle, który się w oczach jego rozwijał, ten patriarchalny stosunek wzajemny pracodawcy i robotników może być właściwą drogą rozwoju stosunków społecznych. Niezmiennie charakterystyczne jest w tym względzie zakończenie opowiadania pt. „Błogosławieństwo matki“ umieszczonego przez Jachowicza w „Książce dla rzemieślnika“. Kiedy Łukaszek, prosty chłopak wiejski, dorobił się majątku:

„założył kilka fabryk w stolicy, tysiącom ludzi zapewnił utrzymanie. Prowadził wzorowo swoje zakłady, kształcił dzieci swoich robotników, wszystkim wskazał drogę, jak przez oszczędność, rządność i pracę przychodzi się do majątku... a pieniądze zarobionełożył na rozwinięcie i ulepszenie zakładów, bo czym obszerniejsze zakłady, tym więcej ludzi czynnych, wyrwanych zbrodni i występku, tym więcej użytku...”

Oto jak w oczach Jachowicza wygląda okres wzrostu kapitalizmu w Polsce, okres tworzenia się proletariatu robotniczego. Gdy uprzy-

tomnimy sobie, jak bardzo w tym czasie odpowiadał interesom klas posiadających ideał patriarchalnych stosunków społecznych, jak bardzo podstawowe ideały wychowawcze Jachowicza zgodne były z ich potrzebami, nie będzie nas już dziwić ani dedykacja „Książki dla rzemieślnika” — „Fryderykowi Nell, jednemu z najznakomitszych naszych fabrykantów obuwia, Członkowi Towarzystwa Dobroczynności, opiekunowi wdów i sierot”, ani też wierność, jaką dla Jachowicza przez długie lat dziesiątki zachowały nasze klasy posiadające, a której to świadectwem są liczne wydania jego bajek i powiastek, aż w głąb wieku XX zachodzące.

Ale byłoby niesprawiedliwością, gdyby nie podkreśliło się z całym naciskiem, że Jachowicz, choć nie dostrzegał istotnych przyczyn nędzy ludzkiej, choć nie umiał właściwie ocenić sił, działających w kierunku pauperyzacji chłopca na wsi i robotnika w mieście, to jednak reagował w sposób żywy i czynny na objawy nędzy. Odpowiednikiem jego znanej działalności filantropijnej w Towarzystwie Dobroczynności, której poświęcił tak wiele energii i swego czasu, zapobiegliwości i pracy — jest w jego twórczości dla dzieci często i z całą siłą podkreślany motyw litości nad niedolą ludzką, nakaz miłosierdzia czynnego, jako bezwzględного obowiązku wszystkich. Przed Jachowiczem nikt nie malował w tak bezwzględnych barwach w polskiej literaturze dziecięcej nędzy ludzkiej. Ten pogodny w gruncie rzeczy, optymistyczny i łagodny poeta umie znaleźć, gdy opisuje nędzę ludzką, silne akcenty, których nawet nie podejrzewamy w jego łatwym, równym i ograniczonym talencie poetyckim:

Raz około północy, dnia nowego roku
Niejeden wracał z uczty i przyspieszał kroku;
Tam słyhać gwar wesoły, tam wozu turkoty,
Wino nie wyszumiało, dodaje ochoty,
A na progu kaplicy, co przy drodze stała,
Siedzi mała chłopczyna i dziewczynka mała.
Ciało wpółobnażone i od zimna drąże
Bez litości mijają tłumy przechodzące.

Dzieci żebrzą. Jedno z nich śpiewa piosenkę o smutnych ich losach:

Kiedy żyła nasza matka,
Chętnie chleb dzieliła z nami,
Dzieliła się do ostatka;
Dziś już w grobie a my sami.
„Tam może nas usłyszą” wyrzekła dziecina
I pukać w drzwi kapliczki nieśmiało zaczyna.
Smutna się tylko skarga o ściany odbiła
I śmierć łagodna przybyła.
Zasnęli więc na zawsze; zewsząd tłum się zbiega,
Każdy w oku drugiego smutną łzę dostrzega...

Bo łatwiej pożałować, niż wesprzeć biednego...
Co tu ludzi. A wczoraj nie było jednego.

(Sieroty)

Stale spotykamy u Jachowicza czynną i litościwą reakcję na cudzą nędzę. Miłosierdzie, które Jachowicz chce wpoić w dzieci, to coś więcej niż jałmużna. Jachowicz chce, by miłosierdzie połączone było zarazem z ofiarą, z wyrzeczeniem się. W „Radach, które Mama Stasiowi w dzienniczek wpisała“ (Nauka w zabawce), czytamy: „Ostatnim kawałkiem chleba dziel się z ubogimi, bo to nie wielka rzecz, że mu Mamine dasz pieniądze, ale własny odstąpić podwieczorek, ostatni wytrząść grosz z swojej sakiewki, to jałmużna, to zasługa“.

Ideał czynnego miłosierdzia, którego przykład dał Jachowicz we własnym życiu, przemawia też z licznych wierszy Jachowicza. W wierszu „Dziadek pod murem“ matka tłumaczy dzieciom smutny los dziadka:

Smutne jego życie. On poddasza nie ma,
Siedzi pod tym murem, czy lato, czy zima;
Wy macie futerka i ciepłe berlace,
On nieraz na zimno dotkliwie zapłaczę.

A wtedy wzruszone dzieci chcą zaraz wziąć dziadka do siebie do domu:

U nas takie ciepło, tak dobrze u Mamy.
My z naszego stołu jeść dziadkowi damy.

Budzeniu uczuć filantropijnych poświęcone są liczne utwory Jachowicza. Filantropia urasta u Jachowicza do naczelnej cnoty społecznej, która może zmniejszyć, czy nawet całkowicie usunąć nędzę ludzką. Toteż wśród ideałów pedagogicznych Jachowicza ten zaakcentowany jest wyjątkowo silnie.

Bezimienny

Dała mi złotówkę Mama,
Bym zobaczył panorama.
Idę ulicą Miodową,
A wtem starzec z siwą głową,
Obraz nędzy i rozpaczy,
Prosi o wsparcie bogaczy.
Przeszli dumnie ci i owi,
Nic nie dali nędzarzowi;
Tak mi się go żal zrobiło,
Że choć nowość widzieć miło,
Wyrzekłem jej się dla cnoty
I dałem starcowi złoty.
Lecz kto jestem, jak się zowie,
Nikt się ode mnie nie dowie,
Bo mi Ojciec mawiał: „Synu,
Nie chełp się z dobrego czynu“.

Miłosierne serce Jachowicza z litością i pomocą śpieszyć chciało wszędzie, gdzie dostrzegało nędzę. Przesady rasowe i religijne nie zmieniały stosunku do ludzkiego cierpienia.

Jachowicz chce wiedzieć czynną postawę dzieci wobec ubogich, chce uczyć, by nie tylko jałmużną, otrzymaną od rodziców pieniędzem dzieci, zaświadczały o swych miłosiernych uczuciach. W „Imieninach Basi“ czytamy, jak to mała Basia „długo, długo koszulki dla ubogich szyła“, a gdy przyszedł dzień jej imienin, sprosiła biedne dzieci:

Zamiast zastawić na stole łakotki,
Z uprzejmym darem przyjmuje sierotki...
Wchodzą nieśmiało dziecińcy.
„Widzicie — rzekła — dziś me imieniny;
Macie sukienki, koszule“.
I to wyrzekła tak czule,
Aż się wszyscy popłakali.

W wierszu „Pomóż, czym możesz“ Michaś i Leoś, widząc wyrobników z piłą, szukających roboty:

Hej! Ojcie! — grzecznie jeden do tracza zagada —
Przywieźli właśnie w kłocach drzewo dla sąsiada.
Idźcie, to sobie grosik zarobicie.

W „Lalkach na Ochronę“ dziecię prosi, by Matka kupiła mu na kolenie lalkę w sklepie ubogich „bo te pieniądze pójdą na biedne dziateczki“. W „Puszcze na ubogich“ Józio rzuca inicjatywę zbiórki dla ubogich. Można by cytować liczne dalsze wiersze Jachowicza oparte na tym motywie.

Jachowicz wierzy głęboko, że miłosierdzie chrześcijańskie to właśnie droga, którą iść trzeba, by zbudować społeczeństwo szczęśliwe, by usunąć z życia nędzę i cierpienie:

Chrystus i jego nauka

Wielbcie wielkie Imię Jego,
Kochajcie z serca bliźniego,
Pomagajcie sobie wzajem,
A ziemia wam będzie rajem.

Czyn miłosierny — poucza Jachowicz — daje głębokie zadowolenie, uczucie błogości, poczucie spełnionego obowiązku i pozwala liczyć na nagrodę boską.

Rozmyśl

Raz kilka groszy w kieszeni miałem,
Jabłęk i gruszek nakupić chciałem,
Aż tu dwie ciemne idą staruszki.

O, mówię, dam im, mniejsza o gruszki;
Gruszki się zjedzą, jakby ich nie było,
A czyn pocziwy zawsze wspomnieć miło.

I tu znów napotykam na charakterystyczny dla Jachowicza ton łzawo-słodkiego zadowolenia z dobroczynności; filantropia jego pełna jest ekliwkości, sentymentalizmu i — jednak — samouspokojenia:

Smaczne ciasteczka, słodkie wisienki,
Ale mi wierzcie, grzeczne panienki,
Słodziej nierównie wspomóc sierotę.
I Bóg tak piękną nagradza cnotę.

(Rada)

Błogie poczucie spełnionego obowiązku i dokonanych dobrych uczynków napełnia serce. I to właśnie jest szczęściem — mówi Jachowicz —

Jeżeli szczęściem nazwać zechcecie,
Że w sercu błogo, choć źle na świecie...

V

Dokonawszy przeglądu religijno-moralnych i społecznych zapatrywań Jachowicza, które w sposób decydujący zaciążyły nad wychowawczą treścią jego utworów przeznaczonych dla młodzieży, z kolei można pokusić się o danie odpowiedzi na dwa zasadnicze zapytania: dla kogo pisał Jachowicz? i co dało mu ten olbrzymi sukces, który sprawił, że wiersze jego były przedrukowywane tak często i tak długo? (Wiadomo wszakże, że wiersze Jachowicza były wciąż jeszcze żywe, wtedy gdy utwory Hofmanowej pokrył już pył zapomnienia).

Jachowicz kierował swoją twórczość do dzieci polskiego mieszczaństwa — średniego i drobnego, do polskiej burżuazji, takiej, jaka rodziła się i ukształtowała w połowie XIX wieku. Praca, oszczędność, pomyślny obrót fortuny wynosiły na powierzchnię życia nowych ludzi, nowe nazwiska. Jachowicz pisze i dla tych nowych ludzi. Uczy dzieci, że najważniejsze jest to, czego człowiek dokonał i jak postępuje:

Bug i strumyk

Uskarżał się Bug na to, iż gdy w Narew wpadał,
Imię, podobne Stwórcy nazwiska, postradał.
Na to mu rzecze strumyk, który płynął blisko:
„Nie nazwisko nas zdoła, ale my nazwisko“.

W innym wierszu:

Nie z posiadania skarbów zaszczyt na nas spływa,
Ale jak ich kto używa.

(Woreczek jedwabny i skarbonka gliniana)

Warunki życiowe środowiska, do którego przemawia Jachowicz, są bardzo zróżnicowane. Mamy tu i proste warunki domu rzemieślniczego, i zamożny, pracowity tryb życia kupca czy początkującego przemysłowca, i dom urzędnika. Pojawia się raz po raz służba. Gdzie indziej nie ma o niej mowy. Ale cechą charakterystyczną jest to, że wszyscy ci ludzie, których środowisko obrazuje Jachowicz i dla których pisze — pracują. Pracą zarabiają na utrzymanie, na skromny rzemieślniczy byt i pracę oraz przemysłem dochodzą do majątku lub dobrobytu. Obok pobożności i miłosierdzia, pracowitość i oszczędność wysuwają się na czoło cnót mieszczańskich, których uczy Jachowicz w swoich bajkach i opowiadaniach. Jachowicz jest w pełni świadom, do kogo pisze. Do rodziców swych małych czytelników przemawia nawet w sprawach wychowawczych językiem kupieckim (por. cytaty z przedmowy do 6 wydania „Powiastek i bajek“ str. 127—128).

Matka kupiła Stasiowi „piękną książeczkę z obrazkami, oprawioną w czerwoną skórę, suto wyłożoną. Prócz wielu pouczających rzeczy, były w niej moralne opowieści, jakie Staś bardzo lubił“. Teoderek na imieniny dostał „piękny mundurek, stosowany kapelusz i śliczną szabelkę“. „Rzuci okiem, aż tu kilkunastu chłopczyków, jednakowo ubranych, stoi rzędem i oczekuje rozkazów jego.“ Ludwiś i Kornelek mają piękne zabawki i śliczny ogródek (Nauka w zabawce). Józia wychowuje się w zasobnym domu mieszczańskim, jej matka ma dużo czasu na jej wychowanie i uczenie (Czytania Józi). Wielu chłopczyków i wiele dziewczątek z powiastek Jachowicza zaludnia domy i pomieszkania, gdzie życie — pracowite i oszczędne wprawdzie — toczy się bez trosk finansowych, dostatnio. Dzieciom jednak od małości wpaja się cnoty mieszczańskie. Wśród „Rad, które Mama Stasiowi w dzienniczek wpisała“ czytamy m. i.:

„Szanuj sukienek, sukienki dużo Mamę kosztują, a Mama nie bogata, a choćby też Mama i bogata była, to lepiej te pieniądze dać ubogim niż zmarnować“.

„Słyszałeś kiedy o złych ludziach, co dla pieniędzy na wszystkie puszczaają się zbrodnie, a wiesz dlaczego? oto ich nie uczono, że pieniądź wtenczas tylko dobry, kiedy nabyty uczciwie i dobrze użyty“.

Nie uważaj pieniędzy za cacka, na pieniądź trzeba częstokroć ciężko zapracować, kto go nie ma, biedny“.

„Niech się Staś zawsze sam ubierze i rozbierze, później kto wie, czy Staś będzie mieć służących“.

(Nauka w zabawce)

W ten sposób wychowywane dzieci marzą o tym, by jak najwcześniej własną pracą zacząć zarabiać. W „Listach Stasia“ (Nauka w zabawce) czytamy np.

„Nie widziałeś mojego nowego surducika. Piękny, ale cóż z tego — Mama mi go sprawiła; ona pracuje a ja sukienki płatam, buciki drę i nie ma końca temu. Oj, kiedy ja też sobie za własne pieniądze pierwszą sprawię sukienkę?”

Tak bardzo charakterystyczny dla mieszczańskiego kierunku w literaturze dziecięcej kult pracy jako źródła dostatku, jako jednego z podstawowych kryteriów oceny ludzi — widzimy jako jeden z podstawowych elementów w twórczości Jachowicza. Bogate, bogacące się lub mające nadzieję się wzbogacić mieszczaństwo wierne było przez długie dziesiątki lat poecie, który uczył ich dzieci, że pracą osiągnąć można szczęście, można podnieść się na wyższy poziom społeczny. Ze światopoglądem polskiego mieszczaństwa owego okresu w pełni zgadza się zachowawczo-sentymentalny patriarchalizm poglądów społecznych Jachowicza i bliska dewocji cukierkowo-słodką jego pobożność. Z tym poglądem na świat zgodna jest też uspokajająca sumienie filantropia, którą opłaca się spokój ducha w obliczu nędzy i niedoli ludzkiej, a przede wszystkim pogodny, jasny (choćabyżby niezgodny z prawdą) zasadniczy obraz świata.

Przypuszczać można, że mieszczaństwo polskie również i dlatego tak chętnie uczyło swe dzieci i przygotowywało je do życia na utworach Jachowicza, że bliska była jego sercu nuta kalkulacji moralnej, kalkulacji na dobrych uczynkach, pojawiająca się dość często u Jachowicza. Oto przykład takiej mieszczańskiej kalkulacji, która mówi, że dobre uczynki i cnoty opłacają się. W wierszu „Dziecię i staruszek” — dziecię pozwoiliło się napić spragnionemu staruszkowi wody z dzbanka:

Raz koło sadu szła ta dziecina,
Patrzy... z owocem drzewo się zgina;
Jakżeby rada zjeść kilka gruszek.
Aż tu wychodzi siwy staruszek,
Ową dziecinę dobrą poznaje
I najpiękniejszych gruszeczek daje.

W innym znów wierszu znajdujemy taką konkluzję:

A komu Bóg dał konia, niech o tym pamięta
Że koń także ma czucie, choć u ludzi służy,
A ten kto go szanuje, będzie go miał dłużej.
(Józio i dorożkarz)

W „Książce dla rzemieślnika” znaleźć można jaskrawe przykłady kalkulacji uzasadniających praktykowanie cnót takich, jak greczność, oszczędność, pracowitość, pokora:

Nic na grzeczności rzemieślnik nie straci,
I serce zyska i kieszeń wzbogaci.

Grosz oszczędzony
Przerabia się w miliony.
Gdy raniej wstaniesz godziną,
Ani spostrzeżesz, jak pieniądze wpłyną.

Te drobnomieszczańskie maksymy sięgają nieledwie apoteozy oportunistu życiowego w takiej sentencji:

Pokorne cięłą dwie matki ssie,
Potulny czeladnik ma wieczerze dwie.

W tejże „Książce dla rzemieślnika“ umieścił Jachowicz Beniamina Franklina „Nauki pocziwego Ryszarda czyli droga do pomyślności“, ponadto zaś rozprawkę: „Jakim sposobem można mieć zawsze pieniądze w kieszeni?“

Twórczość Jachowicza, bardzo obfita, obejmująca ok. 800 utworów wierszowanych, w czym ok. 600 oryginalnych, pozostawała pod wyraźnym i przemożnym wpływem niemieckich poetów przede wszystkim pochodzenia mieszczańskiego. Jachowicz znał, tłumaczył i naśladował m. i. Gellerta, Heya, Hoffmanna, Pfeffla, Hagedorna, Schmidta i Langbeina. Jachowicz na gruncie polskim wyraźnie i niedwuznacznie reprezentuje ten kierunek literatury dziecięcej, który określiliśmy jako jej nurt mieszczański. Tak się bowiem złożyło, że właśnie Jachowicz, pisarz szlacheckiego pochodzenia, a nie z mieszczaństwa wywodząca się Tańska, stworzył literaturę dziecięcą mieszczaństwa w Polsce.

Pierwszą tajemnicą powodzenia Jachowicza było zatem to, że twórczość jego znakomicie przypadła do smaku tej klasie społecznej, która w owym okresie, gdy Jachowicz rozpoczął swą działalność w dziedzinie czy — jak się to podówczas mówiło — na niwie literatury dziecięcej, rozpoczynała swój wzrost i swoją zwycięską w ciągu XIX w. karierę; że twórczość jego wyrażała w sposób wszechstronny i odpowiednio przyozdobiony ideały wychowawcze i społeczne tej klasy.

Ale bądźmy sprawiedliwi, są też i inne przyczyny, poza tą pierwszą i zasadniczą, uzasadniające sukces Jachowicza.

On to pierwszy (nie licząc kilku utworów Książnika, takich jak *Suczka Lubcia*, *Wiewiórka*, *Sarneczka*, *Motyl*, napisanych dla młodzieży kształcącej się na dworze puławskim) zaczął u nas pisać wiersze dla dzieci. Łatwość rymowania i przystosowania się do poziomu dziecka spowodowały, że wiersze jego, choć rzadko osiągały wysoki poziom poezji, były — a niektóre są aż po dzień dzisiejszy — niezmiernie popularne i lubiane. Razi nas dzisiaj sentymentalizm i łzawość tych wierszy, w których łyż i westchnienia są stałym i nieodłącznym rekwizytem.

Prawda, panno Ludomiło!
I popłakać czasem miło

kończy Jachowicz jeden ze swych wierszy (Wieśniaczka).

Taka była moda literacka owego czasu i Jachowicz się od niej nie uwolnił; taki był spadek po Berquinie, w tym też kierunku działały nie-które wpływy niemieckie, którym Jachowicz podlegał.

Jachowicz w swoich obrazkach i opowiadaniach rozszerzył świat literatury dziecięcej, dość wąski i ograniczony jeszcze u Hofmanowej, nie mówiąc już nawet o poprzedzającej ją literaturze obcej; Jachowicz rozszerzył naszą literaturę dziecięcą, pokazując dzieciom coś więcej ponad sam dom rodzinny (który u Hofmanowej przeważnie pałac lub dworek oznaczał). Sam pisze o tym w wierszu „Do dzieci“:

Nie zasadzę was w gmachach, tego nie lubicie,
W polu, w lesie, w ogródku pędzić będziemy życie,
W polu, lesie, ogródku nauczki znajdziemy.

Ale znajdujemy u Jachowicza coś więcej. Dzieci w jego wierszach i opowiadaniach spotykają się z najróżniejszymi sprawami życia, które znają, ze światem w różnych jego przejawach, nawet z pewnymi aktualnymi i znanymi sobie zjawiskami, sprawami i postaciami, z obrazami z rzeczywistego życia. W „Pamiętce dla Eryczka“ ojciec odwiedza z Wojtusiem pracownię szewca; „Źródełko w Saskim ogrodzie“, gdzie roznoszenie wody powierzono sierotom pozostającym pod opieką Towarzystwa Dobroczynności; „Różia z ciasteczkami“ opowiadająca o popularnej roznosicielce ciastek; „Bezimienny“, co na panoramę podąża; „Dagerotyp“ pierwszy raz w Warszawie pokazany w r. 1839 na ochronę dla ubogich dzieci, liczne opowiadania i obrazki mówiące o rzemieślnikach, o ludziach różnych zawodów — wszystko to było nowością, wszystko to ożywiło i załudniło nowymi postaciami i tematami naszą literaturę dziecięcą. Zaczepienie się o świat codzienny dziecka, zbliżenie się do realnych warunków jego egzystencji — dało również ten efekt, że wiersze Jachowicza były dla dzieci bliskie i swojskie — jeszcze jeden element składający się na ich popularność.

Te wszystkie momenty sprawiły, że w końcu XIX wieku powie Fl. Łagowski: „Wierszyki Jachowicza były prawdziwą rosą, co orzeźwiała spragnione latorośle“.

Ale twórczość Jachowicza nie byłaby w sposób właściwy scharakteryzowana, gdyby nie wskazać również i na niektóre jej cechy, płynące zarówno z charakteru i rodzaju talentu pisarza, jak i z charakteru klasy, dla której przede wszystkim pisał, jak wreszcie z poglądów, które u nas panowały w tym okresie powszechnie.

Dla kogoś, kto uważnie przegląda liczne utwory i książki Jachowicza, uderzająca jest ich powaga, brak humoru, brak śmiechu i uśmiechu. Z rzadka pojawia się dowcipny wiersz lub bajeczka.

A jednak — mimo że Jachowicz wydaje nam się zbyt poważny, zbyt jednostronny, współcześni inaczej o tym sądzili. W warszawskim „Pamiętniku Naukowym“¹⁾ czytamy z okazji ukazania się „Pamiętki dla Eryczka“: „Jeżeli autor ma zamiar istotnie drukować więcej tomików, prosilibyśmy go, aby mniej pisał powiastek, które mu się nie bardzo jakoś udają, a więcej rzeczy poważnych...“ Biedne dzieci, mieszczaństwo kalkulując koszty i zyski wychowania, nie chciało im dawać rozrywki, ale tylko naukę, naukę i wychowanie, które by się opłaciły. Odbiorcy (mowa tu oczywiście o rodzicach, których poglądy i upodobania w owym czasie bardzo silnie, silniej od potrzeb i upodobań samych dzieci, wpływały na ukształtowanie się literatury dziecięcej) nie mieli Jachowiczowi za złe braku humoru i śmiechu w jego twórczości, a nawet na dobro mu pisali brak elementów budzących w dzieciach fantazję, rozwijających wyobraźnię. Wydawało się to niepotrzebnym balastem. Nie doszły jeszcze do Polski w tym czasie ożywcze echa bajek Grimma, bajek Andersena. Nic w twórczości Jachowicza nie świadczy o tym, by podlegał on wpływom romantyzmu, którego przejawy w literaturze dziecięcej za granicą, zwłaszcza w Niemczech, przejawiały się współcześnie coraz silniej.

Wreszcie, analizując całość twórczości Jachowicza, stwierdzić można, że w twórczości jego nie ma ani pochwały rozmachu, ani apologii silnej woli. Jachowicz wychowuje ludzi pracowitych i potulnych, oszczędnych i cichych, liściowych i spokojnych — i tu przejawia się zapewne charakter samego autora, jak również stosunki, w jakich dokonywały się współczesne mu przemiany społeczne, w społeczeństwie skrupowanym, w warunkach nakładających hamulce na inicjatywę, w ciasnocie i zaściankowości, w okresie pruderii i dewocji, w zacofaniu gospodarczym, społecznym i umysłowym.

Syn plenipotentą Tarnowskich, prywatny nauczyciel i czynny filantrop — stał się u nas najdoskonalszym wyrazicielem ideałów wychowawczych wzrastającej w siłę i sukcesy polskiej burżuazji i polskiego mieszczaństwa. I to przesądziło zarówno o kręgu jego czytelników, jak też o treści wychowawczej pism jego.

¹⁾ Cyt. za „Szkołą Polską” Poznań r. 1849.

„DZIEJE CHRYSTUSA” DANIEL-ROPSA

Kwalifikacje badacza

Zdaje się, że dobrze ujął kwalifikacje badacza Jezusa Chrystusa prof. Karol Adam, gdy pisał w swym dziele „Jezus Chrystus”: „Zważywszy, iż nie chodzi tu o pospolite zagadnienie naukowe, ale o postulat zbawienia i sumienia, musimy się zgodzić z tym, że wewnętrzne usposobienie badacza winno tu odpowiadać wielkości jego zadania. A więc wysiłkom jego — zarówno gdy stawia pytanie, jak gdy je rozwiązuje — muszą przyświecać: sumienność, pełna uszanowania powaga i nieposzlakowana uczciwość. Są to nie tylko warunki konieczne z punktu widzenia naukowego, lecz przede wszystkim nakazy religii i moralności... Komu nie dostaje zmysłu wewnętrznego do poznania ciężaru gatunkowego rzeczy religijnych, świętych, ten siłą faktu nie zdoła nigdy należycie docenić całkowitego sensu i znaczenia samych źródeł religijnych, a w szczególności Ewangelii. I kto na skutek takiego daltonizmu duchowego *a priori* nie traktuje poważnie stanowiska Ewangelii, która rości sobie prawo do tytułu nowiny o słowie Bożym, o Wcielonym Synu Bożym; dalej kto do Jezusa takiego, jakim Go przedstawiają ewangelisci, zbliża się z podobnym nastawieniem jak prokurator do podejrzanego podsądnego, ten już z góry rezygnuje z jakichkolwiek możliwości przeniknięcia tajemnicy Bóstwa.

Gdzie człowiekowi, stworzeniu grzesznemu, ukaże się możliwość Bóstwa, chociażby z daleka i tak nikła jak jedno mgnienie oka, tam już żadna inna postawa nie przystoi, jeno pełne czci i pokory oczekiwanie, zali nie otrzymamy odpowiedzi na nasze pytanie, pytanie nie podyktowane przez żądzę wiedzy naukowej, ale wynikające z potrzeb właściwych naszej istocie łaknącej szczęścia i zbawienia, pytanie płynące z głębi elementarnego poczucia kruchości i nietrwałości właściwej istocie naszej. Kto tej kruchości i nietrwałości ludzkiej istoty nie zbadał aż do jej głębi, dla tego nauka o Chrystusie będzie tylko pustym szmerem słów, a nie radosną nowiną serca uwesalającą człowieka wewnętrznego. Rozbudzone czujne sumienie jest najwłaściwszym terenem, glebą urodzajną, gdzie ewangelia o Chrystusie zapuszcza korzenie i zakwita bujnym kwieciami. Jest to również jedyny punkt, z którego naukowe podejście do Ewangelii rokuje pomyślny skutek. Badacz i krytyk, który się nie modli, który z głębi serca swego nie woła: Panie, naucz mnie modlić się! Panie, wspomóż niedowiarstwo moje! — niech lepiej cofnie rękę sięgającą po Ewangelię“.

Jako drugi warunek niezbędny przy rozważaniu problemu Chrystusa jako problemu zbawienia i sumienia wylicza prof. Karol Adam „pełne szlachetnej otwartości, nieobłudne stanowisko badacza, wykluczające jakiekolwiek uprzedzenia w odniesieniu do wszystkiego, co dotyczy możliwości Bóstwa”. Świadomość, że ma się tu do czynienia z zupełnie odmienną jakościowo dziedziną

przedmiotu,, że tu chodzi o Bóstwo, sprawia, iż wprowadzie historyk starać się będzie o wtłoczenie nowych, niezwyklej zjawisk, wydarzeń i pierwiastków w ramy historycznych związków przyczynowych i pod tym kątem je interpretować, bo to jest jego obowiązkiem, ale jednocześnie uniknie on niebezpieczeństwa pogwałcenia udowodnionej historycznymi faktami rzeczywistości Bożej drogą apriorycznego kwestionowania „możliwości bezpośredniego kontaktu Bóstwa ze światem stworzonym“.

Uczciwe i uważne przestudiowanie dwutomowych „Dziejów Chrystusa” pióra Daniel-Ropsa (wyd. Pax, Warszawa, 1950—1951. Tłumaczyła Zofia Starowieyska-Morstinowa, słowo wstępne napisał ks. dr Eugeniusz Dąbrowski) narzuca przekonanie, że w Daniel-Ropsie znalazł Jezus Chrystus jednego z najodpowiedniejszych i najbardziej odpowiedzialnych swych badaczy-historyków. Rops bowiem odznacza się nie tylko „sumiennością, pełną uszanowania powagą i nieposzlakowaną uczciwością“, ale nadto silnym „zmysłem wewnętrznym do poznania ciężaru gatunkowego rzeczy religijnych“, postawą czci i pokory, „czujnym sumieniem“ oraz jak najszczerszym stanowiskiem wobec wszelkich możliwych przejawów Bóstwa.

Te dyspozycje wewnętrzne, niezbędne do wnikania w dzieje Chrystusa, Daniel-Rops zdaje się posiadać w bardzo silnym stopniu. Nie sprzymierzone jednak z wielką kulturą intelektualną, pasją i wnikliwością badacza, a przede wszystkim z niepospolitym talentem pisarskim i zdolnością jasnego wykładu, nie doprowadziłyby one do wyprodukowania dzieła tej miary i tego typu co „Dzieje Chrystusa“ Daniel-Ropsa. Nie powstawałaby książka, która przynosi najwyższą radość intelektualną i religijną czytelnikowi katolickiemu łakącemu pogłębienia swego stosunku do wiary i wzbogacenia swej wiedzy o Chrystusie jakimiś trwałymi wartościami.

Trudności problemu

Najgłówniejsze trudności podejmowania problemu Jezusa uprzytamnia sobie czytelnik, gdy czyta załączony w przypisach artykuł autora, dający niezwykle pouczający i zwięzły przegląd dotychczasowej najważniejszej literatury krytycznej o Chrystusie. W niewyczerpalności Jego problemu, Jego ciągłej aktualności i „otwartości“ zobaczy on jeden z licznych dowodów tego, czym jest Chrystus dla ludzkości i dla poszczególnego człowieka.

Jedni krytycy widzieli w Chrystusie tylko człowieka czasami miernego, czasami genialnego, bądź też odmawiali Mu w ogóle istnienia historycznego uważając Go za mit, za legendę; drudzy, przeciwnie, uznawali wcielenie za fakt historyczny, przy czym kładli albo zbyt silny akcent na Jego Boskość, albo też zgodnie z nauką Kościoła wielbiąc Jego Boskość nie tracili nigdy z oczu Jego człowieczeństwa. Bardzo dobrze świadczy o bezstronności autora, że oburzając się na „Życie Chrystusa” Renana podkreśla jednak jego ogromne znaczenie dla badań nad Jezusem. Bo oto, co pisze o nim Daniel-Rops: „Trzeba... przyznać, że Renan przyczynił się bardzo do skierowania uwagi historyków Jezusa ku tym wszystkim zagadnieniom, które przedtem stanowczo za bardzo były lekceważone. Co prawda polityczna geografia Palestyny z czasów Tyberiusza

pozwala nam dziś lepiej zrozumieć wiele punktów Ewangelii, a wschodnia archeologia jest nieocenioną pomocą dla każdego, kto chce dać życiu Chrystusa odpowiednie tło, jednakże dopiero po Renanie została udoskonalona ta metoda zwana historyczną, którą dziś musi się posługiwać każdy, kto chce pisać o Jezusie“. Fakt zaś, że „od jakichś lat pięćdziesięciu egzegeci posługują się metodą historyczną, która idzie w parze z niezwykle postępową archeologią, semantyki porównawczej i krytyki tekstów, bardzo poszerzył ramy badań nad dziejami i osobą Jezusa“.

Słuszny wniosek wysnuwa autor z dotychczasowej krytyki chrystologicznej, gdy pisze, że „jedna rzecz pozostaje nienaruszona i niezbita: jest nią tajemnica Jezusa, tajemnica Boga wcielonego. Wszystko jest proste dla każdego, kto opiera się mocno na tym dogmacie: Jezus to Bóg, który stał się ciałem. Natomiast dla każdego, kto odrzuca tę tajemnicę, wszystko staje się skomplikowane jak puzzle (popularna w Anglii zabawka polegająca na składaniu obrazka pociętego na kilkadziesiąt kawałków — przyp. tłum.) i jak każda sprawa skazana jest na sprzeczności ludzkiej imaginacji. I dobrze jest zapamiętać sobie to wyznanie, które czyni Loisy w *Hibbert Journal*, gdzie pisze, że współczesna teologia poza teologią rzymskich katolików jest „prawdziwą wieżą Babel, w której pomieszanie pojęć jest jeszcze większe niż różnorodność języków“.

Bezstronność, obiektywizm autora uderza również w jego referacie z dyskusji nad tak roznamietniającym uczonych i wiernych problemem jak problem autentyczności „Całuna turyńskiego“. I jeśli Daniel-Rops wątpi o tym, czy „ta sporna i żywo dyskutowana kwestia“ będzie kiedykolwiek rozstrzygnięta, to wypływa to nie z jakiegoś zasadniczego sceptycyzmu, ale właśnie z silnej wiary, która doskonale może się obyć nawet bez tak przejmujących i bezcennych świadectw jak całun turyński (gdyby był autentyczny), oraz może z przeświadczenia, że w istocie wiary mieści się to, iż wymaga ona dla siebie od wiedzy wielkiego marginesu. Zbyt liczne i „przygważdżające“ dowody naukowe czynią ją zbyt ociężałą, odbierają jej swobodę rozwoju i ograniczają jej cudotwórczą siłę. Albowiem mimo wszystko „błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli“.

Tajemnica Jezusa

Teraz pora nam już przejść do omówienia właściwej treści „Dziejów Chrystusa“ Daniel-Ropsa.

Ks. dr Eugeniusz Dąbrowski w swym słowie wstępnym cytuje czyjeś zdanie, że wszystkie zamierzenia Daniel-Ropsa cechuje jakiś „oświecony liberalizm pozwalający mu godzić wiarę z tym wszystkim, co stanowi najdumniejszy dorobek ludzkich dociekań, tak jak to potrafili czynić w XIII w. Tomasz z Akwinu i Albert Wielki, równie ciekawi Awerroesa, Awicenny i Majmonidesa, jak Arystotelesa“. Otóż ta cecha obok głębokiej religijności uwidacznia się wyraźnie w Daniel-Ropsa dziele o dziejach Chrystusa i sprawia, że jego lektura staje się wyjątkowo fascynująca. Jeśli zaś idzie o merytoryczną wartość jego książki, to trzeba nam polegać na zdaniu tak znakomitego biblisty i chrystologa, jak ks. dr Eugeniusz Dąbrowski. Stwierdza on autorytatywnie, że „pod względem należytego nakreślenia tła historycznego dziejów Chrystusa,

i to zarówno w Palestynie jak i poza jej granicami, książka Daniel-Ropsa nie ma sobie równej w literaturze katolickiej". Podkreśla wartość i znaczenie wysiłków autora dla poręczenia autentyczności poszczególnych nauk Chrystusa poprzez szczegółowe zapoznanie się z „kolorytem lokalnym” Ewangelii, terenem działalności Chrystusa. Orzeka wreszcie, że dopiero książka Daniel-Ropsa stanowi właściwą katolicką ortodoksyjną przeciwwagę dzieła Renana, że ma ona „wszelkie widoki usunięcia owego zgubnego przesądu, który panuje nie tylko we Francji, jakoby wielu potrafiło pisać uczenie o Chrystusie, ale porywająco tylko jeden“ (tzn. Renan).

Byłoby rzeczą absurdalną streszczać tu „Dzieje Chrystusa” Daniel-Ropsa. Zwrócimy tu jedynie uwagę na te miejsca czy problemy poruszone przez książkę, które wydają nam się szczególnie uderzające, pomijając szereg innych równie, a może jeszcze bardziej uderzających.

Uderza już sam pierwszy rozdział, a raczej pierwszy ustęp pierwszego rozdziału, zatytułowany „Tajemnica Jezusa”. Zakłada on w skondensowanej postaci to, czym się zajmie cała książka na przestrzeni przeszło 600 stron. Dla tego nie można go nie przytoczyć:

„Za panowania Augusta i Tyberiusza — a więc w czasie ściśle określonym — żył pewien człowiek; jest to fakt niezaprzeczalny. Znali go wszyscy: był pracownikiem fizycznym, cieślą, za uchem nosił wiór — symbol swego zawodu. Pracował przy warsztacie, posługiwał się heblem i młotem. Chadzał jeszcze dziś istniejącymi drogami, jadał chleb i oliwki, niekiedy przysmak swego narodu — rybę; wieczorami odpoczywał na macie z sitowia lub w hamaku ze sznurków; często upadał ze zmęczenia, był człowiekiem ściśle związanym ze społeczeństwem i podobnym do każdego z nas.

A jednak wypowiadał słowa niezwykle, zdumiewające: mówił, że jest Mesjaszem, że przyszedł, by dać świadectwo prawdzie, świadectwo Opatrzności, że przez Niego naród wybrany zyska sławę i doskonałość; a jeszcze dziwniejsze było to, iż podawał się za syna Bożego. I wierzono Mu. A byli nawet tacy, którzy towarzyszyli Mu na drogach Palestyny, poprzez które ciągle wędrował. Ze zdumiewającą łatwością czynił cuda. Wielu spodziewało się, że wyzwoli Izraela z niewoli politycznej, ale czyż każdy mistyk nie ma swych fanatyków? I jakby na domiar zgorzienia, jakim musiał stać się dla ludzkiego rozumu, człowiek ten ginie bez jakiegokolwiek oporu. Ci zaś, którzy szli za Nim, nie tylko się tym nie zrażają, ale rochodzą się po całym świecie, aby krwią swoją podpisać świadectwo Jego Bóstwa. A ludzkość biorąc tę klęskę za dowód zwycięstwa, pada odtąd na twarz przed szubienicznym drzewem, zupełnie jak gdyby Kościół zalecił nagle tłumom oddawać cześć ohydzie skazańczego rusztowania! Tajemnica Jezusa to ni mniej ni więcej tylko tajemnica wcielenia. I cóż znaczą różne drobne łamigłówki wyjaśnień? Mniejsza z tym, że nie wiadomo dokładnie, ani kiedy się urodził, ani kiedy umarł, że trudno zidentyfikować Jego rodzinne osiedle; mniejsza z tym, że się dyskutuje, czy miał braci, czy kuzynów — wszystko to ma znaczenie drugorzędne, drugoplanowe. Istota rzeczy tkwi w zagadce, jaką stawia nam ten człowiek taki podobny do nas, człowiek, którego słowa i czyny oddziałują na nas bezustannie i burzą

w nas nie znane dotąd siły; istota rzeczy to twarz ta wykrzywiona konaniem, twarz, na której widnieje oblicze Boga.

Jezus należy do historii, ale przekracza jej ramy. Jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę i zgodność dokumentów mówiących o nim, obfitość manuskryptów, które przekazały nam Ewangelie, to musimy przyznać, że nie ma człowieka z Jego epoki, o którym wiedzielibyśmy tyle. Jednak ten „znak, któremu sprzeciwia się epoka“, jak nazywa się sam, jest przedmiotem od tysiąca lat trwających dysput. Dysputy te podejmuje każde pokolenie i każde inną płaci za nią cenę. To, że człowiek pochodzący z narodu małego i bez kultury, odnawia od razu podstawy filozofii, otwiera przed przyszłym światem pole dla nie znanej mu dotąd myśli, że ten skromny syn zwyciężonego narodu, urodzony w zapadłym kącie małej rzymskiej prowincji, ten Żyd bez imienia i podobny do tylu innych przez namiestników cesarskich pomiatanych Żydów — przemawia głosem tak silnym, iż głuży słowa samych nawet cesarzy — to wszystko niespodzianki, z którymi się ostatecznie historia pogodzić może.

Lecz życie Jego takie, jakie znane nam jest z opowiadań, utkane jest z cudów i wszystko w nim wybucha oczywistością nadprzyrodzoną. A chcąc oderwać te zdumiewające fakty od tkanki Jego życia, należałoby zniszczyć samą tkankę i zaprzeczyć jej istnienia, a także podać w wątpliwość słowa wszystkich świadków. I rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca: to życie dokonane w męce odnawia się w sposób wprawiający nas w osłupienie. Ten umarły odradza się, mówi, działa, ukazuje się tym, co Go znali za życia. A uczniowie Jego powiedzą, że fakty te urągające wszelkiej logice są dla nich dowodem jak najbardziej formalnym, jak najbardziej bezspornym. „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał — pisze św. Paweł — daremne tedy jest przepowiadanie nasze, daremna jest i wiara nasza“. Historia musi odrzucić chrześcijaństwo albo przyjąć zmartwychwstanie.

Czy te trudności tłumaczą w pełni gwałtowność i zaciętość, jakie towarzyszą sporom dotyczącym Chrystusa? Zdaje się, że o Chrystusie nie można mówić bez namiętności, a w namiętności tej nie chodzi jedynie o wiedzę. Także i w innej dziedzinie Chrystus jest „znakiem sprzeciwu“. Jego wzrok wnika w głębię każdego — wnika i sądzi; można być z Nim lub przeciwko Niemu. On jest tym, którego głos zmusza każdego, kto jest godny imienia człowieka, do pytania: „A ty kimże jesteś?“ Od chwili, gdy nad Jeziorem Tyberiadzkim wypowiedział słowa swoich błogostawieństw, pojęcia moralne zmieniły znaczenie. Odtąd każde wydarzenie ma wartość jedynie przez Niego. Życie Chrystusowe — epizod historyczny wykraczający poza historię — jest nie tylko jakimś upokorzeniem rozumu, jest także ostatecznym wyjaśnieniem i miernikiem wszystkiego; z niego czerpie historia swój sens i swoje usprawiedliwienie“.

Ludzka strona

Ustęp powyższy jest typowy dla sposobu, w jaki Daniel-Rops swą sztuką pisarską ujmuje postać Chrystusa. Może nikomu dotąd z piszących o Chrystusie nie udało się w sposób tak plastyczny, niemal namacalny i zmysłowy przedstawić ludzkiej strony Chrystusa i tym Jego ludzkim, konkretnym obra-

zem oddziałać na czytelnika tak przejmująco, chwilami nawet wstrząsająco, wprowadzić go w aurę Jego straszliwej, a zarazem radosnej tajemnicy, jak właśnie Daniel-Ropsowi. Umie on tak pisać o Jezusie-człowieku, że najsilniej nam udziela się sugestia Jego boskości:

„Życie Jezusa było życiem człowieka biednego. Mieszkał zapewne w domu bardzo skromnym, podobnym do tego, w którym anioł odwiedził Marię, a Józef umieścił swoją rodzinę. Jego pożywienie było pożywieniem ludu galilejskiego, składało się z jęczmiennego chleba, z małej ilości mięsa, z jaj, kwaśnego mleka, jarzyn, a w dni świąteczne „z pieczonych ryb, które użyźniają ciało człowieka“. Jak mówili rabini...

...Będąc rzemieślnikiem w małej mieścinie na pewno uprawiał także jakiś kawałek ziemi. Tradycja twierdzi, że jako dziecię pasał owce. Potem w czasie swego życia publicznego będzie często na całą noc odchodził w pola, aby modlić się do Ojca, tak jakby to było dla Niego stałym przyzwyczajeniem. W czasie tych samotnych rozmyślań dusza otoczona tysiącem niewidzialnych obecności łatwiej odnajduje swego Stworzyciela poprzez otaczającą ją piękność”.

Czujemy, jak ta codzienność Chrystusa przedstawiona przez Daniel-Ropsa namagnesowana jest nadprzyrodzonością, jak z każdego jej szczegółu wyziera czwarty wymiar.

Oblicze Jezusa

Ileż subtelności, erudycji i wszechstronności wykazuje Daniel-Rops w swych medytacjach nad obliczem Jezusa! Gdy stwierdza, że Ewangelia milczy uparcie tam, gdzie idzie o przedstawienie rysów twarzy Chrystusa, przegląda legendy i inne świadectwa i nie przywiązując do nich żadnego znaczenia konkretnego podkreśla ich znaczenie symboliczne świadom, że „jedynie w sercach tych, którzy Go kochają, wyciska Jezus swój obraz“. A ileż dowiadujemy się o obliczu Jezusa, gdy Daniel-Rops roztrząsając poszczególne mniemania osób legendarnych jak i historycznych osądza, że niczego się z nich nie dowiadujemy pewnego. Warto zaryzykować ten ustęp, który mówi o żywej dyskusji toczącej się zwłaszcza w pierwszych wiekach nad tym, czy Jezus był piękny, czy brzydki:

„Zdania są podzielone: Justyn męczennik mówi, że „był bez piękności, niepozorny, nędzny z wyglądu“. Ireneusz (ten sam, który oświadczał, że „cielesny obraz Jezusa nie jest nam znany“) określał Go jako człowieka „wątłego“. Orygenes uważał, że był „mały i niezgrabny“. Kommodiusz czynił Go „rodzajem niewolnika o wstrętnym wyglądzie“. Niektóre legendy mówiły nawet, że był trędowaty. Inni znowu komentatorowie twierdzą z całym przekonaniem, że był piękny. Tak twierdził Grzegorz z Nyssy, Jan Chryzostom, Ambroży, Hieronim i wielu innych. Nie na wiele nam się przyda zastanawiać się dłużej nad tymi sprawami, gdyż punkt patrzenia dawnych chrześcijan nie ma nic wspólnego z naszym: oryginalność i charakterystyczne rysy nie interesowały ich bynajmniej. Głęboką prawdę wyraził Klemens Aleksandryjski pisząc: „Dla nas, którzy pragniemy prawdziwej piękności, jedynie Zbawiciel jest piękny“, a w formie paradoksu to samo zapewne chciały wyrazić apokryficzne Dzieje Piotra: „Był równocześnie i piękny, i brzydki”.

„A więc cóż nam pozostaje, by zaspokoić to oczekiwanie, które — tego zaprzeczyć się nie da — tkwi w głębi wielu chrześcijańskich serc? Pragnienie poznania cielesnej postaci Chrystusa jest czymś więcej niż uleganiem pokusie cieższej ciekawości, jest to bowiem w pewnym znaczeniu oddanie namacalnej czci temu, który będąc Bogiem zechciał wziąć na się postać człowieka znosząc niejako zakaz dany Mojżeszowi przez Jehowę, by nigdy nie nadawał Mu rysów ludzkich. Pozostaje sztuka, a o. Doncoeur ma rację, gdy ośmiela się pisać te przejmujące słowa: „W najpiękniejszym tego słowa znaczeniu Chrystus sztuki może być tylko Chrystusem wiary. Jest to dla nas Chrystus najprawdziwszy, ten, który niszczy zasłony pozorów, by pozwolić nam dojrzeć promień swej wewnętrznej światłości”.

Przedstawiwszy następnie sposoby, jakimi sztuka chrześcijańska próbowała odtworzyć rysy Chrystusa, Daniel-Rops stwierdza, że „dopiero w V wieku wpływ bizantyński narzucił ten typ przedstawiania Chrystusa, który do dziś dnia jest najbardziej rozpowszechniony w chrześcijaństwie, jest to obraz dojrzałego człowieka, o twarzy kościstej, długim nosie i głęboko osadzonych oczach; włosy Jego są rozdzielone nad czołem i opadają na ramiona, a brązowa kręcona broda rozdziela się w dwa szpice. Przez jakiś czas oba typy (tj. i Jezus młody, silny, bez zarzutu, podobny do helleńskiego efeba) istniały równolegle. Chrystus młodzieńczy, bez zarostu — to był Chrystus raczej historyczny, tamten drugi — to Bóg uwielbiony. Ostatecznie zwyciężył ten ostatni. Dziś znajduje się wszędzie tam, gdzie dociera krzyż”.

Lecz dzieje tego zmagania się sztuki, a więc i ludzkości, z zagadnieniem uzmysłowienia sobie fizycznej postaci Zbawiciela doprowadzają raz do wniosku, że „każdy naród ma prawo urabiać na swój sposób ten najczcigodniejszy obraz”, a drugi raz, że ostatnie zapewne słowo tych wszystkich poszukiwań mieści się w zdaniu przypisywanym św. Cyprjanowi: „W was samych zobaczycie Mnie — powiada Jezus — tak jak człowiek widzi w zwierciadle swoją własną twarz”. Bo ważniejszy od zewnętrznego wyglądu Jezusa, ważniejszy nie tylko w religii, ale i w historii był ten wysiłek, jaki od dwóch tysięcy lat podejmują tysiące chrześcijan starających się upodobnić swoją duszę do Jego duszy: wszyscy wiedzą dobrze, że dopiero w dniu Sądu Ostatecznego będą mogli poznać Go już nie „przez zwierciadło”, ale „twarzą w twarz”, jak mówi św. Paweł, ale wiemy także, że wtedy, aby Go oglądać „jako jest”, będziemy musieli stać się „podobni do Niego”.

Męka Zbawiciela

Sztuka pisarska Daniel-Ropsa oddana pokornie wielkiemu tematowi, dla tego tak prosta i bezpośrednia w swych środkach, wolna od wszelkich efektów technicznych, które by mogły narzucać nieodparcie pokusy zawodu — osiąga, jak się wydaje, swój szczyt, gdy opisuje on mękę Zbawiciela. Ludzi „zarażonych śmiercią”, jakimi wszyscy niemal w takim czy innym stopniu jesteśmy, ludzi, którzy przeżyli epokę obozów koncentracyjnych i pieców krematoryjnych, nie jest łatwo wstrząsnąć opisem cierpień i śmierci Chrystusa, jaki dają nam Ewangelie. A ponieważ ten dzisiejszy, zmęczony poprzednią wojną,

stępiął posiadający wrażliwość, lecz wierzący człowiek w obliczu śmierci człowieka, który był Bogiem, nie może stłumić głosu swego sceptycyzmu płynącego z cywilizacji nowoczesnej, przeto ma on skłonność do niejakiego deprecjonowania czysto fizycznej strony cierpień Zbawiciela i do stawiania ponad nie katuszy i męczarni tysięcy istot ludzkich ginących w otchłaniach zbrodni hitlerowskich, często pozbawionych wiary w żywot wieczny, często przenikniętych poczuciem bezsensu i bezowocności swoich cierpień i swojej śmierci. Lecz Daniel-Rops wkłada w opis mąk i śmierci Zbawiciela taką precyzję i taką siłę przeżycia, że z miejsca pokonuje on w nas wszelkie opory i dajemy się przeniknąć nie tylko świadomością, że cierpienia i śmierć Chrystusa były straszliwe, p o m i m o iż był on Bogiem, lecz także świadomością, że były tak straszne, a nawet straszniejsze niż największe tortury doznawane przez zwyczajnych ludzi właśnie dlatego, ponieważ był Bogiem. Wolno przypuszczać, że udało się to osiągnąć Daniel-Ropsowi w pewnej mierze dzięki temu, iż pisał książkę w klimacie okrutnego cierpienia i pogardy dla życia ludzkiego, w latach 1939—1944. Miał przed sobą ludzkość torturowaną, dręczoną, a nawet sam w jej łonie przebywał. Czyż nie wydawało się, że w tej współczesnej umęczonej ludzkości uwielokrotnił się, umilionował prosty cieśla z Galilei i że jej konwulsje były Jego konwulsjami, jej strach Jego strachem, jej łzy i krew Jego łzami i krwią, jej agonია Jego agonią, wreszcie jej śmierć Jego śmiercią?

Oto niektóre miejsca opisu męki Zbawiciela skreślonego piórem Daniel-Ropsa, opisu tym wymowniejszego, że wyzyskującego całą skrupulatność i nowoczesną wiedzę techniczną, archeologiczną i historyczną:

„U Rzymian... istniały dwa rodzaje narzędzi tortury: *flagella*, rzemieńne skórzane często zakończone kulkami z ołowiu; bicz ten używany przez silną rękę mógł złamać obojczyk lub przetrącić kość pacierzową; używany umiarkowanie płatami zdierał skórę z katowanego: „*horribile flagellum*” — powiada Horacy. Drugim rodzajem była *flagra*, żelazne łańcuszki zakończone miniaturowymi ciężarkami gimnastycznymi lub kośćmi barana. Według tekstu św. Marka wydawałoby się, że chodzi tu raczej o ten drugi rodzaj narzędzia, ale św. Mateusz mówi o różgach, co jednak wydaje się wątpliwe. Kolumna męki był to szeroki i niski pień, wysoki na niecałe dwie stopy, co zmuszało ogołoconą z szat ofiarę do napinania skóry tak, by uderzenia lepiej się w nią wżerały...

„Próżną jest rzeczą starać się wypowiedzieć ohydę tej sceny i wyobrazić sobie, jak Jezus przywiązany do pnia odbiera okrutne razy. Umysł buntuje się wobec tego widoku: jakżeż niewielu spośród artystów, którzy wzięli ten epizod za temat swoich obrazów, umiało oddać jego okropność, a zarazem tragiczną czystość! Tu realizm zawodzi, a wszelki naturalizm jest nie na miejscu: rozumieli to rzeźbiarze gotyccy i woleli pokazywać Jezusa nadnaturalnie spokojnego pod razami. I trzeba być tak wielką mistyczną wizjonerką, jaką była Katarzyna Emmerich, aby ośmielić się mówić o tej odrażającej scenie, opisywać ruchy oprawców: „ludzi brunatnych, wzrostem od Jezusa niższych, o włosach kędzierzawych i zjeżonych, z rzadkimi brodami“, okładających swą ofiarę potężnymi razami, by wreszcie ukazywać, jak Chrystus

skrwawiony i bezwładny leży u stóp kolumny, a w pewnej chwili podnosi swą obolałą i udręczoną twarz i patrzy na gromadkę ulicznych dziewczek, które z nieprzystojną ciekawością przypatrywały się okrutnej scenie.“

Jakaż wyrazistość i drobiazgowość uwydatnia się w opisie egzekucji Jezusa. Elementy erudycyjne wkomponowane są w opis, tak że nie przytłaczają go, nie zacierają jasności rysunku, lecz przeciwnie — pozwalają wydobyć na wierzch całą istotę cierpień Zbawiciela.

W taki więc sposób np. przedstawia Daniel-Rops pochod na miejsce wykonania wyroku: „... na czele kroczył setnik ubrany w pancerz z łusek, za nim żołnierze otaczający Jezusa w drucianych koszulkach. Pośród tłumu spychanego ku murom czerwone chlamidy legionistów i ich lśniące hełmy musiały żywo odbijać od białych, szarych i niebieskich szat żydowskich. Ponuremu pochodowi towarzyszył wielki zgłęb pomieszany ze szczękiem broni. Łatwo można sobie wyobrazić pośród tej ohydnej sceny Jezusa pełnego powagi i majestatu mimo widocznych na nim śladów doznanej zniewagi. Jest bohaterem tej tragedii, której nadprzyrodzone znaczenie On jeden tylko pojmuje.“

Bogactwo męki Chrystusa ujawnia opis Jego drogi poprzez strome, ostro opadające ulice Jerozolimy, „wąskie, otoczone wysokimi domami o rzadkich oknach, nierówno wyłożone tłustymi i śliskimi kamieniami, upstrzone plamami cienia i słońca i zapewne — wtedy tak samo jak dzisiaj — pełne ostrego, przenikającego zapachu korzeni i zgnilizny, takiego, jaki wypełnia wszystkie zaułki Wschodu“. Przy tym Jezus posuwając się naprzód ugiął się pod ciężarem krzyża, który wynosił od trzydziestu do siedemdziesięciu kilogramów, a w każdym razie ciężar ten „musiał przewyższać siły człowieka wycieńczonego całonocnym czuwaniem, śledztwem, okrutną męką biczowania i spowodowaną przez nią utratę krwi“, zwłaszcza że było to gorące judejskie południe kwietniowe i że „skazany musiał schodzić i wspinać się po stromych zboczach“.

A potem — jaką torturą było ukrzyżowanie!

„Według powszechnego mniemania była to śmierć straszliwa. Crudelissimum teterrimumque supplicium, powiada Cicero. Ciało przytwierdzone do krzyża tężało i drętwiało, rany się rozogniały, w płucach, głowie i sercu następowało przekrwienie, a całego człowieka ogarniała okrutna trwoga. Pożerające pragnienie paliło błonę śluzową. Całe ciało było jedną boleścią.“ Czyż nie przypominają nam się w tym miejscu męki milionowych ofiar faszyzmu ginących od cyklonu w komorach gazowych na Majdanku, z tym że męka ukrzyżowania Chrystusa trwała znacznie dłużej, bo trzy godziny?

Szczególnie bolesne było wciąganie umęczonego na krzyż, a przede wszystkim wbijanie gwoździ w żywe ciało: „Ta okrutna rzeźnia ścisła serce. Chrześcijaństwo odmawiają Credo, powtarzają każdego dnia: „Ukrzyżowan pod Ponckim Piłatem“. Ale czy myślą o straszliwej rzeczywistości tego ostrego kolca torującego sobie drogę poprzez mięśnie dłoni, o krwi tryskającej z rozdzieranego ciała, o nieskoordynowanych drgawkach torturowanego człowieka? Wbijanie gwoździ w tkanki musiałoby powodować poważne uszkodzenie nerwu pośrodkowego, który jest nerwem czuciowym ruchu. Było to powodem bólu

wprost nie do zniesienia, a także powodowało wykręcenie się kciuka w ten sposób, że przeciwstawiał się reszcie palców.“

Po przybiciu gwoździem nóg „rozpoczęła się męka. Na początku ukrzyżowany ma jeszcze dość sił, by przeciwdziałać skurczom tężcowym miazdzącym mu piersi: kosztem straszliwych rozdarć usiłuje się dźwignąć, by móc odechnąć. Potem powoli jego odporność słabnie, rozprężone ramiona przybierają pozycję ukośną, ciało opada, kolana przeciwnie niż biodra i kostki nóg tworzą kąt rozwarty i ludzki łachman układa się w rodzaj zygzału tragicznego, głowa wstrząsana zrazu przedśmiertną czkawką opada w końcu na piersi wspierając się brodą o mostek.“

Do tego wszystkiego jednak „musimy sobie uzmysłwić, że Jezus cierpiał i konał wśród gwaru przechodniów, gapiów, włóczęgów, ciekawskich, psów i wszelkich innych zwierząt na pewnego rodzaju placu jarmarcznym, takim, jaki znajduje się prawie zawsze u bram wschodnich miast. Straż pilnowała, żeby nikt nie zdjął skazanych z krzyża, ale nie troszczyła się bynajmniej o spokój ich ostatnich chwil.“

I czy tutaj nie przypomina się sposób, w jaki umierali ludzie w obozach koncentracyjnych, gdzie śmierć była jakby odarta z całej swej samotniczej tajemnicy, zwulgaryzowana i znieważona? Choć z drugiej strony podkreśla to tym bardziej upiorną wprost samotniczość tych obozowych śmierci i śmierci Jezusa Chrystusa.

Z jakąż nieźrównaną plastyką środków pisarskich stara się nam pomóc Daniel-Rops w uzmysłowieniu sobie Jezusa wiszącego na krzyżu! „Ciało sztywne okropną drętwotą śmierci ciężące na rękach i ramionach, w których sterczały napęczniałe jak powrozy muskuły, opadało coraz bardziej. Po sieniej skórze krew spływała z ran i osiadała kropelkami na małych rankach, śladach biczowania. To ciało sponiewierane, pocięte uderzeniami, nie miało już ani kształtu, ani konsystencji żywej rzeczy; jakżeż prędko trup staje się ni to posągiem, ni to okazem anatomicznym, tą dziwną rzeczą, w której trudno nam rozpoznać tych, których kochaliśmy!...“

Wyobrażenie tej chwili (tj. chwili śmierci Zbawiciela), jej uprzytomnienie znajdziemy... patrząc na ukochane ciało poddane prawom rozkładu. „Tak dzieje się z wszystkim ciałem“. Każdy z nas dźwiga w sobie zapowiedź, nieomylną zapowiedź takiej właśnie śmierci, takiego zamarcia i nacętkowania skóry; wiem, jak przeraźliwa pewność tai się w moich teraz tak silnie pulsujących arteriach! Jezus umarł śmiercią podobną do tej, która nas czeka. W tym tkwi tajemnica i pociecha. „A ja gdy nad ziemię podwyższony będę, wszystko do siebie przyciągnę“ — przepowiedział. Setnik już uległ temu wołaniu. A za nim zbliżą się ci wszyscy, dla których śmierć Jezusa jest jedyną nadzieją życia, zadatkiem zmartwychwstania.“

*

Strony książki Daniel-Ropsa poświęcone opisowi cierpień i śmierci Zbawiciela narzucają dwie refleksje:

1. Jeśli podkreśla on prostotę tych wszystkich wydarzeń i ton, w jakim są one opowiedziane w Ewangelii, to trzeba też stwierdzić, że jego relacja.

jego interpretacja, jego opis nadzwyczajnie harmonizuje z ową prostotą i tonem Ewangelii — mimo użycia olbrzymiej skali materiałów erudycyjnych, które zostały jednak przezeń świetnie przyswojone, tak iż można powiedzieć, że ciężka ruda w tygłu jego talentu zamieniła się w lekki metal.

2. Jakże niesłuszna i płaska wydaje się filozofia egzystencjalizmu sartreowskiego w świetle męki i śmierci Chrystusa, zwłaszcza przedstawionej tak, jak to uczynił Daniel-Rops. Filozofia ta wyrosła, a w każdym razie nabrała życia i rozwinęła się na podłożu silnego przeżycia nędzy bytu i cierpienia ludzkiego w klimacie epoki faszystowskiej. I to nadaje jej wielką siłę sugestywną. Jednakże pozbawia ona istnienie ludzkie perspektyw, otacza je ze wsząd nieprzeżytym murem bezsensu, ponieważ wyeliminowała zupełnie ze swej optyki rzeczywistość Chrystusa, Jego mąk i śmierci. Jest to typowa pół-prawda, przy czym ta druga połowa, jaka jej nie dostaje, jest znacznie większa niż ta pierwsza — jeśli się można tak nielogicznie wyrazić — większa o tyle, o ile nadprzyrodzoność jest większa od doczesności.

Świadectwo Ewangelii

Chciałbym teraz zwrócić uwagę nieco na to, co pisze Daniel-Rops o samych Ewangeliach. W bardzo ciekawy sposób opowiada nam o rygorystyce i ścisłości, z jakimi pierwotny Kościół ustosunkował się do autentyczności tekstów ewangelicznych. Wbrew zakorzenionemu przesądowi był on wręcz obcy wszelkiej postawie „mitotwórczej“. Drogą długiej i mozolnej pracy selekcyjnej i analitycznej Kościół ustala zespół tekstów, który na podobieństwo silnego bloku „nawet pod naporem rozszałanych fał bajki pozostanie prawdziwą skałą prawdy“. W ten sposób „już w sto pięćdziesiąt lat po śmierci Jezusa najważniejsze księgi, z których Go poznajemy, były przez krytyczną tradycję ustalone“.

Lecz Kościół pierwotny dbał nie tylko o prawdziwość czterech Ewangelii, ale także o ich absolutną jednolitość: „Jednolitość ta jest szczególnie uderzająca, gdy weźmiemy pod uwagę trzy pierwsze Ewangelie: św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza. Najbardziej nawet powierzchowna literatura ujawnia ich uderzające podobieństwo. Od XVIII wieku, od czasu ukazania się w 1774 r. książki J. Griesbacha *Synopsis Evangeliorum*, przyjął się powszechnie zwyczaj nazywania ich synoptycznymi od greckiego słowa, które znaczy „równoległe ustawienie“. I faktycznie nierzadko znajdujemy w nich wyrażenia zupełnie analogiczne; często drukowano ich teksty w trzech kolumnach, tak aby podobieństwa te podkreślić. Euzebiusz, biskup Cezarei, zdołał nawet ok. 350 r. dokonać bardzo ciekawej statystyki, w której wykazuje, że jeśli podzielimy Ewangelie na fragmenty (perykopy) odpowiadające jakiejś myśli lub jej rozwinięciu, bardzo wiele z tych fragmentów powtarza się u wszystkich synoptyków; św. Mateusz np. ma tylko 62 fragmenty własne na ogólną ich liczbę 355, św. Marek ma ich zaledwie 19 na 233.“

Nader jednak przekonujące jest to, gdy Daniel-Rops podkreśla pozytywną wagę różnic i większą ich „dziwność“ od podobieństw: „Rozbieżności

te zamiast umniejszyć wiarygodność Ewangelii, zwiększają ją. Z chwilą gdy wszystkie trzy opowiadania potwierdzają się wzajemnie co do rzeczy istotnych, ich rozbieżności dowodzą tylko, że mamy tu do czynienia z trzema różnymi świadectwami złożonymi przez ludzi, którzy dzieł swoich wzajemnie nie kopiowali.“ Tu cytuje Daniel-Rops „przenikliwe spostrzeżenie dwóch zdecydowanie „laickich“ historyków, Langlois i Seignobos: „...Zazwyczaj skłonni jesteśmy uważać zgodność za potwierdzenie tym pewniejsze, im ta zgodność jest pełniejsza; tymczasem trzeba przyjąć paradoksalną zasadę, że zgodność jest wymowna wtedy, gdy jest ograniczona do małej ilości punktów. Te to słeczne punkty rozbieżnych stwierdzeń stanowią podstawę najlepiej udokumentowanych faktów historycznych.“ Daniel-Rops dodaje: „Lepsza jest bowiem cicha i częściowa zgodność niż naśladownictwo“.

Wyznania osobiste

Pisaliśmy na początku o tym, jaką postawę winien zająć badacz, chcąc pisać historię Jezusa. Teraz, na zakończenie wróćmy do tego tematu i przytoczmy osobiste wypowiedzi samego Daniel-Ropsa w tym względzie, świadczące o jego całkowicie świadomej odpowiedzialności za to ogromne przedsięwzięcie.

„Jest zupełną niemożliwością pisać historię Jezusa w tym nastawieniu umysłu, z jakim przystępuje się do pisania o Cezarze czy Napoleonie. Jeżeli każdy biograf poddaje się pokusie darzenia swego bohatera poczuciem miłości lub surowości, decyzja ta jest tym konieczniejsza, gdy chodzi o tego, którego słowo i przykład ogarniają wszystkie dziedziny, z jakich jest utkane ludzkie życie. „Zbliżam się do Ewangelii jak do ciała Chrystusowego” — mówił św. Ignacy z Antiochii, męczennik pierwotnego Kościoła. A niewierzący historyk Dawid Strauss powiedział doskonale, że trzeba by uważać „za dotkniętego głupotą każdego, kto chciałby pisać o Jezusie z tą samą nauką obojętnością, z jaką można pisać o wszystkich innych postaciach starożytności.“

Daniel-Rops zwraca uwagę na konieczność uwzględnienia tradycji wcielonej w Kościół i na świadectwo Kościoła „bardziej jeszcze niż w nauczaniu doktrynalnym zawartym w ciągle odnawianym doświadczeniu uczestniczącym wszystkim, co w nich najbardziej osobiste i najgłębsze, w życiu Chrystusa“. Istnieje jeszcze poznanie Jezusa dostępne ściśle biorąc tylko „... tym wszystkim, którzy w pewnym sensie potrafili zjednoczyć swoją istotę z istotą Mesjasza...“ i oni to czasem „jednym słowem rozjaśniają najbardziej tajemnicze stronicę Ewangelii“.

Daniel-Rops zaznacza, że „im wznioślejszy jest przedmiot, tym dokładniejsza powinna być metoda badania“, ale jednocześnie kładzie on silny akcent na tym, że „najgłębsza prawda o Chrystusie nie jest natury historycznej“, że „prawdę Chrystusa można poznać przez ową siłę przyłgnięcia, którą Pascal określa niezapomnianym słowem „serce“.

Teraz następuje najważniejsze wyznanie autora:

„I tu rozpoczyna się trwoga. Bo jeżeli prawdziwym Chrystusem jest ten Chrystus wewnątrz każdego z nas, ten Bóg, przed którym uciekamy lub do

którego się zbliżamy zależnie od chwili, to jakież drzenie musi ogarnąć tego, kto niegodny ośmiela się opisać Go! „Kto chce malować Chrystusa, musi żyć z Chrystusem“ — mawiał błogosławiony Fra Angelico. Niestety!”

Lecz my, którzy mamy już przed sobą ukończone dzieło, możemy tylko wyrazić radość, że tak trudne warunki były niezbędne do jego urzeczywistnienia, że musiało ono wyrastać w wysokiej temperaturze religijnej. Jakiegokolwiek autor odczuwałby niedostatki w zakresie dostrojenia się do najwyższego diapazonu przeżyć religijnych w trakcie pisania książki, jakiegokolwiek by mu bibliści, teologowie wytknęli usterki, niedociągnięcia, omyłki, nieścisłości i nawet wykazali, że nie wniósł on nowej pozycji do literatury naukowej, trzeba jednak stwierdzić, że jego *Dzieje Chrystusa* są dziejami Chrystusa na miarę naszej epoki, która ma za sobą gigantyczne cierpienia, która poznała w najwyższej skali nagą prawdę o istocie ludzkiego bytu doczesnego i która jest zarazem epoką dokumentacji i weryfikacji.

Moglibyśmy na tym stwierdzeniu zakończyć to omówienie. Atoli skoro tyle pisaliśmy o autorze, byłoby dotkliwą luką, gdybyśmy choć w paru słowach nie wspomnieli o tym, który szedł krok w krok za nim niby wierny i czuły towarzysz przedzierający się od początku do końca przedsięwzięcia poprzez gąszcz jego słów, zatroskany o ich najodpowiedniejsze przekazanie we własnej mowie. Również i przekład taki, jaki dała p. Zofia Starowieyska-Morstinowa, nie byłby możliwy, gdyby tłumaczki nie przenikała wibracja głębokiego przeżycia religijnego.

KRONIKA LITERACKA

Najlepsza powieść XX wieku? Francuska publiczność literacka lubi wyszukiwać sobie utwory, którymi przez miesiąc, dwa najdalej się zachwycą, wynosząc je na piedestał „arcydzieła”, „najlepszej powieści XX wieku” — po upływie zaś tego czasu zapomina o nich najkompletniej. O „genialnej” w r. 1945 „Citadelle” A. de Saint-Exupéry nie mówi się obecnie wcale. W zapomnienie poszły: „Stalingrad” Pliviera, „Les mains sales” Sartre’a, „La peste” Camusa, „Vingt cinquième heure” Georghiu. Obecnie „arcydziełem” i „najlepszą powieścią” XX wieku jest „The naked and the dead” Normana Mailera.

Autorem powieści jest Amerykanin, człowiek młody, urodzony w r. 1923 w Long Branch. Mailer ukończył w r. 1943 uniwersytet w Harvard, po czym służył w wojsku w Leyte, na Luzonie i w Japonii. Przed „The naked and the dead” napisał powieści „The Advocate”, „Cross Section” i „A calculus at Heaven”. Ostatnia powieść Mailera po niebywałym sukcesie w St. Zj. („najwspanialsza powieść, jaka była kiedykolwiek napisana o wojnie” — „New York Post”. „Żywość barw upodabnia ją do „Wojny i pokoju” Tołstoja” — „Time Magazine”) trafiła do Anglii (tu Aldous Huxley oświadczył, że może ją zestawić jedynie z „Okropnościami wojny” Goyi), wreszcie do Francji, gdzie ukazała się z przedmową A. Maurois, który mówi o niej, że jest „książką twardą, odpychającą, często irytującą, lecz niezapomnianą”. Treścią powieści jest wojna na wyspach południowego Pacyfiku. Amerykańska dywizja pod dowództwem generała Cummingsa zdobywa wyspę Anopopei. Bohaterami powieści oprócz generała jest młody podporucznik Hearn oraz 14 ludzi stanowiących skład oddziału komandosów. Generał jest karierowiczem i pozerem (parodia generała Mac Arthura?), człowiekiem, który potrafi wysłać na pewną śmierć kogoś, kogo nie lubi, i który entuzjazmuje się... hitleryzmem (mówi: „koncepcja faszystowska... związana ściśle z naturą człowieka ujawniła się w kraju, który do niej nie dorósł... W Niemczech musiała nastąpić przesada. Ale marzenie, pomysł jest doskonały i słuszny... I Ameryka potrafi go doskonale ziszczyć...”).

Hearn, właściwy bohater powieści, jest typem bezradnego wobec życia inteligenta, wyznającego ideologię marksistowską bez dostatecznego jednak przekonania.

Żołnierze oddziału komandosów mówią między sobą językiem przerażająco brutalnym (takim samym, jak bohaterowie słynnego „Week-end à Zuycoote” R. Merle). Reprezentują wszystkie grupy narodowościowe St. Zj. Jest tu więc: Irlandczyk, Polak, 2 Żydów, Meksykanin, Szwed.

Najbardziej pasjonującą częścią książki jest historia oddziału komandosów na tyłach pozycji japońskich. Tutaj wobec przerażającej podzwrotnikowej przyrody i w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa ludzie odkrywają swoje najgłębiej ukryte „ja”, stają wobec czytelnika „nadzy”, zanim będą „nieżywi”.

Czy jednak powieść Mailera ukazuje nam najbardziej wstrząsające okropności wojny? Walka na Anopopei nie wciąga w swoją orbitę ludności cywilnej, bo tej nie ma na wyspie. Bezwzględne mordowanie się wzajemne Amerykanów i Japończyków (w książce Amerykanie mordują stale jeńców!) sprawia wrażenie czegoś makabrycznego. Odkryciem, które wyłania się najjaskrawiej z powieści Mailera, jest absolutna niechęć do wojny po stronie amerykańskiej, duża doza tchórzostwa żołnierzy amerykańskich, beztreściwość ich egzystencji, brak jakiegokolwiek ideału, za który warto by było dać życie, i górujące nad wszystkim pragnienie szybkiego powrotu do wygody, komfortu i przyjemności przedwojennego bytowania.

Z tym wszystkim powieść jest bardziej tragiczna niż dramatyczna. Być może, jest — ona także wyrazem egzystencjalizmu typu Hemingwaya Steinbecka czy Faulknera. Stanowi niewątpliwie pozycję ciekawą i wstrząsającą. Ale czy za pół roku będzie się o niej jeszcze mówiło jako o „największym arcydziele XX wieku” — raczej należy wątpić.

Ojcowie jedli zielone winogrona, a synom zęby ścierpły. To przysłówie spotykane nieraz u proroków Starego Testamentu służy za cytataę książki Pierre Henri Simona nagrodzonej, jak już wspominaliśmy o tym, za rok 1950 nagrodą Renouveau Français i stanowi wytlumaczenie jej tytułu „Les raisins verts”.

P. H. Simon jest obok Estanga przedstawicielem młodszego pokolenia francuskiej prozy katolickiej. Urodzony w r. 1903 (a więc nie taki młody), aż do wojny występował przede wszystkim jako publicysta i eseista. Wyszedłszy z obozu jeńców objął w Gandawie, a potem we Fryburgu katedrę literatury francuskiej. Po wojnie wydał kilka powieści oraz znakomity tom esejów o A. Malraux, J. P. Sartre, A. Camusie i A. de St-Exupérym pt. „L'homme en procès”.

Treścią „Les raisins verts” są dzieje dwóch pokoleń: ojca, Gilberta d'Aurignac, żyjącego w latach 1881—1946, oraz syna, Denisa Van Smeevorde, żyjącego pomiędzy rokiem 1916 a 1938. Ojciec jest typowym przedstawicielem pozytywistyczno-burżuazyjno-liberalnej Francji z początku bieżącego stulecia. Życie jego obfituje w chwile wielkich namietności, lecz brak mu jakiegokolwiek moralnego pionu i idei pierwotnej. Wobec katolicyzmu ma stosunek „oficjalnie” życzliwy, a w rzeczywistości obojętny. W życiu praktycznie jest zaprzeczeniem chrześcijaństwa. Jego naturalny syn Denis odchodzi od ojca zrażony do katolicyzmu głoszonego przez Gilberta. Znajduje poparcie u marksistów. Ginie jako ochotnik republikańskiej armii hiszpańskiej.

Simon podkreśla mocno fakt zerwania jakiegokolwiek więzi między ojcem a synem. Pozostaje natomiast do końca stosunek głębokiej przyjaźni między Denisem a córką Gilberta Anną, która również, choć z innych pobudek, opuszcza ojca, odkrywając prawdziwy katolicyzm w klasztorze dominikańskim. Książka jest napisana ciekawie i stanowi jedną z celniejszych pozycji osłabłej teraz literatury francuskiej.

Dlaczego wierze? Podobnie jak u nas Gołubiew w „Znaku” wypowiedzieli się w paryskim piśmie „Opéra” czołowi przedstawiciele francuskiej literatury katolickiej.

Paweł Claudel wyznaje, że był wychowany w atmosferze niewiary. „Żyłem — pisze — życiem niemoralnym i coraz głębiej zapadałem w rozpacz... Pierwsze przebliski prawdy otrzymałem z książek wielkiego poety, któremu jestem winien wieczną wdzięczność... Artura Rimbaud... Takim byłem, gdy 25 grudnia 1886 udałem się do Notre Dame, aby wziąć udział w pasterce. Byłem wówczas początkującym pisarzem i szukałem w ceremoniach kościelnych... tematu do jakichś dekadencckich wystąpień. W takim stanie ducha stałem wśród tłumu... Potem, nie mając nic lepszego do roboty, przyszedłem na nieszpory... I to wówczas dokonało się wydarzenie, które miało zadecydować o całym moim późniejszym życiu. W jednej chwili moje serce zostało dotknięte — i uwierzyłem. Uwierzyłem z taką mocą, z takim przekonaniem i pewnością, że od tamtej chwili żadna książka, żadna sytuacja życiowa nie mogły już zachwiać mojej wiary...”

Dla Franciszka Mauriaca „Bóg nie był nigdy problemem... Nie musiałem Go odkrywać czy szukać wśród jęków”. „Ale Bóg mego dzieciństwa nie był abstrakcyjnym bogiem filozofów... Boga istniejącego, który jest, jak mówi Claudel, „kimś”, odkryłem dopiero przez Jezusa... Ale spytacie mnie, czy nie można wierzyć w Boga poza słowami Chrystusa? Owszem. Artysta, żyjący we mnie, poeta nie może przyjąć absurdałnego świata. Andante Mozarta, list Maurycyego Guérin, poemat Baudelaire’a czy Rimbaud daje mi „odczucie duszy” — świadomość jej istnienia... Dowodem istnienia Boga jest człowiek...”

Gabriel Marcel zaczyna od uwagi, że „wiara nie jest opinią... nie można jej dowieść żadną motywacją... Obraz świata... z całym jego absurdem... sprawia, że odwracamy się od niego ku Jedynemu będącemu doskonałością. Ale to jest dopiero pragnienie wiary; pomiędzy stwierdzeniami: chciałbym wierzyć i wierzę — leży przepaść... Tutaj działa Łaska...”

I dlatego o wierze może mówić tylko „świadeństwo... a przede wszystkim świadectwo świętych. Ale i tu także chodzi o wolne przyjęcie tego świadectwa — bez tej wolności świadectwo byłoby tylko martwą literą...”

Wreszcie dla Daniel-Ropsa (prawdziwe nazwisko pisarza: Henryk Pétiot) wiara oparta na argumentach jest teoretyczna. „Ważniejszą jest dla mnie potrzeba absolutna powierzenia się tajemnicy, która przewyższa wszystkie kategorie rozumu... Bóg nie jest zresztą tylko tym, co się poznaje, jest rzeczywistością, którą trzeba kochać... On sam jest Miłością... Ta Jego miłość nosi imię Jezus. Ostatecznie jeżeli wierzę w Boga, to dlatego że Człowiek, którego znamy, którego wiemy, jak nazwać, którego myśli zostały nam przekazane i którego przykład mamy wciąż przed oczami, tak mnie kochał, że zechciał dla mnie umrzeć — i dlatego że ten Człowiek jest synem Bożym...”

Wypowiedź ankietowa pisarzy francuskich przypomina także wydaną w r. 1949 książkę „The road to Damascus”, w której katolicycy pisarze angielscy E. Waugh, Sheila Kay-Smith, John O'Brien i inni pisali o swoich nawróceniach.

Wywiad z *Mauriakiem*. W związku z ukazaniem się nowej powieści Mauriaka „Sagouin” (wspominaliśmy już o niej) pisarz udzielił p. Fr. Galichon wywiadu na temat powstania utworu.

„Zacząłem go — powiedział — podczas okupacji, ale pozostawiłem niedokończonym. Wydawało mi się, że sytuacja powojenna nie będzie sprzyjała wydaniu tej ponurej historii... Niedawno odnalazłem mego „Sagouin”, przeczytałem i natychmiast znalazłem zakończenie...”

Zdaję sobie sprawę z sukcesu, jaki odniosła książka. Szczerze mówiąc nie oczekiwałem go. Może zadecydowała tu krótkość powieści. Ludzie nie mają dzisiaj sił do wielkich utworów. To śmieszne, co mówię, bo sam obecnie pracuję nad powieścią obszerną i długą. Obecnie jestem przy prologu... Nie mam niestety wiele czasu do pracy, muszę czytać swoje własne utwory przygotowując ich wydanie zbiorowe (zaczęło się już ukazywać; całość obejmie 13 tomów, *uw. M. D. D.*). Pozapominałem niektóre fragmenty. Morderstwo bohaterki „*Anges noires*” wydaje mi się teraz godne romansu detektywistycznego. W gruncie rzeczy myślę, że mógłbym się być stać pisarzem na modłę Simenona lub Grahama Greene’a. Podziwiam ich obu...”

Nowa książka o *Bloy*. Albert Béguin, autor ciekawego studium o Leonie Bloy „*Leon Bloy l'Impatient*”, wydał świeżo nową książkę o wielkim autorze „*La femme pauvre*” pt. „*Mystique de la Douleur*” (Wyd. Labergerie, Paris).

Słowo Boże a rzeczywistość dnia dzisiejszego. Pod tym tytułem wygłosił w czasie tegorocznego Wielkiego Postu słynny kaznodzieja o. Michel Riquet T. J. cykl konferencji w paryskiej Notre-Dame. Obecnie kazania te ukazały się w wydaniu książkowym (wyd. Spes, Paris) w 6 małych tomikach. Tytuły poszczególnych konferencji brzmią: „*Słowo Boże w Kościele*”, „*Słowo i Pismo*”, „*Świadkowie Słowa*”, „*Jezus Chrystus — Słowem Bożym*”, „*Izrael, prorok Słowa*” i „*Aby zrozumieć Słowo*”.

Walka o św. Teresę z Lisieux. Zaledwie umarł Maxence van der Meersch, ukazał się drukiem gruby tom wystąpień rozmaitych krytyków świeckich i duchownych przeciwko jego „*La petite S-te Thérèse*”.

Książka została przez nich osądzona surowo. Zarzuca się jej, że źle interpretuje naukę Małej Świętej i fałszuje jej świadectwo; że teksty zaczerpnięte z pism św. Teresy są często niezgodne z ich właściwym brzmieniem lub też tendencyjnie zmienione; że wreszcie na całym dziele ciąży luterkański pesymizm. Niektóre ataki są nie tylko ostre, ale i nieprzyjemne w brzmieniu. Prawda — jak można sądzić — leży pośrodku. Niewątpliwie Van der Meersch nie pokazał nam w swojej książce prawdziwej św. Teresy. Gdzieś zaginęło posłannictwo ufności i miłości, które stanowi główny rdzeń nauki „małej drogi”. Z drugiej jednak strony niewątpliwie winawianie w pisarza „heretyckości” jest czymś przesadnym, a nawet niesmacznym. Van der Meersch napisał doskonałą powieść o życiu świętej zakonnicy. To nie jest na pewno historyczna św. Teresa, ale jest to ciekawy dramat kobiety walczącej w klasztorze o świętość.

Pamiętnik Julien Greena. Wielką literacką nagrodę księstwa Monaco w wysokości 1 miliona franków, tzw. Prix Rainier III, otrzymał Julien Green, autor omawianej na innym miejscu w niniejszym numerze „Życie i Myśli” „Moïry”, pisarz francuski (pochodzenia amerykańskiego) za całokształt swojej pracy literackiej. Składa się na nią 10 powieści, z których obok „Moïry” najbardziej są znane „Mont Cinère” i „Adrienne Mesurat” (była przed wojną tłumaczona na język polski).

W ostatnich miesiącach Green wydał swój pamiętnik, obejmujący w 4 tomach lata 1928—1945 (wyd. Plon). Pamiętnik ten jest dokumentem ciekawej drogi rozwoju duchowego pisarza.

Tematem, który bez końca powraca w „Journal” Greena, jest stwierdzenie dualizmu pomiędzy życiem zewnętrznym a wewnętrznym.

Niewątpliwie rozdzwięk między życiem pisarza — które odkrywa „Journal” — a jego twórczością istnieje. Nie bez racji przyznaje (pod datą 21 paźdź. 1950 r.): „Czyha na mnie stara przeciwniczka: rozpacz”.

Jeżeli jednak nie zapanowała dotąd harmonia między życiem a twórczością tego ciekawego pisarza, to przecież jest w tym wszystkim mocny i dobroczynny ferment. Najciekawszą książką Greena jest jego pamiętnik, o tyle lepszą niż inne, o ile osiem tomów „Journal” Bloy góruje nad jego „Le Désespéré” i „La femme pauvre”.

Sztuka interesuje się znowu św. Antonim Pustelnikiem. Św. Antoniemu Pustelnikowi poświęcone zostało literackie *vie romancée*. Napisał je młody (ur. 1910) autor francuski Henri Queffélec pt. „Saint Antoine du Désert” (wyd. Hachette).

Queffélec jest autorem kilku powieści, z których jedna, pt. „Au bout du Monde” otrzymała w 1949 r. nagrodę Renouveau Français, inna pt. „Un recteur de l'île de Seine”, często porównywana do Bernanosowskiego „Journal d'un curé de campagne” i do Greenowskiego „The Power and the Glory”, podobnie jak dwie tamte została przed pół rokiem sfilmowana. Film nakręcił Jean Delannoy dając mu tytuł „Dieu a besoin des hommes” (film oparty na powieści Bernanosa wykonał Robert Bresson, tworząc jedno z największych arcydzieł sztuki kinematograficznej; natomiast powieść Greena znalazła b. mizernego realizatora w amerykańskim reżyserze John Fordzie).

Książka Quefféleca o św. Antonim jest biografią napisaną żywo i barwnie. Przypomina ona katolikom postać wielkiego pustelnika, myśliciela i zwycięzcy pokus.

Małżeństwo chrześcijańskie. Pod tytułem „Le couple Chrétien” (wyd. Amiot Dumont) ukazała się książka zawierająca szereg artykułów i esejów na powyższy temat. Redaktorem całości jest niezmordowany Daniel-Rops, współpracownikami: Jacques Madaule, Gustave Thibon, o. de Frondeville, tajemniczy pisarz podpisujący się cyfrą XXX, oraz szereg innych.

Krytycy zwracają uwagę na zupełnie nowy a jednocześnie bardzo głęboki sposób ujęcia tematu przez wszystkich opracowujących książkę autorów.

Nowa powieść o życiu księdza. Dużym rozgłosem w Ameryce cieszy się od roku powieść „The Cardinal” Henry Morton Robinsona (wyd. Simon and Schuster, New York). Autor książki jest Amerykaninem, ur. w Bostonie w 1898 r. Przez wiele lat Robinson pracował przede wszystkim jako krytyk literacki i dopiero po drugiej wojnie światowej stał się autorem powieści. Napisał „The Perfect Round” (1945) i „The Great Snow” (1947). W 1950 wydał „Kardynała”.

Treścią książki — podobnie trochę jak w Marshalla „All glorious within” (po polsku: „Chwała córy królewskiej”) — są dzieje księdza katolickiego, Stephen Fermoye. Okres akcji obejmuje lata od 1915 do 1939. W tym to czasie skromny ksiądz jest kolejno wikarym, proboszczem, sekretarzem arcybiskupa, biskupem, wreszcie kardynałem. Akcja toczy się cały czas w Ameryce dotykając także środowiska Polonii amerykańskiej.

W przedmowie do książki autor pisze: „Być może czytelnik będzie chciał wiedzieć, że byłem zawsze i jestem rzymskim katolikiem. Czy jestem złym, czy też dobrym katolikiem — to już jest sprawa wyłącznie między mną a moim Stwórcą. Nigdy nie pragnąłem być księdzem. Jedynie jako pisarz byłem już od dłuższego czasu wstrząśnięty potęgą i cudownością godności kapłana. W „Kardynale” starałem się przedstawić uczucia księdza obdarzonego głębokim humanizmem i wykonującego między Bogiem a ludźmi swą rolę poświęconego pośrednika...”.

A więc po utworach Bernanosa, Marshalla, Greene'a, Quefféleca, Pézerila, Hannoteaux, Coccioli i innych nowa powieść o życiu księdza. Postać księdza naprawdę mocno weszła do współczesnej literatury!

Najmłodszy pisarze Francji. Są nimi Michel Caste i Philippe Héduy. Żaden z nich nie liczy więcej niż 23 lata. Oba napisali powieści: Caste „Voulez-vous vous marier”, Héduy „Sainte Catherine”.

Obie powieści posiadają zdaniem krytyków duże walory literackie. Cechuje je także „nowy pogląd na świat”. Na czym polega jego nowość? Na przypisywaniu wielkiego znaczenia przyjaźni, na miłostkach łatwych i cynicznych, na nowej moralności, opartej na „szczerości wobec siebie samych”. Dodajmy wreszcie: obie książki pisane są tym całkiem nowym językiem „à la Merle” nie omijającym żadnej sprośności i wulgarności.

Poprzez dwuznaczne pochwały krytyki francuskiej przebiega niepokój, że tylko taką literaturę będzie miała Francja w najbliższym „pięćdziesięcioleciu” (stanowczo wydaje się to nam prognostykiem zbyt długim).

Dziesięciolecie śmierci Pourtalès. Mija dziesięć lat od śmierci jednego z ciekawszych pisarzy międzywojennego dwudziestolecia: Guy de Pourtalès. Był on przede wszystkim autorem szeregu *vies romancées* muzyków: Wagnera, Chopina, Liszta (przekład życia Liszta ukazał się u nas po wojnie). Ale oprócz tych biografii muzyków Pourtalès napisał doskonałą powieść (aż dziwne, że jej ani przed wojną, ani po wojnie nie przetłumaczono na język polski): „La pêche miraculeuse”, przedstawiając w niej przeżycia młodzieży szwajcarskiej w latach wojny 1914—1918.

Pamięci Pourtalèsa poświęcił w „Table Ronde” F. Mauriac kilka zdań. Nazywa go ostatnim przedstawicielem tej elity umysłowej zeszłego stulecia, „która równie dobrze czuła się w Weimarze jak w Paryżu”.

Walka z religijnymi bohomazami. We Francji sfery artystyczne rozpoczęły zawziętą kampanię przeciwko usuwaniu z kościołów rzeźb i obrazów, które, zdaniem duchowieństwa i wiernych, rażą uczucia religijne. Ledwie zakończyła się wojna o prymitywy Rouaulta, uznane w pewnych kołach katolickich za gorszące, kiedy wybuchła nowa awantura o krzyż rzeźbiony przez Germaine Richier, usunięty z kościoła w Plateau d'Assy przez miejscowego biskupa.

W namiętnym ataku pisze w tej sprawie Bernard Dorival: „Niech Bóg zachowa, aby się konserwatorzy z Louvru i Colmaru nie zabrali z kolei do „Pitié” Villeneuve-les-Avignon i do dzieł Grünewalda! A może przyjdzie dzień, że wyrzuci się z bibliotek parafialnych Bernanosa, Mauriaka, Claudela, Péguy, Bloy i Maritaina, aby cnotliwa trzódka Boża mogła czytać wyłącznie Bazina i oglądać w kościele jedynie Bazinów plastyki...”.

Ulica Notre-Dame. Powieść napisana przez księdza i o życiu księży, i to powieść dobra, pasjonująca — oto prawdziwa sensacja! Ks. Daniel Pézeril, którego znamy jako spowiednika i przyjaciela J. Bernanosa, napisał powieść pt. „Rue Notre-Dame” (wyd. du Seuil). Treścią powieści jest historia dwóch księży: starego, dogorywającego już kanonika ks. Serrurier, przemysłiwającego nad swym życiem (powieść pisana jest w formie pamiętnika ks. Serrurier) i pragnącego wysnuć z niego wnioski na użytek młodszych konfratrów, oraz młodego księdza Roberta, reprezentującego nowoczesny typ francuskiego duchownego.

Powieść ks. Pézeril zyskała jednogłośnie uznanie krytyki francuskiej. Pisze o niej m. i. Luc Estang, autor „Les Stygmates”: „Dla krytyka i dla czytelnika czy może być lepsze przejście pomiędzy literaturą powieściową a literaturą eseistyczną jak powieść w rodzaju powieści Daniela Pézeril, łącząca tak szczęśliwie zalety obu gatunków literackich...”.

Ks. Pézeril urodził się w roku 1911. Studiował w Sorbonie w latach 1928—32, potem dopiero został kapłanem. Należał do ludzi poszukiwanych pilnie przez Gestapo. W r. 1947 został proboszczem paryskiej parafii Saint-Séverin przeznaczonej przez kardynała Suharda na parafię akademicką.

Duhamel pisarzem katolickim? Jerzy Duhamel, jeden z najpłodniejszych autorów francuskich międzywojennego dwudziestolecia, autor bolesnego paszkwilu na prześladowaną Murzynów Amerykę: „Scènes de la vie future” oraz cyklów powieściowych: „Vie et aventures de Salavin” oraz „Chronique des Pasquier” wydał świeżo (w 1951 r.) powieść pt. „Voyage de Patrice Périot”. Treścią powieści jest historia uczonego prof. Périot, którego okoliczności zmuszają do udziału w intensywnym i wyczerpującym życiu politycznym. Périot próżno broni swego czasu i swoich upodobań. Coraz bardziej rozdrażniony, coraz bardziej odrywany od swego dotychczasowego życia, staje pewnego dnia

wobec faktu niezrozumiałej dla siebie samobójczej śmierci syna. Nieszczęście to jest kroplą, która przepełniła jego puchar: Périot postanawia także popełnić samobójstwo.

Ale zatrzymuje go przed tą zbrodnią i zwraca mu wolę życia drugi jego syn, Thierry, gorący, choć dziecinny nieco i naiwny katolik. „Patrycjusz Périot — tymi słowami kończy się książka — zrozumiał, że radość nicości nie będzie mu teraz dana, że może przyjdzie mu na nią jeszcze długo czekać, zanim otrzyma ją z łaski życia. Pojął, że musi trwać w rozpacz i w bólu aż do godziny dokonania się losu — poprzez miłość i nadzieję”.

W rozdrażnieniu profesora Périot wyczuwamy rozdrażnienie pisarza. Ale nie wydaje się nam, aby należało stąd pochopnie sądzić, że ratunek, jaki przynosi ojcu „mały święty Thierry”, został także dany Duhamelowi. Naiwność sylwetki Thierry'ego mówi o wielkim jeszcze niezrozumieniu katolicyzmu przez Duhamela. Ale jak to słusznie zauważył przed rokiem P. H. Simon, Duhamel jest na drodze powrotu do Boga. „Religia katolicka — pisał kiedyś ten lekarz-literat — opuściła mnie przed 35 laty. Kiedy jednak wyrosłem z lat, w których duma nas pociesza jeszcze bardziej prowadząc nas na bezdroża, żałowałem często — powiedzmy otwarcie: każdego dnia — tej wiary, która jest odpowiedzią na wszystko w zakresie metafizyki, moralności, a nawet polityki. Żałowałem szczerze, lecz na próżno...”. Duhamel nie był nigdy przeciwnikiem katolicyzmu, raczej, jak powiada Simon, „jednym z tych ludzi dobrej woli, którzy odcięci od ciała Kościoła przez wewnętrzne opory, łączą się przeciw z Jego duszą przez swą ciekawość Boga i miłość bliźnich”. Sam Duhamel pisał w jednym z tomów swoich wspomnień: „Pozwólcie mówić przechodniowi, który zatrzymuje was na ulicy, by was poprosić o ogień — po dziesięciu minutach zacznie wam mówić o Bogu... Każdy podświadomie szuka Boga i życia wiecznego, nawet gdy jest cynikiem i sceptykiem...” A gdzie indziej: „Jeżeli cywilizacja nie znajduje się w sercu człowieka, no, to znaczy, że jej w ogóle nie ma”.

Ciekawą drogę przeszedł Duhamel od swego Salavina, pierwszego w literaturze „świętego bez Boga”, do małego Thierry'ego.

„Voyage de Patrice Périot” mówi jeszcze o jednym: o rosnącym wśród pisarzy francuskich rozdrażnieniu wobec żądań, jakie się im stawia, aby zajęli zdecydowane miejsce po jednej stronie barykady ideowej. Reprezentanci kultury francuskiej przywykli uważać się za arbitrów, a nie za uczestników walk ideowych. Wobec naporu życia czują się nieszczęśliwi. Gilson opuścił Francję. Duhamel-Périot w podnieceniu myśli o samobójstwie. Pascal Laumière, bohater ostatniego dramatu Gabriel Marcel „Rome n'est plus dans Rome”, również ucieka z Francji do Brazylii, ale i tam nie znajduje upragnionej wolności (tzn. prawa do „klerkizmu”) — więc wraca do ojczyzny... Objasniając swoją sztukę, G. Marcel twierdził, że on sam przeżywał wielką pokusę ucieczki z kraju i przezwyciężył ją tylko dzięki pomocy ze strony religii.

Nie miejmy złudzeń: katolicyzm francuski, nawet tej elity, jest bardziej katolicyzmem debat słownych niż czynów.

Egzystencjalizm a Gabriel Marcel. Od czasu encykliki „*Humani generis*” G. Marcel nie pozwala nazywać się egzystencjalistą. Jednakże ostre potępienie, z jakim się spotkał ze strony Ojca św egzystencjalizm, nie było zwrócone przeciwko autorowi „*Journal Métaphysique*”. Przedstawicielowi Francji, p. Jean Guilton, powiedział Pius XII: „Potępiając egzystencjalizm, ani przez chwilę nie myślałem o naszym ukochanym synu, Gabrielu Marcel”.

Maria-Danuta Dobraczyńska

KRONIKA BIEŻĄCA

ODBUDOWANIE KATEDRY WROCŁAWSKIEJ

Dnia 29 lipca rb. odbyła się we Wrocławiu podniosła uroczystość poświęcenia katedry, dźwigniętej z ruin dzięki pomocy Państwa, dzięki trudowi polskich robotników, patriotyzmowi kapłanów i ofierze wiernych. Poświęcenia dokonał Prymas Polski, ks. arcybiskup dr Stefan Wyszyński.

Już na godzinę przed rozpoczęciem nabożeństwa ciągnęły na wyspę tumską nieprzeliczone tłumy wiernych, zalegając wejścia do katedry, której ogromne wnętrze zdołało pomieścić jedynie część przybywających.

Punktualnie o godz. 10 przybył ks. Prymas w otoczeniu ordynariusza łódzkiego, ks. biskupa Klepacza, ordynariusza lubelskiego, ks. biskupa Kałwy, sekretarza Episkopatu, ks. biskupa Choromańskiego, księży biskupów: Sonika, Jedwabskiego, Czaplńskiego i Baraniaka oraz liczne duchowieństwo. Po poświęceniu murów katedry uroczysty orszak z przedstawicielami dostojnego Episkopatu na czele ruszył nawą środkową wśród podniosłej pieśni chóru kościelnego „Ecce Sacerdos“ ku ołtarzowi głównemu.

Na tronie arcybiskupim zasiadł ks. Prymas, po obu zaś stronach zasiedli księża biskupi, kanonicy i dziekani. W prezbiterium u stóp ołtarza na specjalnym miejscu zasiadł przedstawiciel Rządu Rzeczypospolitej, minister Antoni Bida. Po odśpiewaniu pieśni przemówienie wstępne z ambony wygłosił wikariusz kapitulny archidiecezji wrocławskiej, ks. prałat Kazimierz Lagosz, witając ks. prymasa Wyszyńskiego, przedstawiciela Rządu min. Bidę, ks. biskupów, przedstawicieli Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej, duchowieństwo i przedstawicieli prasy katolickiej. Na początku swego przemówienia mówca dobitnie podkreślił, że nie doszłoby do uroczystości poświęcenia i otwarcia katedry wrocławskiej, gdyby nie bohaterstwo armii wyzwolenczej, która swym trudem i krwią przywróciła Wrocław Państwu polskiemu. Oczom pierwszych Polaków, jacy znaleźli się wówczas we Wrocławiu, przedstawił się ponury widok: zamiast kwitnącego życiem miasta widzieli przed sobą morze ruin i las kikutów oraz wynędzniałą ludność, dziesiątkowaną tyfusem głodowym — to był rezultat czteromiesięcznego obłężenia.

Wskutek działań wojennych straszliwie zwłaszcza ucierpiały kościoły wrocławskie, albowiem na 50 kościołów zaledwie 7 było lekko uszkodzonych, reszta w ruinie, wyspa tumska zaś została w gruzy obrócona.

Tysiąc lat temu — mówił dalej mówca — poczęło się tu formować życie polskie. Tu każdy niemal kamień był ręką polskiego robotnika kładziony.

Kto przystąpił do odbudowywania katedry? Oczywiście, nie zbiedniałe społeczeństwo, nie miasto zrujnowane. Odbudowy jej podjął się Rząd polski. I jego to zasługą jest, że z ruin wznosić się poczęły we Wrocławiu wszystkie zabytkowe kościoły.

Praca odbudowy katedry przebiegała w trzech stadiach. Stadium pierwsze stanowiło planowanie, które zajęło rok 1946. Od roku 1947 rozpoczęła się syste-

matyczna praca nad niezwykle trudnym dziełem rekonstrukcji stalowej więzi katedry, sklepienia i dachu. Tu mówca wyliczył wszystkie osoby i zespoły robotnicze, które bezpośrednio brały udział w budowie, uwypuklając przy tym niezwykłą życzliwość min. Bidy, który m. in. ułatwiał przydział trudnych materiałów budowlanych, oraz Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej we Wrocławiu. Zaznaczył też, że spośród stu robotników, którzy pracowali przy budowie katedry, bardzo wielu czynnych było od chwili rozpoczęcia prac aż do jej poświęcenia i otwarcia. Dzięki takiej zespołowej pracy i nieustannym zasłom groszem wiernych doszło do historycznego wydarzenia: otwarcia katedry wrocławskiej.

Teraz nastąpi etap trzeci jej odbudowy: długotrwała i żmudna praca nad wykończaniem fragmentów i szczygółów.

Kończąc swe przemówienie wikariusz kapitułny powiedział, że fakt, iż matka dolno-śląskich kościołów powstała dzisiaj do nowego życia, jest najlepszym dowodem ducha pokoju, jaki ożywia cały naród polski. Jest to *signum temporis*, jest to też najlepsza nasza odpowiedź na knowania podżegaczy wojennych.

Po przemówieniu ks. prał. Lagosza rozpoczęła się msza św., którą odprawił ks. Prymas.

Po Ewangelii kazanie wygłosił ks. biskup dr Klepacz.

Dostojny kaznodzieja stwierdził, że cała Polska związana jest z wrocławskimi uroczystościami. To jest coś więcej niż samo tylko poświęcenie katedry, jest to przypieczętowanie niezerwalnego związku Wrocławia i Ziemi Odzyskanych z Macierzą, związku, którego początki sięgają tysiąca lat wstecz. Już tysiąc lat temu diecezja wrocławska związana była z kolebką naszego narodu, Cniezmem. Zaznaczając, że ziemie te tyle wieków znajdowały się pod jarzmem niemieckim, ks. biskup Klepacz w zmianie ogólnej sytuacji politycznej, w której wyniku w roku 1945 wróciły do nas Ziemi Zachodnie, dopatruje się ręki Bożej. Bóg dla swoich celów ziemie te nam przywrócił. Również najbliższa historia od roku 1945 podkreśla — zdaniem kaznodziei — działanie Opatrzności Bożej.

Po mszy świętej ks. prymas Wyszyński przekazał katedrze wrocławskiej, której patronem jest św. Jan Chrzciciel, pozdrowienie od arcybiskupiej katedry gnieźnieńskiej i warszawskiej „jako pocałunek pokoju i zawiązkę miłości”.

Imponującą uroczystość zakończyło odśpiewanie przez wiernych „Boże coś Polskę”.

Po południu w gmachu Seminarium Duchownego odbyło się spotkanie ks. Prymasa z uczestnikami uroczystości. Brał w nim również udział min. Antoni Bida. Prymas wyraził „uznanie i wdzięczność dla Rządu Rzeczypospolitej, który bez wahania pośpieszył z pomocą dla zniszczonej wrocławskiej katedry”, oraz podkreślił zasługi i wartości duchowieństwa ziemi dolno-śląskiej, zwłaszcza obecnego rządcy archidiecezji wrocławskiej, ks. prałata Kazimierza Lagosza.

(ar)

WSPOMNIENIE O TADEUSZU BOROWSKIM

Zmarły tragicznie 3 lipca br. Tadeusz Borowski dał się w literaturze naszej poznać od razu debiutem wysokiej klasy. Mamy tu na myśli dwa opowiadania: „Dzień na Harmenzach” i „Proszę państwa do gazu”. Opowiadania te drukowane w kraju najpierw na łamach „Twórczości”, a potem przedrukowane w zbiorowym tomiku pt. „Pożegnanie z Marią” wywołały ożywioną dyskusję. Wzmogła się ona od chwili, gdy młody Autor wszczął polemikę ze znaną powieściopisarką Zofią Kossak-Szczucką w przedmowie jej książki — pamiętnika na temat Oświęcimia.

Strasliwa lekcja, jaką otrzymał Autor w przeżyciach obozowych, wpływała na pewien specjalny sposób patrzenia na ludzi i sprawy. Wywoływało to protesty, a między innymi było tłem polemiki Autora z Kossak-Szczucką. Z drugiej strony chodziło o odwieczny spór, o przedmiot sztuki: w jakiej mierze okropności mogą być przedmiotem przedstawienia artystycznego; czy nie są one w zasadniczej sprzeczności z postawą estetyczną, bez której twórczość artystyczna nie da się pomyśleć. Znany to spór, tak wybitnie zaznaczony w związku z polemiką o „Marię Stuart” Schillera.

Ale nie o to nam tutaj chodzi. Ktoś w młodych latach był urzeczony „Warszawiarką” Wyspiańskiego, w którego pamięci emocjonalnej pozostały odgłosy trąb odjeżdżającej na pole bitwy konnicy, ten ktoś, gdy później przeżył powstanie warszawskie, bał się, czy potomności przekazane zostanie poczucie beznadziejnej grozy towarzyszącej tym wypadkom. Bał się, że legenda pozbawi wspomnienie elementu grozy.

Owoż „Opowiadania” Tadeusza Borowskiego spełniają w historii literatury narodowej tę rolę, że w formie artystycznej przekazują potomności wierny obraz minionych zdarzeń.

Weźmy taki fragment opowiadania: „Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które nic z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowicie szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost pod nogi posta. Dowódca warty podszeź bliżej i popatrzył na nas tak, jak się patrzy na parę koni, które ciągną wóz, albo na pasące się bydło. Janek uśmiecha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

— Rów oczyszczamy, panie Rottenführer, bardzo dużo błota.

Rottenführer ocknął się i spojrzał na mówiącego więźnia ze zdziwieniem takim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pasącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

— Chodźno tu — rzekł do niego.

Janek odłożył łopatę, przeskokzył rów i podszeź. Wtedy Rottenführer podniósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił się krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabulgotała woda, ja zakrztusiłem się śmiechem“.

Żaden tekst źródłowy nie odda tak tego stosunku człowieka do człowieka, jak on wynika z opowiadania Borowskiego, dlatego też niezależnie od miejsca, jakie te opowiadania zajmą w historii literatury polskiej, są one bezcennym źródłem historycznym, niezastąpionym, jedynym.

Toteż i świat historyczny oplakuje zgon młodego autora.

(zw)

„W SIÓDMĄ ROCZNICĘ“

Pod powyższym tytułem następujące trafne uwagi ogłosił na łamach „Dziś i Jutro“ (22. VII. br.) Bolesław Piasecki w związku z siódmą rocznicą Manifestu PKWN:

„Zastanawiając się nad siódmą rocznicą ogłoszenia Manifestu PKWN-u należy wydobyć charakterystyczne cechy Święta Narodowego w roku bieżącym. Prezydent Bolesław Bierut sprecyzował na VII Plenum KC PZPR założenia Narodowego Frontu Walki o Pokój i Plan Sześćioletni.

Front Narodowy jest wyrazem jedności narodu w stosunku do podstawowych nakazów racji stanu. Jedność społeczeństwa nie stanowi jednak celu sama w sobie, ale jest narzędziem realizacji współczesnych zadań Polski. Te współczesne zadania określają ideologiczną treść dnia 22 lipca 1951 dla każdego Polaka. Są nimi obrona pokoju i realizacja planu sześćioletniego.

Przebieg Plebiscytu Narodowego wykazał, że zadanie obrony pokoju uległo poszerzeniu i pogłębieniu w świadomości społecznej. Porównanie z akcją zbierania podpisów pod Apelem Sztokholmskim daje możliwość stwierdzenia dalszego wzrostu woli obrony pokoju w całym narodzie. Nastąpiło ujawnienie powszechnych motywów, dla których Polacy bronią światowego pokoju. Pokój jest nam potrzebny do pracy nad przebudową społeczno-gospodarczą Ojczyzny. Wojna, która niesie zagrożenie odradzającym się militaryzmem Niemiec zachodnich, jest oceniana przez wszystkich Polaków jako ewentualność, którą należy unicestwić.

Polacy wreszcie są świadomi, że ich wkład w obronę pokoju zapobiega nieszczęściom, które musiałyby dotknąć inne narody.

Jako katolicy z satysfakcją możemy tu stwierdzić, że doniosły akt pokoju wewnętrznego, jakim było Porozumienie pomiędzy Kościołem i Państwem zawarte między Episkopatem i Rządem, dobrze przysłużył się ogólnonarodowej walce o pokój. W akcji Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju poważny wkład dali przedstawiciele duchowieństwa i świeccy działacze katoliccy. Perspektywa obrony pokoju mobilizuje wszystkich Polaków niezależnie od podziałów światopoglądowych.

Od chwili rzucenia idei Planu Sześćioletniego w grudniu 1948 r. minęło przeszło dwa i pół roku. W okresie tym wytworzyło się ogólnonarodowe wspólne dla wszystkich rozumienie zadań planu sześćioletniego. W tym powszechnym rozumieniu realizacja planu sześćioletniego oznacza pracę nad wielkim budownictwem i inwestycjami gospodarczymi, która nie tylko wydobywa Polskę z wiekowego zaniedbania, ale także buduje naszą poważną pozycję międzynarodową.

W powszechnej świadomości Polaków dokonuje się nowy a decydujący proces. Coraz szerzej przenika przekonanie, że niepodległość bazuje się w równym stopniu na ciężkim przemyśle jak na literaturze i pieśni. Międzynarodowy kapitalizm demoralizował psychikę naszego narodu, wytwarzając jednocześnie kompleks wyższości i kompleks niższości. Kompleks wyższości pobudzał w Polakach mesjanistyczne przekonanie o duchowej misji narodu polskiego, a kompleks niższości odrywał tę misję od wszelkiego realizmu i czynił z niej szkodliwą megalomanię budząc przeświadczenie, że Polacy są jedynie zdolni do gospodarowania na roli, i to prymitywnymi metodami. Wielkie inwestycje naszej gospodarki socjalistycznej budują naszą rzeczywistość niepodległość i dopiero opierając się na tych inwestycjach, twórcza tradycja kulturalna narodu może znaleźć właściwe warunki rozwoju. Jedną z wielu podstaw pogłębiania się sojuszu polsko-radzieckiego jest fakt, że Związek Radziecki pomaga nam wydatnie w budowie naszego ciężkiego przemysłu.

Wielkie budownictwo gospodarcze Planu Sześcioletniego stwarza okres bohaterski w życiu narodu, powoduje celowość i konieczność wysiłków, które nie stanowią zasady dnia codziennego w innym okresie historycznym. Wynik akcji Narodowej Pożyczki Rozwoju Sił Polski wykazał, że niezależnie od dotychczasowych wysiłków naród rozumie, że jego ofiarność służy słusznej sprawie.

Wezwanie Episkopatu Polski w sprawie pożyczki do duchowieństwa było stwierdzeniem, że duchowieństwo polskie uczestniczy razem z narodem w jego trudzie budowania przyszłości.

Stwierdzając w dniu Święta Narodowego jedność Polaków w stosunku do naczelných zadań Frontu Narodowego, stwierdzając tę jedność z dumą, należy jednocześnie zanalizować atmosferę wielkiego wysiłku powszechnej pracy.

Naród polski jest społeczeństwem ofiarnie i wydajnie pracujących ludzi dla celów decydujących o ich przyszłości. Wielkość wysiłku w tej pracy wiąże się bezpośrednio z zagadnieniem produkcji i konsumpcji. Wiemy, że ogólna konsumpcja użytkowana przez całe społeczeństwo jest obecnie wyższa niż przed wojną. Wiemy jednak także, że powszechność rozbudzonych potrzeb powoduje zjawisko, że zapotrzebowania na dobra konsumpcyjne przewyższyły wielokrotnie zapotrzebowania przedwojenne. Wniosek stąd jest jasny, że wzrost produkcji musi wyprzedzić zaspokajanie uwielokrotnionej konsumpcji. Świadomość tej kolejności upowszechnia się coraz bardziej u wszystkich myślących Polaków.

Dłatego prawdą jest, że naród polski przełożył radość tworzenia, radość produkowania wartości podstawowych nad zadowolenie z lekkomyślnej konsumpcji. Ta decyzja ludzi pracujących w wielkim wysiłku wymaga szacunku. Rozwijanie atmosfery poszanowania własnej i cudzej pracy stanowi zasadniczy warunek skuteczności ogólnonarodowego planu.

Należy zwalczać wszystkie poglądy, które z wielkiego napięcia woli narodu polskiego czynią bezproblematyczną sielanekę i wytwarzają denerwujący ludzi pracujących nastrój powierzchownej łatwizny. Poglądy takie zakłamują prawdziwą, bohaterską rzeczywistość na rzecz zmechanizowanego

frazesu. Inny rodzaj ludzi prowadzi podwójne życie: pracują oni często wydatnie w warsztatach i biurach dla wielkich, wspaniałych celów narodowych, a wypowiedziami w życiu prywatnym, wypowiedziami nieoficjalnymi demobilizują siebie i innych. Zjawisko to demoralizuje w szczególności młodzież. Trzeba pomóc wszystkim dotkniętym tą zarazą zakłamania i małoduszny brakiem odwagi cywilnej do zdecydowania się na publiczną i odpowiedzialną krytykę spostrzeżonych braków i wysuwanie postulatów. W zakłamaniu i strachu pozostawać winni ci nieliczni, którzy nie chcą rozbudowy gospodarczej Polski, którzy oczekują na katastrofę wojenną, ponieważ oni zdradzają ogólnonarodowy interes zbiorowości. Wielokrotne oświadczenia przedstawicieli władz państwowych i partyjnych dążą do rozwoju zdrowej krytyki i zdrowej inicjatywy w ramach założeń Frontu Narodowego.

Jest zadaniem wszystkich wkładać coraz więcej myśli w otaczanie szacunkiem efektów wysiłku narodowego i twórców tego efektu. Przodownicy pracy we wszystkich dziedzinach stają się przedmiotem serdeczności i opieki ze strony każdego Polaka. Jakiegokolwiek choć nieliczne objawy kpin z wysiłku pracy, wszelkie próby traktowania ludzi biorących udział we współzawodnictwie i racjonalizatorów jako swoistych sienkiewiczowskich „Bartków Zwycięzców” stanowią wyraz albo głębokiego zakłamania, albo świadomej wrogości w stosunku do interesów narodu.

Atmosfera wielkiego wysiłku pracy jest charakterystyczną dla Święta Narodowego 22 lipca 1951 roku. Naród polski jako całość przez wkład pracy partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących staje się narodem socjalistycznym. W tym wielkim historycznym procesie katolicy winni dać świadectwo prawdy swojej ideologii w zakresie stosunku do pracy. Szacunek dla postawy jednostki ludzkiej jest uzasadniony w opinii katolickiej tylko wtedy, gdy jednostka ta najofiarniej pracuje. Praca nad sobą jest po to, by móc lepiej służyć innym“.

WIZYTA WICEPREMIERA W. M. MOŁOTOWA W POLSCE

Wielkim wydarzeniem politycznym ostatnich miesięcy była obecność licznych gości zagranicznych na obchodzie 7-ej rocznicy wyzwolenia Polski. Między gośćmi znajdowały się tak znakomite osobistości jak wicepremier Z. S. R. R. Mołotow i zdobywca Berlina marsz. Żukow.

W związku ze świętem odbyła się wielka defilada wszelakich rodzajów broni. Powszechnie zwracał uwagę wysoki stopień uzbrojenia i wyszkolenia wojska.

W rzędzie gości zagranicznych zabrał głos wicepremier Mołotow, który cytując liczne wypowiedzi Stalina w przedmiocie układu polsko-radzieckiego, przypomniał trwałe i zasadnicze podwaliny tego sojuszu.

Na wstępie Mołotow zaznaczył, że „złe stosunki, jakie istniały między naszymi krajami w ciągu pięciu stuleci, dotyczą historii stosunków między dawną carsko-obszarniczą Rosją i dawną, szlachecką Polską“, ale, podkreślił

Mołotow, że „również w przeszłości najlepsi ludzie obu Narodów umieli znajdować wspólny język i udzielając sobie wzajemnie poparcia i dążąc do stworzenia warunków dla rozwoju dobrych sąsiedzkich, przyjaznych stosunków między naszymi narodami”. Ale fakty te nie zmieniały całego układu stosunków i doszło do tego, że jak to podkreślił Stalin, mówiąc o układzie polsko-radzieckim: „w okresie ostatnich 25—30 lat, to jest w okresie dwóch ostatnich wojen światowych, Niemcom udało się wykorzystać ziemie polskie jako korytarz dla najazdu na Wschód i odskocznie do napaści na Związek Radziecki. Mogło to nastąpić dlatego, że nie było wówczas między naszymi krajami przyjaznych, sojuszniczych stosunków. Dawni władcy Polski nie chcieli sojuszniczych stosunków ze Związkiem Radzieckim, woleli prowadzić politykę gry między Niemcami a Związkiem Radzieckim. I naturalnie doиграли się... Polska została okupowana, jej niepodległość przekreślona, przy czym w rezultacie całej tej zgubnej polityki wojska niemieckie uzyskały możliwość pojawienia się u bram Moskwy”.

„Znaczenie niniejszego — cytował dalej Stalina Mołotow — układu polega na tym, że likwiduje on starą, zgubną politykę gry między Niemcami a Związkiem Radzieckim i zastępuje ją polityką sojuszu i przyjaźni między Polską a jej wschodnim sąsiadem”.

Przypomniawszy też Mołotow następujące inne słowa Stalina: „Dopóki nie było przymierza między naszymi krajami, Niemcy mogły wyzyskiwać brak jednolitego frontu między nami, mogły przeciwstawiać Polskę Związkowi Radzieckiemu i odwrotnie, i w ten sposób zwalczać je w pojedynkę. Sprawa zmieniła się gruntownie, kiedy powstało przymierze między naszymi krajami. Obecnie nasze kraje nie mogą już być przeciwstawiane sobie wzajemnie. Obecnie istnieje między naszymi krajami od Bałtyku do Karpat jednolity front przeciwko wspólnemu wrogowi, przeciwko imperjalizmowi niemieckiemu”.

Mowa Mołotowa i cytowane w niej wypowiedzi Stalina, oraz cały przebieg święta niepodległości są niewątpliwą repliką w stosunku do pomysłów i faktów remilitaryzacji Niemiec zachodnich. W tych warunkach sojusz polsko-radziecki określa zdecydowanie miejsce i rolę Polski w układzie sił międzynarodowych, a powszechny ponowny akcept, z jakim spotykać się musi w momencie narastającego zagrożenia, stwarza zarazem mocne podwaliny pod front jednności narodowej w Polsce. (zw)

III ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODYCH BOJOWNIKÓW O POKÓJ W BERLINIE

W dniach 5—19 sierpnia 1951 r. odbył się w Berlinie III Światowy Festiwal Młodych Bojowników o Pokój. W serii światowych demonstracji pokojowych jest to wydarzenie tak niezwykle, że należy poświęcić więcej uwagi jego analizie.

Z okazji tego festiwalu wydano plakat, którego elementy zawierają całą ideologię walki o pokój, prowadzonej przez młodzież całego świata. Dokoła kuli ziemskiej widać na tym plakacie łańcuch młodych ludzi trzymających się

za ręce i opasujących świat. Młodzież ta reprezentuje wszystkie narody świata i wszystkie rasy ludzkie. W globus wpięta jest symbolicznie Brama Brandenburska w Berlinie. Nad tą Bramą przelatuje gołąb pokoju. Te cztery elementy plakatu festiwalowego syntetyzują całość festiwalu Młodych Bojowników o Pokój. Do Demokratycznego Berlina, stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, przybyli reprezentanci młodzieży z przeszło 100 krajów. Po raz pierwszy w historii wielkich demonstracji pokojowych przedstawiciele młodzieży przybyli w wielotysięcznych grupach, co w sumie dało zjazd ponad dwa miliony młodzieży. Ta ogromna liczba delegacji młodzieżowych z całego świata demonstrowała przez dwa tygodnie solidarność młodej generacji całego świata z Apelem Sztokholmskim i z działalnością Światowej Rady Pokoju.

Wszystkie obrady festiwalowe oraz imprezy stały głównie pod znakiem upowszechniania rezolucji Biura Światowej Rady Pokoju uchwalonej 22 lipca 1951 w Helsinkach. Rezolucja ta zawiera wyczerpującą odpowiedź na pytanie, co da narodom pakt pokoju, zawarty między pięcioma głównymi mocarstwami. Odpowiedź ta stwierdza, że pierwszym rezultatem zawarcia paktu pokoju byłby powrót organizacji Narodów Zjednoczonych do normalnej statutowej działalności. Umożliwiłoby to zapewnienie współpracy wszystkich państw. Drugi rezultat — głosi rezolucja — polegać będzie na umożliwieniu powszechnego, stopniowego, jednoczesnego i kontrolowanego rozbrojenia. Trzeci rezultat paktu pokoju wyraża się w tym, że usunięcie niezgody między mocarstwami przywróci współpracę międzynarodową, umożliwi tym samym podniesienie stopy życiowej i wykorzystanie zasobów gospodarczych wszystkich krajów — przy poszanowaniu ich suwerenności.

Pod tymi hasłami obradował III Światowy Festiwal Młodych Bojowników o Pokój. Hasła te widniały na sztandarach młodzieży całego świata, były przedmiotem referatów na zebraniach berlińskich, gdzie spotykali się przedstawiciele młodzieży ze wszystkich części świata, ludzie różnych wierzeń i różnych przekonań politycznych.

Wyniki tego światowego Festiwalu Młodych Bojowników o Pokój będą niewątpliwie miały doniosłe znaczenie dla dalszej kampanii pokojowej. Delegacje festiwalowe po powrocie do swych krajów stanowiąc będą pierwszą linię młodzieżowej walki o realizację haseł pokojowych w świecie.

BIBLIOTEKA
BIBLIOTEKA SZKOLNA
W GDANSKU